SENS ZAMIAST SENSACJI | Przyszłość Ukrainy ▪ Polak majsterkowicz
Historia Piotra Zychowicza ▪ Faustyna na eksport ▪ Jak telefony zmieniły kino

Kraków 20 – 26 sierpnia 2025 nr 34 (3972) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

MARIUSZ SZCZYGIEŁ:

Modlitwa, intymna opowieść o życiu. Także moim

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 154883eead

REKLAMA

neo-angin®

Każdy ból gardła to neo-anginowy ból gardła

SZYBKA*

ULGA W BÓLU GARDŁA

DZIAŁA

PRZECIWWIRUSOWO I PRZECIWBAKTERYJNIE

HAMUJE

STAN ZAPALNY I ROZWÓJ INFEKCJI

*CHPL neo-angin® bez cukru: początek działania obserwowano po 5 minutach.

neo-angin® bez cukru, tabletki do ssania. 1 tabletka do ssania zawiera: 1,2 mg alkoholu 2,4- dichlorobenzylowego (Alcohol 2,4-dichlorobenzylicus), 0,6 mg amylometakrezolu (Amylmetacresolum), 5,72 mg lewomentolu (Levomentholum). **Wskazania do stosowania:** zalecany do wspomagania leczenia stanów zapalnych jamy ustnej i gardła, przebiegających z objawami, takimi jak: ból gardła, zaczerwienienie, obrzęk. **Podmiot odpowiedzialny: MCM Klosterfrau Healthcare sp. z o.o.**

NEO.2025.08.02

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Zwróć uwagę na przeciwwskazania. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

KS. ADAM

Boniecki: *Tischner odkrywa Faustynę, Faustyna odkrywa Tischnera*

Jak wiadomo, z jej beatyfikacją były kłopoty, aż sprawę wziął w swoje ręce ks. prof. Różycki. Tej operacji patronował ponoć bp Karol Wojtyła – namówił Różyckiego, by ten się zajął sprawą Faustyny. Zresztą kłopoty były jeszcze za życia zakonnicy. Nie narzucała się ze swoimi objawieniami, ale spowiednik polecił je spisywać, więc spisywała. Mówiła przełożonym o tym, co przeżywa, ale się nie pchała do pierwszego szeregu. Wystarczy prześledzić jej zajęcia w klasztorze, by stwierdzić, że nie była w żaden sposób faworyzowana, chciałoby się powiedzieć, że wprost przeciwnie. Jej wizje były niezwykłe, jej doświadczony spowiednik to wiedział i podtrzymywał ją na duchu. To jednak nie miało wpływu na jej życie w kolejnych klasztorach. Było ono po prostu ciężkie, ale nie należy z tego wnioskować, że nieszczęśliwe. Była szczęśliwa inaczej niż większość ludzi, ale szczęśliwa rzeczywiście i bardzo głęboko.

O tej szczęśliwej zakonnicy napisał ks. Józef Tischner w swojej książce „Drogi i bezdroża miłosierdzia", ostatniej książce, którą wydał. Pokazał w niej coś, co łatwo może się zawieruszyć i wtedy „cała dyskusja o polskiej wierze zaczynałaby się i kończyła dreptaniem wśród politycznych opłotków". Sam Tischner z całą świadomością wchodził właśnie w ostatni etap choroby, która skończyć się miała śmiercią.

Jeśli się znało Tischnera, książka może budzić zdziwienie. Nie ma w niej nic z łatwej biografii świętej, a jednocześnie jest jakaś zdumiewająca śmiałość w pisaniu o stanie jej ducha. Tischner wie, że jej stanów nie potrafi pojąć, pisze o nich jednak rozsądnie i powściągliwe. Bez przesady, ale i bez lęku przed tajemnicą człowieka obcującego z Bogiem. Kto nie przeczytał tej niewielkiej książeczki o siostrze Faustynie, nie zna Tischnera postawionego wobec świętej tajemnicy człowieka zjednoczonego z Bogiem. Może nawet więcej: Tischnera wobec Pana Boga. „Wciąż, przyglądając się mapie polskiej wiary, towarzyszy nam wrażenie, że obracamy się w oparach jakichś podróbek i doświadczeń zastępczych. W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o autentyzm niezbędna jest analiza takich świadectw jak »Dzienniczek siostry Faustyny«" – i jeszcze dodaje, że z pewnością takich świadectw znalazłoby się u nas więcej...

Tischner napisał mnóstwo książek i artykułów. Wygłosił mnóstwo wykładów, był człowiekiem znanym, uroczym, zdobywającym sobie sympatię ludzi. Myślę, że gdyby wśród nas było więcej takich jak Józek... ech, szkoda gadać. Ale gdyby zabrakło tych kilku artykułów o siostrze Faustynie, to nie mielibyśmy klucza do tej, bynajmniej nie prostej, osobowości. Nic z tego, co Tischner napisał o tej zakonnicy, się nie zestarzało, nic się nie zdezaktualizowało. Poczytajcie, a dopiero potem sięgnijcie po wszystkie inne jego dzieła.

Pisanie Tischnera pokazuje, jak trudno nam, ludziom nieświętym, pisać o tym, co przeżywają święci, ludzie w sposób specjalny obdarowani przez Boga. Nie ma u Tischnera zuchwałego zaglądania Bogu w rękawy, ale nie ma też obawy przed wyławianiem tego, co w tamtej relacji z Bogiem jest istotne. Dla mnie szczególne znaczenie ma to, że jest to ostatnia książka Tischnera. Bez niej jego bibliografia nie byłaby pełna. Powiem nawet, że nie byłaby tak zrozumiała, jak jest dzisiaj dzięki tej książeczce. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Sztuczna inteligencja w niecałe trzy lata zmieniła życie nauczycielek, nauczycieli i uczniów. Jaka powinna być szkoła w dobie AI?

MONIKA BIAŁKOWSKA
Czym jest przemoc duchowa? Jak rozpoznać jej pierwsze oznaki i w jaki sposób na nie reagować.

JACEK PISKOZUB
Co zagraża Bałtykowi? I czy za kilka lat ktokolwiek będzie jeszcze do niego wchodzić. Martyna Słowik rozmawia z fizykiem morza.

Czas leci i często nachodzi mnie chęć, aby znowu odwiedzić Matkę Boską z Jasnej Góry. Przeprosić, podziękować, poprosić o to i o tamto. Ale nie mam odwagi" – pisze w liście do redakcji **PANI ZOFIA**. Wierząca, w dawnych latach często jeżdżąca do Częstochowy, teraz boi się usłyszeć tam głosy „politykujących biskupów". Więc nie jedzie.

Wiara i wierzący jako zakładnicy politycznych i kościelnych uzurpatorów: o tym samym, ale w wersji *made in USA*, opowiada **MARCIE ZDZIEBORSKIEJ** dziennikarka **KATHERINE STEWART**. „Oni nie chcą już tylko uczestniczyć w dyskusji na temat amerykańskiej demokracji. Chcą ją zniszczyć" – mówi autorka książek o chrześcijańskich nacjonalistach.

Wiara, religijność jako źródło lęku. **MARIUSZ SZCZYGIEŁ** opowiada w niezwykłej rozmowie z **ANNĄ GOC**, że nawet będąc już ateistą bał się Boga. „Mój pierwszy partner nie mógł uwierzyć, gdy klękałem przy łóżku i się modliłem. Wydawało mi się, że jeśli się nie pomodlę, to mnie albo moich bliskich spotka jakaś okropna kara" – mówi znany reporter, opowiadając też o swoich ponurych relacjach z kościelną instytucją.

Ale na tych samych stronach, także w tych samych co przywołane wyżej tekstach, dostaną też Państwo zupełnie inną opowieść o wierze – dla wierzących i niewierzących.

Na przykład o wspomnianej czytelniczce, dla której Jasna Góra to miejsce święte („W 2000 r. szłam w pieszej pielgrzymce sierpniowej nauczycieli, aby podziękować Bogu »za zwrócone życie« mego syna"), dlatego teraz mówi politykującym tam biskupom: dość.

O św. Faustynie, której niejednoznaczny, ale przez to ciekawy portret kreśli **ZUZANNA RADZIK** („Na większą emancypację nie starczało energii i pomysłu. Ale z prostej chłopskiej córki, służącej, kucharki i niani, a potem pracującej fizycznie zakonnicy gorszego chóru wyłania nam się jedna z najbardziej wpływowych katoliczek XX wieku").

O reporterze ateiście, który – jak zauważa Anna Goc – najpierw pytał Czechów, jak się żyje bez Boga, a teraz zainteresował się, jak Polakom żyje się z Bogiem. No i o ludziach, którzy „urządzają się w swojej wierze. Nie ulegają wzorcom. Modlą się, jak chcą". ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

ROZMOWA

28 Intymna opowieść o życiu
ROZMOWA Z MARIUSZEM SZCZYGŁEM, REPORTEREM:
Modlitwa zawiera rzeczy, które trzymamy dla siebie, bo ujawnienie ich mogłoby nam zaszkodzić. Pokazalibyśmy miękkie podbrzusze.

48 Święta z gorszego chóru
ZUZANNA RADZIK:
Zwykła dziewczyna, everywoman międzywojnia. O biografii niemal żywcem wyjętej z popularnych dziś książek o chłopkach i służących. Czy siostra Faustyna może być wzorem dla współczesnych kobiet?

64 Rybka i wypoczynek
ROZMOWA Z IGĄ LIS, REŻYSERKĄ:
Bardzo chciałam nakręcić dokument o Bałtyku. Kiedy zobaczyłam kolejkę do blaszanej budki, gdzie wędzone ryby sprzedawała dynamiczna kobieta z rozwianymi włosami, poczułam w żołądku, że to jest „to".

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MICHAŁ MUTOR // ADAM JÁN FIGEL / ADOBE STOCK // ZUZANNA WOIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Daleka droga do pokoju
WOJCIECH KONOŃCZUK

8-11 Obraz Tygodnia

57 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

18 Historyk z misją
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
Czy Piotr Zychowicz to odważny interpretator dziejów, czy twórca historycznej pornografii?

22 Wakacje z aferą
AGNIESZKA KAMIŃSKA
o tym, czy KPO pomoże, czy dobije branżę HoReCa

24 Pod dachem, bez domu
SYLWIA GÓRA *o bezdomności młodych, która wymyka się naszym wyobrażeniom o tym zjawisku*

■ ■ ROZMOWA

28 Intymna opowieść o życiu
ROZMOWA Z MARIUSZEM SZCZYGŁEM, REPORTEREM

■ ■ ŚWIAT

34 Drony i tajwańska strategia jeża
MARIA WIŚNIEWSKA:
Polska kupuje tajwańskie drony

38 Z Bożej łaski
ROZMOWA Z KATHERINE STEWART, AUTORKĄ KSIĄŻEK O RELIGIJNEJ PRAWICY W USA: *Oni nie chcą już tylko dyskutować o amerykańskiej demokracji. Chcą ją zniszczyć*

41 Step z polskimi korzeniami
ANTONINA PALARCZYK
o potomkach zesłańców w Donbasie

■ ■ HISTORIA

44 Pokarm diabła
ALEKSANDER R. MICHALAK
Dwa wieki temu zachodni kupcy wpędzili cesarskie Chiny w opiumowy nałóg

■ ■ WIARA

48 Święta z gorszego chóru
ZUZANNA RADZIK

TEMAT TYGODNIKA

12 Co by tu zmajstrować
MAREK RABIJ:
Bo jest taniej. Bo chcemy sobie udowodnić, że potrafimy. Bo odkryliśmy w tym nowy sposób na odpoczynek. Polacy zaczęli majsterkować.

LEIGH PRATHER / ADOBE STOCK

■ FELIETONY ■

27 OLGA DRENDA
58 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
MARIUSZ SZCZYGIEŁ
FOT.: MICHAŁ MUTOR

52 Ewangelia według Girarda
TOMASZ STAWISZYŃSKI:
Kim jest duchowy przewodnik amerykańskiej altprawicy?

55 Studniówka Leona
EDWARD AUGUSTYN
o bilansie nowego papieża

59 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

60 Cząstka życia
ROZMOWA Z PROF. MARCINEM NOWOTNYM, BIOLOGIEM: *W jądrze komórkowym zachodzi kocioł reakcji. Białka nieustannie patrolują materiał genetyczny. Gdy mechanizmy naprawcze zawiodą, powstają nowotwory*

■ ■ KULTURA

64 Rybka i wypoczynek
ROZMOWA Z IGĄ LIS, REŻYSERKĄ

68 Wyrolowani
MICHAŁ WALKIEWICZ:
Media społecznościowe zmieniają kino i widzów

70 Metale szlachetne
BARTEK DOBROCH *o francuskiej grupie Gojira, która muzyczne zaangażowanie przekłada na proekologiczny aktywizm*

73 Polecamy
KSIĄŻKI, KOMIKS

74 Mąż na godziny
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Paw zwyczajny" Bernharda Wengera*

75 Jedno bogate życie
LEKTOR *o książce „Irlandzka dziewczyna" Edny O'Brien*

■ ■ ZMYSŁY

78 Ludzie z bagien
ADAM ROBIŃSKI: *Człowiek z Tollund i Człowiek z Grauballe to postacie, liczące ponad dwa tysiące lat. Historia, którą opowiadają, ma zupełnie inny wydźwięk niż ta ze szkolnych podręczników.*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ WAKACYJNĄ OFERTĘ NA STRONIE 33

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

ANDREW CABALLERO-REYNOLDS / AFP / EAST NEWS

DALEKA DROGA DO POKOJU

Putin przekonał Trumpa, że odpowiedzialność za zakończenie wojny spoczywa teraz na Kijowie i to strona ukraińska powinna się zgodzić na rosyjskie warunki. Nic jednak nie wskazuje na to, by Zełenski miał je przyjąć.

WOJCIECH KONOŃCZUK

POWYŻEJ: Powitanie Władimira Putina przez Donalda Trumpa w bazie lotniczej Elmendorf-Richardson w Anchorage. Alaska, 15 sierpnia 2025 r.

Kreml ogrywa Trumpa i niezmiennie próbuje narzucić Ukrainie i Zachodowi swoje warunki. Władimir Putin miał iście carskie powitanie. Na lotnisku wojskowym w Anchorage na Alasce rozłożono przed nim czerwony dywan, na którym czekał Donald Trump. Następnie naczelny dowódca rosyjskiej armii, która zamordowała już kilkadziesiąt tysięcy ukraińskich cywilów i co najmniej drugie tyle ukraińskich żołnierzy, został zaproszony do limuzyny prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Po dwustronnych rozmowach, po których Trump podkreślał, jak świetne ma relacje z Putinem, ten wsiadł do samolotu i – co jest wyjątkowym honorem – w eskorcie amerykańskich myśliwców F-35 opuścił przestrzeń powietrzną najsilniejszego mocarstwa świata.

Uroczyste przyjęcie polityka odpowiedzialnego za rozpętanie i trwanie wojny, która dewastuje Ukrainę, wzbudziło dyplomatycznie skrywane obawy w Europie i oburzenie w społeczeństwie ukraińskim.

ROSYJSKIE WARUNKI | Bezpośrednie rozmowy Trumpa z Putinem trwały niemal trzy godziny i zakończyły się bez przyjęcia jakiegokolwiek dokumentu. Obaj liderzy wygłosili natomiast kilkuminutowe wystąpienia dla prasy, ale nie przewidziano możliwości zadawania pytań.

Wyraźnie zadowolony Putin podkreślił, że spotkanie przebiegało konstruktywnie i w atmosferze wzajemnego szacunku.

Nie zapomniał przypomnieć Amerykanom, że Alaska to niegdysiejsza ziemia Imperium Rosyjskiego, a Ukraińcy to „nasz braterski naród", dodając: „jakkolwiek by to nie brzmiało dziwnie w obecnych warunkach".

Najważniejsze słowa jego wypowiedzi dotyczyły potrzeby „usunięcia wszystkich pierwotnych przyczyn kryzysu", „zapewnienia, aby uzasadnione obawy Rosji zostały uwzględnione" i „przywrócenia sprawiedliwej równowagi w sferze bezpieczeństwa w Europie i na świecie jako całości". Co oznacza ten język?

Otóż Rosja po raz kolejny podkreśla, że pokój w Europie może zapewnić wyłącznie uwzględnienie rosyjskich interesów – przy tym nie tylko na Ukrainie, ale również w Europie Środkowej. Szczegółowe żądania rosyjskie zostały zapisane jeszcze w grudniu 2021 r. w dwóch dokumentach wysłanych przez Moskwę do państw NATO.

Od tego czasu w postawie rosyjskiej nic się nie zmieniło. Kreml rozpoczął i prowadzi wojnę na Ukrainie, jednak nie tylko przeciwko niej, ale także przeciw Zachodowi. Czas to ostatecznie zrozumieć. Rosja gra nie tylko o legitymizację swoich nowych nabytków terytorialnych, ale przede wszystkim o stworzenie warunków do zwasalizowania państwa ukraińskiego oraz zmiany architektury bezpieczeństwa w Europie, jaka ukształtowała się po rozszerzeniu NATO na Wschód.

„FANTASTYCZNE RELACJE" | Putin, który najwyraźniej znalazł sposób dotarcia do Trumpa, mówił to, co ten chciał usłyszeć. O tym, że wojna by nie wybuchła, gdyby rządził Trump, a nie Biden. O ogromnym potencjale dla rozwoju dwustronnej współpracy w sferze ekonomicznej, energetycznej, w Arktyce itd.

Z kolei Trump w swoim wystąpieniu nie wyglądał na zbyt zadowolonego, choć próbował zaklinać rzeczywistość, oceniając spotkanie jako „nadzwyczaj udane" i „wielki postęp". Zabrakło jednak jakichkolwiek konkretów, poza tym, że amerykański prezydent powiedział, iż uzgodniono „kilka dużych punktów", pozostało do załatwienia „kilka mniejszych i jeden duży". Nie zapomniał przy tym podkreślić, jakie ma „fantastyczne relacje z Władimirem".

Mimo słów Trumpa najwyraźniej nie wszystko przebiegło zgodnie z planem. Zrezygnowano ze wspólnego lunchu, a rozmowy były dwukrotnie krótsze od zaplanowanych. Strony umówiły się jednak na dalsze kontakty.

USTĘPSTWA TRUMPA | Najciekawsza rzecz padła już po zakończeniu wystąpienia dla prasy. Otóż Trump napisał w mediach społecznościowych, że najlepszym sposobem na zakończenie wojny jest „przejście bezpośrednio do porozumienia pokojowego, które zakończy wojnę, a nie tylko wstrzymanie ognia".

Wydawałoby się, że to bardzo słuszna deklaracja. A jednak padła ona w konkretnym kontekście i współbrzmi ze wspomnianymi wyżej słowami Putina o konieczności uwzględnienia „uzasadnionych obaw Rosji". Można z tego wywnioskować, że Waszyngton godzi się rozmawiać z Moskwą o czymś więcej niż tylko o Ukrainie.

Jest to kolejne ważne ustępstwo Trumpa wobec Kremla. Przypomnijmy, że początkowym warunkiem amerykańskim dla podjęcia rozmów z Rosją, wspartym przez Kijów i Europę, było tymczasowe zawieszenie ognia. Rosja to zignorowała i nikt już w Białym Domu o tym nie pamięta. Podobnie z agendy zeszła groźba nowych sankcji.

Im dłużej trwają negocjacje, tym bardziej Trump idzie na ustępstwa, nie zapominając przy tym wspomnieć o „wielkości Rosji". Najwidoczniej imponuje mu Putin i styl jego działań. Kreml to bezwzględnie wykorzystuje, wiedząc, że to prezydentowi USA zależy na sukcesie. W końcu ma nadzieję, że na końcu czeka go Nagroda Nobla... Grzechem byłoby tego nie wykorzystać.

A przy tym Rosjanie pozwalają sobie na coraz więcej, m.in. – jak donoszą media amerykańskie – „poprosili", aby gen. Keith Kellog, przedstawiciel ds. Ukrainy, nie wziął udziału w spotkaniu na Alasce. Dość powiedzieć, że Kellog to być może jedyna osoba w administracji USA, która rozumie, o co w tym wszystkim Rosji chodzi. Zamiast niego, pierwsze skrzypce w otoczeniu Trumpa gra Steve Witkoff, miliarder z branży nieruchomości bez jakiegokolwiek doświadczenia dyplomatycznego.

„WYMIANA TERYTORIÓW" | Po spotkaniu na Alasce Trump lojalnie zadzwonił do prezydenta Zełenskiego i zaprosił go do Białego Domu na poniedziałek. Następnie do ich piątkowej rozmowy dołączyli w formie telekonferencji przywódcy Finlandii, Francji, Niemiec, Polski, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz kierownictwo Komisji Europejskiej.

Europejscy przywódcy wystosowali wspólne oświadczenie, w którym z jednej strony wsparli wysiłek Trumpa na rzecz zakończenia wojny, z drugiej zaś podkreślili, że tylko Ukraina może podjąć decyzje dotyczące swojego bezpieczeństwa oraz musi uzyskać „żelazne gwarancje bezpieczeństwa". Zapewnili też, że utrzymają pomoc dla Kijowa w celu doprowadzenia do sprawiedliwego i trwałego pokoju.

Nie ma wątpliwości, że celem spotkania Trumpa z Zełenskim będzie „przekonanie" go do zaakceptowania „wymiany terytoriów", o czym wspomniał sam amerykański prezydent, dodając, że „Ukraina powinna się na to zgodzić". Stwierdził, co prawda, że miałyby temu towarzyszyć jakieś gwarancje bezpieczeństwa, ale bez żadnych konkretów. W poniedziałek zaś wzmocnił przekaz pisząc, że to Zełenski może niemal natychmiast zakończyć wojnę.

Wygląda na to, iż na Alasce Putin skutecznie przekonał Trumpa, że odpowiedzialność za zakończenie wojny spoczywa teraz na Kijowie i to strona ukraińska powinna się zgodzić na rosyjskie warunki. Nic jednak nie wskazuje na to, aby Zełenski miał je przyjąć.

Pozytywne jest to, że w części spotkania Trump-Zełenski (w roboczym obiedzie) ↦

przewidziano udział przywódców Finlandii, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz NATO i KE.

Choć nie znamy szczegółów warunków rosyjskich, to „wymiana terytoriów" oznacza zapewne, że Ukraina wycofuje się – w wersji minimum – z Donbasu, a w wersji maksimum także z całości obwodów zaporoskiego i chersońskiego, które Rosja bezprawnie anektowała. Na podobne rozwiązanie nie zgodzi się żadna ukraińska władza, bo nie zaakceptuje tego społeczeństwo. Nie wiemy przy tym dokładnie, jakie inne postulaty wysuwa Kreml, ale złudzeniem byłoby oczekiwanie, że strona rosyjska byłaby skłonna do realnego kompromisu.

ROSYJSKA DROGA DO KIJOWA | Nietrudno zgadnąć, że Putin wrócił do Rosji z przekonaniem, iż umiejętnie ogrywa Trumpa. Nawet jeśli wymarzony przez Rosję finał nie musi się ziścić, to zyskuje ona na czasie, odsuwa potencjalne amerykańskie sankcje, na które Biały Dom najwyraźniej nie ma ochoty, rosyjskie wojska zaś robią postępy na froncie. Nie bez znaczenia jest dalsza legitymizacja Putina w oczach rosyjskiej nomenklatury i społeczeństwa, ale również dużej części świata.

Jeśli amerykański prezydent będzie próbował zmusić Ukrainę do niekorzystnych ustępstw, będzie to oznaczało kolejny wyłom w relacjach transatlantyckich. Polska i Europa mają zbyt dużo do stracenia, aby pozwolić, by ta wojna skończyła się na warunkach Kremla.

Nie przypadkiem zresztą Putin wspomniał na Alasce, że ma nadzieję, iż Kijów i stolice europejskie „nie zaczną czynić przeszkód, aby za pomocą prowokacji lub zakulisowych intryg zerwać rysujące się porozumienie".

„Język doprowadzi do Kijowa" – mówi stare rosyjskie przysłowie, oznaczające, że konsekwencja i zręczna mowa prowadzą do osiągnięcia celu. Taka właśnie jest strategia Kremla wobec Trumpa – stać przy swoim nieustępliwie i wytrwale, grać o pełną stawkę. To przeciwnik musi ustąpić. Rosja nie zna bowiem kompromisu, chyba że zostanie do niego przymuszona. Na razie jednak nic na to nie wskazuje.

Niezależnie od tego, co się w najbliższych dniach i tygodniach wydarzy, do końca wojny jeszcze daleko.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 18 sierpnia o godz. 10.00.

Serbia w punkcie wrzenia

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Targające Serbią od miesięcy protesty w minionym tygodniu przybrały charakter regularnych zamieszek z policją.

Do starć doszło nie tylko w Belgradzie, ale i na ulicach innych miast. Celem nowej fali sprzeciwu niezmiennie pozostaje sprawująca od trzynastu lat władzę Serbska Partia Postępowa (SNS) oraz Aleksandar Vučić (na zdjęciu), prezydent oskarżany o zapędy autorytarne.

MILAN ILIC / SIPA / EAST NEWS

Do kulminacji starć doszło w sobotę 16 sierpnia po trwających ósmą noc z rzędu konfrontacjach między zwolennikami obecnego obozu władzy, ochranianymi przez policję, a protestującymi. Szczególnie duże oburzenie wywołały wydarzenia, jakie we wtorek 12 sierpnia miały miejsce w położonych na północy kraju niewielkich miastach Vrbas i Bačka Palanka. W samym Vrbas, liczącym niespełna 25 tysięcy mieszkańców, rannych zostało co najmniej 50 osób.

Najpoważniejsze sobotnie incydenty miały miejsce w Valjevie, mieście położonym w środkowo-zachodniej Serbii, gdy po pokojowej demonstracji grupa osób wybiła okna i podpaliła lokalne biuro rządzącej SNS. Doszło także do ataków na budynki sądu i prokuratury. Minister spraw wewnętrznych Ivica Dačić poinformował, że w Valjevie ranny został co najmniej jeden policjant, a 18 osób zostało zatrzymanych. Zapowiedział także kolejne aresztowania.

Podczas protestów w Valjevie, Nowym Sadzie oraz w Belgradzie zaatakowano również siedziby partnerów koalicyjnych SNS. W stolicy zniszczono między innymi biura Serbskiej Partii Radykalnej, kierowanej przez zbrodniarza wojennego Vojislava Šešelja – partii, z której wywodzą się Vučić i inni przywódcy SNS. Policja w Valjevie i Belgradzie do rozpędzenia protestujących użyła gazu łzawiącego.

Vučić niezmiennie odrzuca żądania protestujących domagających się ogłoszenia przedterminowych wyborów parlamentarnych. Po ostatnich wydarzeniach oskarżył ich o wykonywanie poleceń z zagranicy, mających na celu „zniszczenie Serbii", i zapowiedział rozprawienie się z ogólnokrajowym ruchem obywatelskiego nieposłuszeństwa. ©

NA PUNKTY

SKOSTNIAŁE OCZY

„Może ktoś już nie przystaje do wymagań rzeczywistości w tej chwili. Może są potrzebne zmiany pokoleniowe. Może ktoś patrzy za bardzo skostniałymi oczami na otaczającą nas rzeczywistość? Może za duży bagaż PRL-u dźwiga cały czas na sobie?" – zapytał Andrzej Duda, dywagując w podkaście Żurnalisty o wyniku PiS w wyborach 2023 r. „Czy rzeczywiście jest tak, że ludzie prawie 80-letni powinni decydować o wszystkim i o losach Polski? No ja mam poważne wątpliwości" – dodał, choć nazwiska Jarosława Kaczyńskiego elegancko nie wymienił.

PŁOMIENNE OBURZENIE

Podczas meczu Raków Częstochowa – Maccabi Hajfa izraelscy pseudokibice wywiesili obraźliwy wobec Polaków baner „Mordercy od 1939 r.". Oburzenie wybrykiem garstki chuliganów wyrazili nasi najważniejsi politycy, z prezydentem Nawrockim i wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem na czele.

WIELKIE ŚWIĘTO

15 sierpnia na polskich drogach zginęło 21 osób, 106 zostało rannych, a policja zatrzymała 406 nietrzeźwych kierowców. ©℗

Pod sekretem

IGNACY DUDKIEWICZ

Wybór biskupa pomocniczego to procedura teoretycznie prosta i dobrze zabezpieczona: nuncjusz przeprowadza ankiety na temat kandydatów, watykańska dykasteria je dokładnie, chciałoby się wierzyć, ocenia.

Historia ks. Krzysztofa Dukielskiego, który po ogłoszeniu nominacji na biskupa pomocniczego diecezji radomskiej został zmuszony do złożenia rezygnacji, pokazuje, jak naiwna to wiara. Jak wiemy z oświadczenia radomskiego ordynariusza, bp. Marka Solarczyka, już po ogłoszeniu nominacji doszło do zgłoszenia „niewłaściwego zachowania wobec osoby małoletniej". Choć ankieta z pewnością zawierała pytania o zachowanie i moralność kandydata.

Sami biskupi przyznają, że nuncjusz przeprowadza ankietę wśród osób sobie tylko znanych, dobranych według własnego klucza. Które niekoniecznie najlepiej znają kandydata albo nie chcą powiedzieć całej prawdy, by mu nie zaszkodzić.

Możliwości wypowiedzenia się nie mają natomiast ci, których ten wybór dotyczy najmocniej.

A są to, obok ordynariusza, szeregowi księża z diecezji oraz wierni. Nie mają też możliwości wyrażenia protestu – przynajmniej dopóki nominacja nie zostanie ogłoszona.

To znamienne, bo przecież w przypadku małżeństwa czy święceń kapłańskich kandydaci są jawni, a osoby znające przeszkody dla udzielenia im tych sakramentów mogą zareagować. W przypadku święceń biskupich wszystko dzieje się za zamkniętymi drzwiami, okryte sekretem papieskim. Tu Kościół działa jak korporacja zawodowa, nie wspólnota.

To także niespójne z teologią urzędu biskupiego, gdyż co do zasady biskup ma być „zaślubiony ze swoją diecezją" (owszem, dotyczy to ordynariuszy, ale przecież procedura ich powoływania jest analogiczna jak w przypadku biskupów pomocniczych). Tymczasem nikt nie pyta o zdanie jednej ze stron tych zaślubin. Małżeństwo sakramentalne byłoby w takim przypadku nieważne.

Historia ks. Dukielskiego pokazuje (podobnie jak inne, gdy kompromitujące fakty lub małość charakteru wyszły na jaw już po święceniach biskupich), że obecna formuła wyłaniania kandydatów do episkopatu jest nieefektywna.

Czas więc na zmiany, które pozwolą przy wybieraniu biskupów uwzględnić głos całego Kościoła. Tego pisanego przez największe z możliwych „K". ©

Bilans strat

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Jeśli były nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy KPO, ich skala nie wykraczała poza normalny odsetek błędów przy wydawaniu środków unijnych.

Mechanizm afer takich jak sprawa nieprawidłowości przy wykorzystaniu pieniędzy z KPO jest zwykle podobny. Najpierw nośna medialnie informacja – tu „wydawanie pieniędzy na jachty, solaria i salony masażu". Później szybka ofensywa opozycji, że „rząd na to pozwala", co jest dowodem korupcji, marnotrawstwa, politycznego kolesiostwa, a w najlepszym razie nieudolności. Następnie reakcja premiera, który natychmiast żąda wyjaśnień. No i kozioł ofiarny, czyli urzędnik średniej rangi, rzucony na wstępne pożarcie. A także odpowiedzialny, zagrożony dymisją minister, w tym przypadku Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Reakcja każdej ze strony jest zrozumiała. Trudno, by opozycja przepuściła taką okazję do ataku na rząd, można też zrozumieć premiera Tuska, który zareagował być może zbyt gwałtownie, ale dzięki temu mógł wystawić sobie do ewentualnego „odstrzału" nielubianą minister, z którą od dawna miał na pieńku.

Tymczasem dotychczasowe analizy sprawy pokazują, że nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy z KPO oczywiście istniały, czasem wręcz skandalicznie, jednak ich skala nie wykraczała poza normalny odsetek błędów przy wydawaniu środków unijnych. I jeśli resort funduszy oraz podległe mu instytucje rzeczywiście szły w tej sprawie na skróty, to głównie dlatego, żeby wydać jak najwięcej. Środki z KPO mają bowiem ograniczony okres do możliwego wykorzystania. Racjonalnie oceniając sprawę, można wręcz przyznać, iż lepiej, by trafiły one na budowę solarium, niż by nie trafiły do nikogo.

W takich aferach racjonalne podejście to jednak ostatnia rzecz, jakiej można się spodziewać. Każdy ma przecież coś do ugrania. Tylko czy w tym przypadku bilans gry będzie dla kogokolwiek korzystny? Afera będzie miała swoje ofiary polityczne – pani minister funduszy zostanie być może zdymisjonowana, niewykluczone też, że odejdzie ktoś jeszcze, a rząd i koalicja stracą w sondażach. Jednak opozycja też nie musi zyskać, bo okazało się, że profitentami wątpliwych pieniędzy byli także ludzie kojarzeni z PiS.

Ofiarami będą mali i średni przedsiębiorcy, dla których ten segment KPO jest adresowany [więcej o tym piszemy w dziale Kraj – red]. Nauczeni tym doświadczeniem urzędnicy będą zapewne teraz oglądać każdy wniosek na wszystkie strony i będą woleli nie przekazać pieniędzy nikomu niż narazić się na kłopoty.

Ujawnianie afer służy oczyszczeniu życia publicznego z patologii. Ale czasem przynosi też straty, i to wszystkim stronom. ©

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Posłowie PiS Rafał Bochenek i Olga Semeniuk podczas konferencji prasowej dotyczącej KPO pod Kancelarią Premiera. Warszawa, 12 sierpnia 2025 r.

Duchowe laboratorium

PIELGRZYMKI ▪ Ruch pielgrzymkowy w Polsce rośnie i zmienia charakter. Dostrzec to można było zwłaszcza podczas sierpniowego szczytu pielgrzymkowego na Jasnej Górze, związanego z obchodzoną 15 sierpnia uroczystością Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W pierwszej połowie sierpnia do Częstochowy przybyło o 4,5 tys. pielgrzymów więcej niż rok temu (54 529 pątników). „Pielgrzymowanie na pewno się nie kończy, ale przeobraża" – mówił w rozmowie z KAI dyrektor Biura Prasowego Jasnej Góry o. Michał Bortnik. Podkreślał zwłaszcza wzrost liczby młodych uczestników pielgrzymek, co jest dobrym prognostykiem na przyszłość.

Ruch pielgrzymkowy jest bardziej różnorodny niż dawniej. Formy pielgrzymek dostosowują się do możliwości i potrzeb ludzi. Gdy ktoś nie może pozwolić sobie na wędrowanie przez długi czas, może dołączyć do pielgrzymek rowerowych. Organizowane są też pielgrzymki biegowe, rolkarzy i konne. Niektóre grupy organizują dla rodzin z małymi dziećmi autobusy pełniące funkcję żłobków i przedszkoli. Rozwija się powstała w pandemii forma pielgrzymek sztafetowych – ich uczestnicy realizują tylko jeden etap pielgrzymki, zwykle końcowy, związany z wejściem na Janą Górę. O. Bortnik zauważa, że dzięki mediom społecznościowym pątnikom towarzyszą też osoby, które nie mogły wybrać się na pielgrzymkę. Takich „duchowych pielgrzymów" jest zwykle dwa, trzy razy więcej niż wędrujących.

KAROL PORWICH / EAST NEWS

Wejście pieszej pielgrzymki na Jasną Górę. Częstochowa, 12 sierpnia 2025 r.

Obok tradycyjnych pielgrzymek diecezjalnych powstają odrębne grupy, często o charakterze tematycznym. „Młodzież szuka pielgrzymek medytacyjnych czy pokutnych. Są pielgrzymki, na których uczestnicy podejmują post o chlebie i wodzie lub codzienną godzinną adorację Najświętszego Sakramentu po dojściu na nocleg" – zauważa rzecznik Jasnej Góry. Od wielu lat funkcjonują też wędrujące w ciszy „grupy milczenia".

Skąd sukces pielgrzymowania? Komentując rok temu *boom* pielgrzymkowy, wysunąłem hipotezę, że Polacy mają dość klerykalnej struktury Kościoła „stacjonarnego" i wynikających z niej licznych wad, a znajdują swoje miejsce w Kościele „pielgrzymującym", gdzie mogą doświadczyć prawdziwej wspólnoty (wędrujący ze świeckimi księża w głoszonych konferencjach mogą odnosić się do wspólnego doświadczenia). Dopowiedzieć można, że sama formuła pielgrzymowania jest niezwykle pojemna i pozwala doświadczyć religijności w całościowy sposób. W nowym kontekście stawia tradycyjne formy duszpasterskie jak msza, różnorodne nabożeństwa czy spowiedź. Ale przede wszystkim łączy religijność wspólnotową z indywidualnym przeżyciem duchowym. Warto potraktować pielgrzymowanie jako duchowe laboratorium w czasach kryzysu.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Bakterie pomogą nam leczyć zatrucie czadem

MEDYCYNA ▪ W sierpniu perspektywa nadchodzącej zimy wydaje się jeszcze bezpiecznie odległa. Spróbujmy to sobie jednak wyobrazić – na zewnątrz pada śnieg z deszczem, temperatura wynosi zero stopni, zaś w mieszkaniu ze szczelnie zamkniętymi oknami piecyk gazowy ogrzewa lokatorów. Brak dostępu świeżego powietrza powoduje, że gaz pali się niecałkowicie. W wyniku tego procesu zamiast dwutlenku węgla powstaje tlenek węgla (CO), silnie toksyczny gaz zwany czadem.

Tym, co stanowi o jego niebezpieczeństwie, jest silne i szybkie łączenie się z hemoglobiną obecną w krwinkach czerwonych. W chemii tę siłę nazywa się powinowactwem i w przypadku czadu jest ona ok. 300 razy większa od powinowactwa tlenu do hemoglobiny. Czad blokuje w ten sposób miejsce dla tlenu i powoduje niedotlenienie tkanek, w pierwszej kolejności układu nerwowego.

Zatrucie tlenkiem węgla jest jednym z najczęstszych zatruć w skali globu. W Polsce z tego powodu umiera rocznie ok. 50 osób. W ubiegłym roku zanotowano blisko 4,5 tys. interwencji strażackich w związku z emisją CO i 1,3 tys. podtruć. Jedyną metodą leczenia jest tlenoterapia – przy wyższym stężeniu tlen wypiera tlenek węgla i znów dociera do tkanek. Trwa to jednak nawet godzinę – w tym czasie u wielu pacjentów pojawiają się neurologiczne i kardiologiczne powikłania.

Szansę na szybką i skuteczną terapię daje badanie grupy naukowców z Uniwersytetu w Meryland i Uniwersytetu w Pittsburghu, w którym zaprezentowano substancję wyłapującą tlenek węgla z krwinek czerwonych. Matthew Dent i współpracownicy jako matrycy użyli bakteryjnego białka, którego zadaniem jest wyłapywanie minimalnych stężeń tlenku węgla w środowisku. Istnieją bowiem bakterie, które czerpią energię z utleniania tlenku węgla do dwutlenku. Białko RcoM produkowane przez *Paraburkholderia xenovorans* ma bardzo silne powinowactwo do CO.

Badanie przeprowadzone na mysim modelu zatrucia tlenkiem węgla dowodzi, że substancja wybiórczo wyłapuje toksyczny gaz z krwi i jest wydalana wraz z moczem. Ale prawdziwym przełomem jest czas, w jakim to się dzieje. Po podaniu dożylnym białka o wdzięcznej nazwie RcoM-HBD-CCC połowa tlenku węgla eliminowana jest w ciągu minuty. Jednocześnie potencjalny lek nie wiąże się z tlenkiem azotu, który odgrywa istotną rolę w regulacji ciśnienia tętniczego. Niektóre z badanych wcześniej związków powodowały nagłe wzrosty ciśnienia tętniczego. Optymistyczne wyniki nie powinny jednak uśpić naszej czujności – życie wciąż ratuje sprawna instalacja i czujniki czadu. Koniec wakacji to dobry czas, by pomyśleć o bezpieczeństwie zimą.

© BARTOSZ KABAŁA

IRYNA RASKO / B&EW

Mrówki tkaczki (*Oecophylla smaragdina*) współpracujące przy budowie gniazda z liści.

Dwie mrówki jak trzy mrówki

WSPÓŁPRACA ▪ Ktokolwiek brał udział w projekcie grupowym, z pewnością zetknął się z efektem Ringelmanna. Francuski inżynier Maximilien Ringelmann w latach 1882-1887 prowadził kurs „inżynierii wiejskiej" w szkole rolniczej w Grand-Jouan. Jak każdy uważny nauczyciel, szybko zorientował się, że uczniowie starają się mniej, gdy umieści się ich w grupie, niż gdy pracują indywidualnie. Będąc jednak inżynierem, postanowił zmierzyć siłę tego efektu – zupełnie dosłownie. Uczniowie jego szkoły zostali zaproszeni do zawodów w przeciąganiu liny, a Ringelmann mierzył przy pomocy dynamometru, jak mocno ciągnie przeciętna osoba w zależności od tego, w jak dużej się ją umieści grupie. Dziś zakłada się, że jeżeli przyjmiemy, iż wysiłek pojedynczej osoby to 100 proc., to już w grupie dwuosobowej wysiłek jednostki spada do 93 proc., w grupie 3-osobowej do 85 proc., a grupie 8-osobowej nawet do 49 proc. Oznacza to w praktyce, że 8 osób ciągnie mniej więcej z taką łączną siłą, z jaką ciągnęłyby 4 osoby zdane wyłącznie na siebie. Psycholodzy społeczni uznają, że jest to mieszanina efektu pasażera na gapę („a po co się będę starał?"), przekonania o swojej nieistotności („inni na pewno są silniejsi") i kiepskiej koordynacji.

Grupa entomologów pod przywództwem Madelyne Stewardson postanowiła sprawdzić, czy efekt Ringelmanna występuje u mrówek *Oecophylla smaragdina*. Owady te budują gniazda, zwijając liście w tutki, co wymaga wytężonej pracy zespołowej. W warunkach laboratoryjnych udało się precyzyjnie zmierzyć siłę wywieraną przez mrówki w zależności od liczby osobników. Okazało się, że u zwierzątek tych występuje „antyefekt Ringelmanna" – siła w przeliczeniu na jednostkę rośnie w grupie. Jedna mrówka potrafi wygenerować siłę ok. 1 miliniutona (mN), podczas gdy 5 mrówek generuje już 10 miliniutonów (mN), a 15 mrówek – 75 mN. Ten ostatni wynik oznacza, że jedna mrówka w grupie 15-osobniczej generuje pięciokrotnie więcej niż w pojedynkę!

Sekret wydaje się tkwić w doskonałej koordynacji i podziale pracy. Mrówki dzielą się spontanicznie na dwie grupy. Jedne osobniki ciągną za brzeg liścia, a inne przytrzymują je za odwłok żuwaczkami, zapierając się jednocześnie nogami o grunt. Rola tych drugich mrówek, które w dużych grupach mogą nawet stanowić większość zespołu i tworzyć długie łańcuchy sczepionych ze sobą osobników, jest bezcenna. Po pierwsze, utrzymują mrówki ciągnące za liść we właściwym kierunku, dzięki czemu ich wysiłek nie idzie na marne. Po drugie, każdy najdrobniejszy sukces w pociągnięciu brzegu liścia, choćby o milimetr, zostaje spożytkowany, ponieważ mrówki-koordynatorki przyciskają się mocno do podłoża, działając jak zapadka.

© ŁUKASZ LAMŻA

BARTOSZ MINKIEWICZ

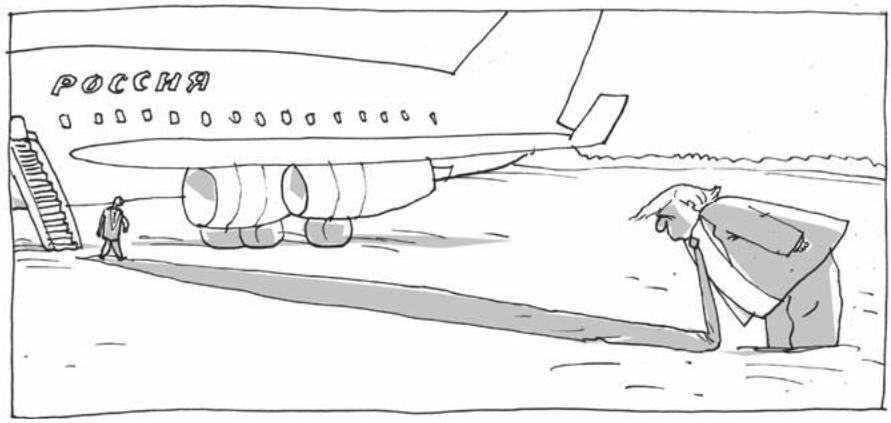

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

CO BY TU ZMAJSTROWAĆ

Bo jest taniej. Bo chcemy sobie udowodnić, że potrafimy. Bo odkryliśmy w tym nowy sposób na odpoczynek. Polacy zaczęli majsterkować.

MAREK RABIJ

LEIGH PRATHER / ADOBE STOCK

Na początku był wyciek. I sobotni poranek tuż przed majówką. Znaleziony w sieci fachowiec wysłuchał objawów, po czym rzucił niechętnie do słuchawki: „Uszkodzony kołnierz bębna pralki. Przy sobocie to minimum trzysta złotych za samą robociznę. Plus części – o ile w ogóle dzisiaj uda się je dostać".

Dwie godziny później, siedząc przed wielką suszarką w publicznej pralni, Kamil Derkuś z nudów wpisał do YouTube'a hasło „wymiana kołnierza bębna pralki". Wyskoczyło kilkanaście filmików. W tym jeden, na którym krok po kroku pokazano, jak to zrobić w modelu, który właśnie mu się zepsuł. Odtworzył go, jak mówi, wyłącznie z ciekawości.

– Ale kilka godzin później zamówiłem w sieci ten gumowy kołnierz. Niecałe 170 zł wraz z metalową obejmą do montażu. Po majówce kurier przyniósł paczkę i z telefonem w jednej dłoni, a śrubokrętem w drugiej, spocony ze strachu, przystąpiłem do naprawy. Tuż potem wstawiłem pierwsze pranie w osobiście naprawionej pralce. No, satysfakcja jak jasna cholera – uśmiecha się Kamil. – Wciągnęło mnie to, w ten sam sposób nauczyłem się naprawiać wyrwane ze ściany gniazdka, uszczelniać kapiące krany, łatać dziury w ścianach. Żona mi dokucza, że jak już wszystko w naszym domu zreperuję, to pewnie zacznę psuć, żeby nie brakło mi zajęć – zaznacza.

Kamila fascynuje również spawanie, ale trochę się boi, więc chyba zapisze się na kurs. W tym przypadku nauka z internetu może już nie wystarczyć.

Wojtek prosi, żeby go nie wymieniać z nazwiska. Teściowa czyta „Tygodnik Powszechny", a wszystko zaczęło się przecież od jej męża.– Przed narodzinami drugiej córki teść przywiózł nam prezent, łóżeczko dziecięce. Miało taki fantazyjny wysoki zagłówek, który trzeba było przymocować do ściany, wziął więc także wiertarkę, bo wiedział, że nie mam. Żony nie było w mieszkaniu. Skręciliśmy łóżeczko, pozostało dosunąć je do ściany, zaznaczyć otwory i wywiercić pod kołki. Poprosiłem teścia, żeby to zrobił, bo się boję. „Przy tej czynności nie da się wcisnąć CRTL Z" – zażartowałem, żeby ukryć zakłopotanie. Odpowiedział pełnym politowania spojrzeniem. „No, księżniczka" – dorzucił. Młodsza córka Wojtka niebawem skończy cztery lata. A z okazji zbliżającego się 50-lecia małżeństwa teść dostanie rzeźbioną ramę na ślubne zdjęcie, osobiście wykonaną przez Wojtka w jego warsztacie stolarskim. – Naprawdę jestem mu wdzięczny. Otworzył mnie na świat, którego istnienia sobie nie uświadamiałem – zapewnia.

Małgorzaty Świerczak na nic nie trzeba było otwierać, bo już jako dziecko lubiła zapach świeżej farby i zaprawy murarskiej. Trzydzieści kilka lat później w jej życiu przypadkiem pojawił się Mario Budowlaniec ze swoim kanałem remontowym na YouTubie.

W poczekalni u dentysty Gośka czekała na szwagierkę. Tuż obok młody mężczyzna zabijał przedzabiegowy stres oglądając jakiś film z internetu. Nie widziała obrazu, docierał do niej jedynie męski głos, tłumaczący w przystępny sposób kolejne etapy wylewania samopoziomującej wylewki. Samopoziomującej? Jest w ogóle coś takiego? Małgorzata nie wytrzymała, spytała, co to za kanał. I tak wpadła w świat remontowo-budowlany. – Grill z cegły klinkierowej, który wymurowałam w ogrodzie za domem, wygląda jak karykatura tego, który wyszedł Mariowi, ale jest mój – mówi. – Mąż pomagał przy najcięższych pracach, większość zrobiłam jednak sama. Przecinałam szlifierką kątową pręty zbrojeniowe, rozrabiałam zaprawę, docinałam cegły. No nic nie poradzę, pękam z dumy – dodaje z uśmiechem. Gosi marzy się teraz pawilon ogrodowy z sauną i jacuzzi. Dokładnie taki, jaki w jednym z filmów postawił u siebie Mario Budowlaniec. Ale to już większy budżet i o wiele trudniejsze wyzwanie. Może kiedyś.

Niezłote rączki

Małgorzata uczy angielskiego w liceum. Wojtek, z wykształcenia socjolog, pracuje w polskim oddziale dużego koncernu chemicznego. Kamil kieruje zespołem informatyków w spółce wytwarzającej prąd z fotowoltaiki. Różne życiorysy, inne środowiska i miejsca zamieszkania.
Każde z nich krzywi się jednak na sugestię, że majsterkują.

– Gdyby ktoś powiedział mojemu dziadkowi, że jest majsterkowiczem, bo umie naprawić kapiący kran, pewnie popukałby się w czoło – zapewnia Kamil. – Mam raczej poczucie, że wyplątuję się ↦

AGNIESZKA MEISSNER / FORUM

Majsterkowiczem to był Adam Słodowy – robił rzeczy, których po prostu nie dało się kupić

↦ z jakiejś absurdalnej bezsilności, ucząc się na powrót rzeczy, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu należały do kanonu codziennych umiejętności.

– Majsterkowicz? Czyli inaczej złota rączka? – dopytuje Gosia. – Mnie bliżej do mojej chrzestnej, która z szablonów z pisma „Praktyczna Pani" wycinała i szyła sobie sukienki. Bez precyzyjnej wskazówki, co, jak i czym połączyć, jestem na razie w swoim hobby bezradna. Ale się uczę – zaznacza.

– Majsterkowiczem to był Adam Słodowy – macha ręką Wojtek. – Robił rzeczy, których po prostu nie dało się kupić. To, co sobie wydłubuję w garażu, stoi tymczasem w każdym sklepie z meblami. Ale żadne krzesło ze sklepu nie zapewni takiej frajdy, jak zbudowanie krzesła.

Wojtek przesyła zdjęcia projektów, z których jest szczególnie dumny. Ostatnie dzieło, przeszklony stolik kawowy z orzecha włoskiego, z miejscem do przechowywania szachów po dziadku, wyszedł mu już niemal profesjonalnie, ale uczciwie zaznacza, że wzorował się przy tym projekcie na meblu, który zbudował jeden ze stolarskich youtuberów. Facet – tłumaczy – na co dzień jest okulistą, który poczuł też powołanie do stolarstwa.

– Film, na którym robił ze sklejki SUP-a do pływania po jeziorze, widziałem chyba dwadzieścia razy – zapala się Wojtek. – Hipnotyzuje mnie precyzja jego ruchów, delikatność połączona z pewnością. Właśnie za to pokochałem pracę w drewnie. W biurze czas goni nieustająco. Drewno nie toleruje pośpiechu. Jeśli przy szlifowaniu zaczniesz się spieszyć, będziesz nieświadomie naciskać na powierzchnię i wydrzesz w niej zagłębienia. W stolarstwie nie da się też oszukiwać. Jeśli projekt wymaga gdzieś kąta prostego, to musi być 90 stopni, nie 91 czy 89. Zgubisz pół stopnia i pół metra dalej ścianki mebla nie zejdą się idealnie.

Ja już nie potrafię

Nasi bohaterowie są już po czterdziestce. Ich pokolenie weszło w Polsce w dorosłość w specyficznym momencie dziejowym. Końcówkę lat 90. i pierwszą dekadę XXI wieku naznaczyła szybka transformacja w stronę zachodniego społeczeństwa konsumpcyjnego i gospodarki opartej na usługach. Nowe czasy potrzebowały nowego systemu wartości. A także nowego wzorca zachowań konsumenckich, który na wszelki wypadek zapisywano w produktach już na etapie ich projektowania za sprawą tzw. zaprogramowanego postarzania (ang. *planned obsolescence*). Polskie społeczeństwo, które jeszcze dekadę wcześniej funkcjonowało w świecie chronicznego niedoboru i wymuszonej nim improwizacji, nagle zostało otoczone nadmiarem przedmiotów obmyślonych i skonstruowanych w taki sposób, by psuły się tuż po wygaśnięciu ochrony gwarancyjnej, a ich naprawa była nieopłacalna. W krótkim łańcuchu pokarmowym łączącym konsumentów z producentami nie było już miejsca na „złote rączki", które w nieautoryzowany sposób usiłowałyby przedłużyć życie temu, co powinno wylądować w śmietniku. Dorastanie w takim świecie redukowało spektrum umiejętności niezbędnych w dorosłym życiu właściwie do jednego. Do zarabiania pieniędzy.

Kamil Derkuś: – Niedawno wróciła do mnie scena z wczesnego dzieciństwa. Miałem może siedem lat. Ze starszym dziesięć lat bratem byliśmy u dziadków na wsi. Próbowałem coś zdjąć z górnej półki w szafie, ale tak niefortunnie oparłem się o jej otwarte drzwi, że niechcący oberwałem jedno skrzydło. Dziadek był krewkim facetem, nie rozpieszczał wnucząt, więc się przeraziłem. Brat zobaczył, jak się trzęsę, i chyba zrobiło mu się mnie żal. Znalazł narzędzia i jakoś te wyrwane zawiasy przykręcił. Nie wiem, czy porządnie, dziadek się w każdym razie nie zorientował. Kiedy sobie to przypomniałem, uświadomiłem sobie, że dziesięć lat później, będąc w jego wieku, nie wiedziałbym, jak się w ogóle zabrać do tego wyrwanego zawiasu. A przecież wychowali nas ci sami ludzie!

Gdy w 2014 roku TNS OBOP przepytywał Polaków z praktycznych umiejętności, ponad 90 proc. ankietowanych zapewniało, że umie samodzielnie wymienić żarówkę. Niemal tyle samo twierdziło, że radzi sobie z odmrożeniem lodówki, sklejeniem pękniętych elementów z plastiku, przybijaniem gwoździ, przyszywaniem guzików i przetykaniem zatkanych kranów. 83 proc. respondentów wysoko oceniało siebie także w roli malarzy pokojowych. Wiercenie dziur w ścianach przerastało już jednak aż 25 proc. Polaków. Naprawa wyrwanego gniazdka elektrycznego była poza zasięgiem umiejętności 46 proc. respondentów. W podsumowaniu autorzy badania podkreślali też, że im młodsi byli ankietowani, tym częściej w odpowiedziach sygnalizowali braki umiejętności.

– Dlatego powtarzam, że wracamy z dalekiej podróży – ciągnie Derkuś w reakcji na zacytowane wyniki badań. – Dużo mówi się teraz o bezpieczeństwie i odporności. Ludzie chodzą na strzelnicę, w lesie bawią się w preppersów, za ciężkie pieniądze uczą się na kursach przetrwania, jak oskórować kuropatwę. A potem okazuje się, że większość tych silnych facetów, gadających w kółko o odporności i samowystarczalności, dzwoni po hydraulika, jak się im zatka kibel. Mnie

moja bezsilność w pewnym momencie zaczęła wręcz wkurzać. Zwłaszcza gdy zdałem sobie sprawę, ile można na niej zarobić – dodaje.

Zrób to jak fachowiec

Nic dziwnego, że nikt jeszcze nie zlecił – a przynajmniej nie opublikował – badań szacujących polską skalę fenomenu zwanego z angielska DIY. *Do it yourself*, czyli zrób to sam, to w istocie postawa antyrynkowa. A rynek łaknie pieniędzy konsumentów, nie będzie więc płacić za badania, które pokażą, jak wielu z nich próbuje obejść uświęcone reguły konsumpcji i bawi się w domu w fachowców. Zarazem jest jednak pragmatyczny i nie zmarnuje okazji do zarobku, który tworzy mu rosnące zainteresowanie majsterkowaniem. Dlatego u tych, którzy już połknęli bakcyla, dyskretnie stymuluje ten trend, finansując i wspierając sprzętowo kolejne internetowe osobistości DYI, które niczym mistrzowie ceremonii wprowadzają nowych adeptów do świata majsterkowania. Konsument próbuje zaoszczędzić naprawiając pralkę samemu? To zaopatrzmy go w górę narzędzi, a wcześniej zadbajmy, by poczuł, że są mu niezbędne. A skoro ma w szafie osobne ubrania na narty, w góry, do biegania, na rower i na inne okazje, nie dopuśćmy też, by pochylał się nad tą pralką w zwykłym podkoszulku i dżinsach. Ceny tzw. odzieży ochronnej w sklepach dla majsterkowiczów wprawiłyby dziś w osłupienie każdego behapowca, który pamięta lata 90. i ubrania na budowę kupowane na wagę.

> W 2014 r. ponad 90 proc. Polaków twierdziło, że umie samodzielnie wymienić żarówkę. Naprawić wyrwane ze ściany gniazdko potrafił już tylko co drugi.

Polska podąża tutaj ścieżką wydeptaną już w USA, gdzie najpopularniejsze youtubowe kanały spod znaku DIY zgromadzą milionowe widownie i sowite kontrakty reklamowe. DIY Creators z szeroką gamą porad, od prostego instruktażu montażu półki ściennej, aż po przepis na fundamenty? Ponad 3 mln subskrybentów i ćwierć miliarda odtworzeń. Kanał Four Eyes Furniture dla miłośników wyrafinowanego stolarstwa? Przeszło 1,3 mln subskrybentów i 234 filmy odtworzone dotąd łącznie ponad 112 mln razy. Świat majsterkowania i drobnych domowych remontów widziany oczyma zaradnej nowoczesnej kobiety – czyli kanał TheSorryGirls? Ponad dwa miliony widzów i już niemal pół miliarda wyświetleń od momentu powstania w 2010 r. Amerykanki ewidentnie były inspiracją dla Sylwii Czubkowskiej, Alicji Rzeczkowskiej i Barbary Sowy, znanych polskich dziennikarek, które w 2017 r. stworzyły kanał Majsterki, ale chyba straciły serce do projektu po nakręceniu zaledwie 43 filmów. Po drodze wydały jeszcze książkę na ten sam temat.

Życiem tętni za to starszy o trzy lata kanał Pięć Sposobów Na (2,3 mln subskrybentów), w którym pięciu przyjaciół, ↦

REKLAMA

MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.
Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN wyborcza | **szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!**

↦ prowadzących wcześniej stronę internetową spryciarze.pl, dzieli się doświadczeniem i obserwacjami związanymi z majsterkowaniem i odnawianiem starych przedmiotów. Od pewnego czasu panowie współpracują także z Castoramą, dla której regularnie przygotowują poradnikowe produkcje z cyklu „Mieszkanie od zera" czy „Arena pomysłów". Na popularności zyskuje również Mario Budowlaniec, kanał Mariusza Piotrowskiego, który od 2014 roku uczy na YouTubie sztuczek remontowo-budowlanych. Maria śledzi już ponad pół miliona polskich internautów. Ma też oficjalnego partnera technologicznego, znanego niemieckiego producenta elektronarzędzi.

– Widać, jak z każdym rokiem polskie produkcje DYI obrastają lokowaniem produktów, reklamami, współpracami sponsorskimi, cóż, każdy musi z czegoś żyć – podkreśla Małgorzata Świerczak. – Na razie mnie to nie odrzuca. Ale ja lubię konkrety. Imponuje mi facet, który potrafi wyrównać krzywą ścianę. Z wiekiem coraz bardziej cenię praktyczne umiejętności i chyba nie jestem w tym odosobniona.

Umysłowi przy robocie

Wiercenie może faktycznie onieśmielać kogoś takiego jak Wojtek, kto w pracy ma stale pod ręką kombinację klawiszy CTRL Z, która bezkarnie pozwala cofnąć każdą zmianę. Ale praca w regionalnym oddziale dużej korporacji zapewnia też wgląd w zaledwie wąski wycinek skomplikowanego procesu, na końcu którego pojawiają się dopiero efekty i można poczuć satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Wojtkowi zdarzało się już zbierać z polskiego rynku dane do raportów dla centrali, która nawet nie była łaskawa poinformować, co zamierza nimi zmierzyć. Albo stracić dwa dni na naradzie, który odcień turkusu będzie optymalny na etykietę nowego produktu. Pracuje ciężko, ale nie zawsze wie, nad czym.

> Gdy fachowiec po zawodówce za naprawę lodówki chce stawki równej twojej dniówce w biurze, zaczynasz się zastanawiać, czy na pewno wybrałeś właściwą ścieżkę kariery.

– Ale po takim maratonie idę do piwnicy, którą żona po długich targach pozwoliła mi przerobić na warsztat. Jest klaustrofobicznie, połowę miejsca zajmuje strugnica stolarska, z każdej ściany zwisają deski i narzędzia, ale wtedy lubię to uczucie ściśnięcia. Jest cicho. Pachnie świeżą tarcicą. Światło ma przyjemną ciepłą barwę. Biorę na przykład strug i ścinam powierzchnię deski o milimetr. Albo delikatnie zarysowuję ją ołówkiem i następnie szlifuję papierem ściernym. Coraz mniejszą gramaturą, najpierw 80., na koniec nawet 220. Już godzina spędzona w tak uspokajającym otoczeniu, na powtarzalnych czynnościach, które przynoszą natychmiastowy efekt, potrafi zresetować głowę.

Wielu pracownikom umysłowym głowy zresetowały także ostatnie zmiany na polskim rynku pracy. W pierwszych dwóch dekadach transformacji łaknąca nowych, nieznanych wcześniej specjalności gospodarka wysoko wyceniała i premiowała umiejętności ze sfery biura i usług. Wraz z kolejną zamkniętą kopalnią, cukrownią i fabryką kurczyła się pula miejsc pracy dla osób o niskich kwalifikacjach zawodowych. W dekadę lat 90. Polska weszła z około 5,2 mln etatów w przemyśle. Kończyła ją, mając ich już niespełna 2,9 mln. Na domiar złego polskie społeczeństwo wyniosło jeszcze z PRL-u przekonanie o prymacie pracy umysłowej nad fizyczną, co wraz ze zmianami rynkowymi musiało się odbić na wysokości wynagrodzeń pracowników fizycznych. Pomiędzy nimi a pensjami w biurach rosła przepaść.

Od kilku lat widać tendencję odwrotną. Etaty biurowe dziesiątkuje dziś rozwój sztucznej inteligencji, która przejmuje *call centers*, coraz śmielej poczyna sobie w księgowości i łapczywie zerka już w stronę takich działów jak

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny: Piotr Mucharski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

marketing i projektowanie. Po pandemii polski przemysł skorzystał tymczasem na próbach dywersyfikacji produkcji przez globalne marki, które boją się postawić wszystko na jedną chińską kartę. Przybyło także miejsc pracy w budownictwie, w magazynach, transporcie i w energetyce odnawialnej. Nic też dziwnego, że w tegorocznej edycji badania „Barometr Rynku Pracy 2025" grupą, która najczęściej deklarowała, że w ciągu ostatniego roku dostała podwyżkę, byli właśnie pracownicy szczebla fizycznego i produkcyjnego (42,4 proc.). Podwyżki zdarzały się najczęściej w handlu (43,1 proc.) oraz w przemyśle (42,7 proc.). Wśród pracowników sektora usługowego, w tym klasycznych białych kołnierzyków z biur, wzrostu zarobków dostąpiło zaledwie 30,7 proc.

Absolwenci zarządzania, politolodzy, historycy i filmoznawcy coraz częściej zadają więc sobie pytanie, czy dobrze obstawili przed laty, wybierając dwu- czy trójstopniowe studia humanistyczne. Zwłaszcza stojąc nad zepsutą zmywarką czy lodówką, za naprawę której absolwent szkoły zawodowej domaga się równowartości ich dniówki.

Być bohaterem swojego domu

Badanie przeprowadzone w ub. roku przez pracownię sondażową SW Research pokazało, że w tzw. pokoleniu Z, czyli wśród urodzonych w latach 1995-2012, aż 53 proc. uważa pracę fizyczną za atrakcyjną lub wręcz bardzo atrakcyjną. Za takim wyborem zdaniem „zetek" przemawia przede wszystkim dobre wynagrodzenie (taką odpowiedź wskazało aż 50 proc. ankietowanych), możliwość szybkiego wejścia na rynek pracy bez długoletnich studiów (48 proc.) oraz stabilne zajęcie, na które jest popyt (44 proc). Ci, którym praca fizyczna wydała się z kolei mało atrakcyjnym wyborem, taką ocenę tłumaczyli najczęściej trudnymi warunkami, w jakich się ją zwykle wykonuje. Na niski prestiż społeczny zajęć fizycznych wskazał mniej niż co piąty ankietowany. Rzecz kilkanaście lat temu nie do pomyślenia.

Komuś, kto przespałby ostatnią dekadę, trudno byłoby się odnaleźć na aktualnej mapie polskich ambicji i życiowych priorytetów. Przeorała je pandemia, zamykając nas w domu i zwiększając w ten sposób znaczenie rodziny. Również w tak prozaicznym wymiarze, jak wyżywienie czy spędzanie wolnego czasu. Nic też dziwnego, że w centrum naszego życia – jak pokazuje opublikowane w czerwcu badanie GUS o budżecie czasu ludności – jest dziś dom i sprawy rodzinne. Na przestrzeni ostatniej dekady statystyczny Polak zwiększył swoje zaangażowanie na rzecz domu aż o 14 minut w ciągu doby, a i tak uważa, że poświęca na to mniej czasu, niż by chciał.

Każdej doby statystyczny polski mężczyzna poświęca średnio godzinę i 53 minuty na prace, które można nazwać budowlanymi, porządkowymi i naprawczymi. Przeciętna kobieta – o 48 minut mniej. W dobowym reżimie polskiej rodziny bardziej czasochłonna jest już tylko opieka nad dziećmi oraz uczestnictwo w kulturze (głównie poprzez streaming i telewizję). Zamknięci w domu podczas lockdownu zaczęliśmy go z nudów upiększać, naprawiać i udoskonalać – i tak już nam zostało.

Badanie GUS pokazało przy okazji, jak dużo składowych naszej codzienności pozostaje wciąż w wyłącznej sferze wpływów rodziny. Wartość tzw. nieodpłatnej nierynkowej pracy polskich gospodarstw domowych sięga 1,8 biliona złotych. W chwili przeprowadzania badania w 2023 roku stanowiła ona aż 53 proc. wartości PKB. Gotowanie, sprzątanie, opieka nad dziećmi i osobami starszymi, ale także drobne naprawy czy nawet budowy realizowane metodą gospodarczą, czyli bez odpłatnej pomocy – wszystko to w dużej mierze nadal robimy sami. W krajach Europy Zachodniej to już sfera oddana sektorowi usługowemu.

Można widzieć w tej różnicy jedynie cywilizacyjną przepaść, która wciąż dzieli nas od Francji czy Luksemburga, ale można także dostrzec swoistą przewagę. We Francji nie odbyłaby się debata o „polskim hydrauliku", gdyby dostatecznie wielu Polaków, w odróżnieniu od Francuzów, nie potrafiło samodzielnie naprawić kranu.

©℗ MAREK RABIJ

FOT. GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

HISTORYK Z MISJĄ

Jedni chwalą go za odwagę stawiania niepopularnych tez, inni jego twórczość nazywają historyczną pornografią. Jedno jest pewne – obok działalności Piotra Zychowicza nie da się przejść obojętnie.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Obłęd'44. Szokujące kulisy wywołania Powstania Warszawskiego" – film pod takim tytułem w ciągu dwunastu dni obejrzało prawie 300 tys. Polaków. Inne pozycje kanału „Historia realna" (mającego 700 tys. subskrybentów) przebiły bez większego trudu rzadko osiągalną barierę miliona wyświetleń.

Piotr Zychowicz, płodny i popularny autor książek, a od kilku lat także twórca kanału na YouTubie, w centrum uwagi pojawia się w sierpniu, w okolicach rocznicy wybuchu powstania. Głosi od dawna pogląd, że decyzja o rozpoczęciu zbrojnego wystąpienia była zbrodnią popełnioną przez kilku dowódców AK. I że przyniosła zagładę ludności Warszawy oraz samego miasta, nie dając żadnych korzyści.

WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

„Prawdziwa historia nie jest taką, jaką nam się indoktrynuje w postaci polityki historycznej, czyli opowieści o tym, że zawsze mieliśmy rację, wszystkie nasze decyzje były super i zawsze byliśmy bohaterscy, a za wszystkie nieszczęścia Polski odpowiadają albo wredni sąsiedzi, albo mniejszości, albo sojusznicy (...). Historię uprawia się w sposób krytyczny i trzeba również w sposób odważny stanąć przed nagą prawdą i przeanalizować błędy, jakie popełnialiśmy my, Polacy, w przeszłości" – te słowa Zychowicza, pochodzące ze wspomnianego filmu na 81. rocznicę powstania, można uznać za jego *credo*. Sprowadzające się do polemizowania z utartymi sądami i stereotypami na temat historii.

Prowokuje od dawna, ale w ostatnich dniach wszedł na poziom sporu politycznego, atakując Karola Nawrockiego. Prezydent (wówczas elekt) pisał na X, że „Powstanie było bohaterskim zrywem Polaków, którzy pokazali światu, że na ziemiach okupowanych przez Niemcy i Sowietów działa Polskie Państwo Podziemne i Armia Krajowa", i że „Powstańcy szli do walki, wiedząc, że czeka ich śmierć", ale „nie zadawali pytań o sens heroicznego zrywu".

„W interesie Polski nie leżała zagłada stolicy i jej mieszkańców" – odpowiadał Nawrockiemu Zychowicz, dodając, że polityk ten przedkłada najwyraźniej puste gesty ponad realne interesy. I dodawał, że wpis Nawrockiego jest niepokojący, gdyż niedługo ma on objąć urząd zwierzchnika Sił Zbrojnych, a „fałszywa historia jest matką fałszywej polityki". Nawrocki, kandydat PiS na prezydenta, odwołuje się do propagowanego przez tę partię nurtu mesjanistyczno-romantycznego historii. Zychowicz zaś otwarcie przyznaje, że bliższy jest mu konkurencyjny nurt realistycznego myślenia o stosunkach międzynarodowych, a za swych mistrzów uważa jego prekursorów – Adolfa Bocheńskiego czy Władysława Studnickiego.

Skąd się wziął jeden z najpopularniejszych historyków i publicystów, kształtujący sposób myślenia tysięcy (także młodych) Polaków, a równocześnie krytykowany przez innych historyków, że niewystarczająco dokumentuje swoje tezy?

Piotr Zychowicz na Targach Książki Historycznej. Warszawa, listopad 2016 r.

W redakcji jak w domu

W wieku dwudziestu lat, jeszcze w czasie studiów historycznych na UW, zaczyna współpracę z „Rzeczpospolitą". To ruch naturalny: w dzienniku tym pracowała jego matka, Ewa Zychowicz. Zresztą oboje rodzice jeszcze w PRL byli dziennikarzami. Ojciec Andrzej pracował w Polskim Radiu, był członkiem PZPR. Matka, sporo od niego młodsza, pracowała też m.in. w TVP, ale została negatywnie zweryfikowana w stanie wojennym.

Sam Zychowicz (rocznik 1980) opowiada, że przez to, iż matka pracowała w „Rzeczpospolitej", on się praktycznie w tej redakcji wychowywał, a jako kilkunastoletni chłopak znał już wszystkich redaktorów. – Plac Starynkiewicza, gdzie mieściła się siedziba, był moim drugim domem, więc gdy przyszło do decydowania, co mam robić w życiu, uznałem, że zostanie dziennikarzem to dobry pomysł – opowiada.

Wieloletni szef działu zagranicznego dziennika Jerzy Haszczyński przyznaje, że Zychowicz, który początkowo był stażystą, a z czasem doszedł do funkcji zastępcy szefa działu, od początku miał „ciąg na bramkę" i tendencję do pisania w innym – bardziej dynamicznym – stylu, niż obowiązywał w popularnej „Rzepie". Zychowicz dostrzegał też nieoczywiste aspekty wydarzeń. – Gdy powstał film „Bękarty wojny" Quentina Tarantino, zwracał nam uwagę, że to jest interpretacja historii II wojny światowej, która trafia do młodych ludzi i może być uznana za prawdziwą – opowiada Haszczyński.

Już na łamach „Rzeczpospolitej" Zychowicz zaczyna publikować teksty i wywiady historyczne, choćby z nieżyjącym już dziś prof. Pawłem Wieczorkiewiczem, uchodzącym za jego mistrza. Ten niekonwencjonalny historyk prezentował ten sam nurt myślenia, który dziś propaguje Zychowicz – był zwolennikiem porozumienia z Niemcami przeciw ZSRR przed 1939 rokiem i potępiał decyzję o wybuchu powstania warszawskiego. To również prof. Wieczorkiewicz postawił tezę, że czczony jako bohater gen. Leopold Okulicki mógł być agentem NKWD i wszystkie jego działania, włącznie z parciem do wybuchu powstania, były przejawem działalności agenturalnej.

W 2013 r. powstaje nowy prawicowy tygodnik „Do Rzeczy". Jego naczelnym ↦

zostaje wyrzucony wcześniej z „Rzeczpospolitej” Paweł Lisicki. Funkcję zastępcy – a równocześnie szefa miesięcznika „Historia Do Rzeczy” – przejmuje Zychowicz. W tym samym roku wychodzi też pierwsza książka Zychowicza „Pakt Ribbentrop-Beck” i od razu staje się głośna, bo propaguje wspomnianą tezę, że w 1939 r. Polska powinna była się porozumieć z Niemcami, tak jak to zrobili np. Rumuni czy Węgrzy.

Dobry Niemiec, zły Polak

W kolejnych książkach, wydawanych z dużą częstotliwością, Zychowicz przyjmuje podobną metodę – w każdej głosi kontrowersyjną tezę. Drugą była wspomniana książka „Obłęd'44”, po niej „Opcja niemiecka” – o Polakach, którzy w czasie wojny usiłowali porozumieć się z III Rzeszą. W książce „Skazy na pancerzach – czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych” Zychowicz opisywał mordy, jakich dopuszczali się idealizowani przez politykę historyczną za rządów PiS „wyklęci”. Był za to ostro atakowany. – Żołnierze Wyklęci są traktowani przez tych ludzi jak Armia Ludowa za komuny. Jak się powie jedno złe słowo, to od razu jest się zdrajcą – mówi Zychowicz. – To dowód, że mentalna komuna istnieje, bo to jest nic innego jak zalewanie starej komunistycznej formy patriotyczną treścią – dodaje.

Jednak jeszcze więcej kontrowersji wywołała książka „Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA”. Głosząca tezę, iż w 1943 r. Armia Krajowa nie przyszła z pomocą polskiej ludności Wołynia, mordowanej przez Ukraińców, choć mogła. To właśnie ta książka w 2019 r. była powodem skandalu, gdy kierowana przez Jacka Kurskiego TVP wycofała ją ze współorganizowanego przez siebie konkursu „Książka Historyczna Roku”, a sam konkurs unieważniono.

Historyk i publicysta Piotr Gursztyn, który w tamtym czasie był związany z TVP, przekonuje, że decyzja była uzasadniona, bo pozycja zawierała nieudokumentowane tezy. – W książce wszyscy są źli, tylko Niemcy są dobrzy. Potworem jest Grot-Rowecki, bo nie pozwolił AK ratować ludności polskiej. Wcześniej, w książce o powstaniu, zły był Bór-Komorowski – dodaje Gursztyn.

Publikacja o Wołyniu wywołała wiele polemik – książkę na ten temat wydał np. historyk Marek A. Koprowski, który precyzyjne wymienił nieścisłości Zychowicza. Tymczasem autor „Wołynia” podtrzymuje swoje poglądy. – Linia ataku na moją książkę była taka, że pluję na Armię Krajową, która jest przecież świętością – mówi. Tymczasem, dodaje, w dokumentach polskiego podziemia w Archiwum Akt Nowych nie ma śladu, by jego polemiści je kiedykolwiek przeglądali. A znajdują się w nich, jak twierdzi Zychowicz, niezbite dowody potwierdzające jego tezę. Podkreśla zarazem, że obowiązkiem historyka jest analiza faktów i dojście do prawdy, nawet jeśli jest ona niewygodna.

Jak ocenia wycofanie „Wołynia” z konkursu „Książka Historyczna Roku”? Jednoznacznie: jako przejaw politycznej cenzury. – Nie było problemu ze zgłoszeniem książki. W momencie jednak, gdy organizatorzy się zorientowali, że ma taką przewagę nad innymi, że wygra, to po prostu ją usunęli – relacjonuje Zychowicz. Jego zdaniem miało to odwrotny do zamierzonego efekt: sprzedaż książki wzrosła kilkakrotnie i musiano zrobić kilka dodruków.

Piotr Gursztyn niejednokrotnie spierał się z Zychowiczem – napisał m.in. polemiczną książkę „Ribbentrop-Beck. Czy pakt Polska-Niemcy był możliwy?”. Dziś przekonuje, że Zychowicz – absolwent Instytutu Historycznego UW – dysponuje dobrym warsztatem historyka i ma dużą wiedzę, co jednak jeszcze bardziej go obciąża. Bo można mu postawić zarzut, że intencjonalnie manipuluje, pomija niektóre źródła, inne zaś wyolbrzymia. – To nie jest kwestia amatorszczyzny, ale celowego wprowadzania ludzi w błąd – mówi Gursztyn.

Publicysta przypomina, że nawet prof. Antoni Dudek (ten nie chce wypowiadać się o bohaterze tego tekstu), który bronił autora „Wołynia zdradzonego” przy okazji wycofania jego książki z konkursu, nazwał to, co pisał wówczas Zychowicz, pornografią historyczną. – Bo to jest pornografia historyczna – ocenia Gursztyn.

Inny historyk, dr Piotr Gontarczyk z IPN, potwierdza, że Zychowicz przyjął metodę zwracania na siebie uwagi przez szokowanie. – Stara się przebijać z możliwie jak najbardziej szokującymi tezami, które jednak nie spełniają wymogów warsztatu. To są czasem takie sensacyjki na poziomie brukowców – mówi.

Prawicowiec kontra prawica

Sam Zychowicz odpowiada, że jego polemiści po prostu nie tolerują innego sposobu widzenia historii niż własne. – Skoro istnieje propagandowa, kanoniczna wersja dziejów, którą wykłada się w postaci polityki historycznej, a przychodzi ktoś, kto mówi, że w rzeczywistości było inaczej, to siłą rzeczy wzbudza agresję i pomówienia. Stąd zarzuty, że dobieram stronnicze źródła lub jestem agentem niemieckim, rosyjskim lub żydowskim – mówi Zychowicz. Jego zdaniem historia w Polsce traktowana jest

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!
ZŁOTY WIEK
O życiu osób dojrzałych, opiece nad seniorami i roli starszego pokolenia w kulturze i polityce
Prowadzi MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/newsletter

jako „parareligia": ma swoje dogmaty, więc każdy, kto idzie pod prąd, jest traktowany jak heretyk.

Michał Wójcik, również publicysta historyczny i autor wielu książek o II wojnie światowej, przypomina, że Zychowicz zaczynał jako dziennikarz, zależało mu więc na tym, by jego tezy się przebiły. Musiał być wyrazisty, a w tej wyrazistości fakty podporządkowane są tezie. – Ja jednak cenię jego twórczość, przede wszystkim „Obłęd'44". To było rewelacyjne jak na tamte czasy. Strzał w dziesiątkę, bo wiele osób miało serdecznie dosyć zarówno poprawności, jak i natrętnej polityki historycznej, w której obowiązkiem jest przyklęk przed powstaniem warszawskim – mówi Wójcik. – Czułem jakiś rodzaj satysfakcji, że ktoś coś takiego napisał. Stosując odpowiednie proporcje, ta książka odegrała podobną rolę jak „Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa, w tamtym momencie po prostu była potrzebna – dodaje Wójcik. I zwraca uwagę, że np. Stanisław Likiernik, z którym (wraz z Emilem Maratem) zrobili wywiad rzekę „Made in Poland", był wobec Zychowicza bardzo krytyczny za atak na mit powstania. Jednocześnie jednak powtarzał jego argumenty.

Wójcik ceni też Zychowicza za odwagę wobec własnego, prawicowego środowiska. Wykazał się nią np., wydając krytyczne wobec żołnierzy wyklętych „Skazy na pancerzach". – Drażni mnie u niego apodyktyczny sposób argumentowania, charakterystyczny bardziej dla publicystyki niż historii *sine ira et studio*. Historycy częściej wątpią, on zawsze jest pewien, wali tezą między oczy – mówi Michał Wójcik. Zarazem, dodaje, Zychowicz nie odpowiada na niektóre pytania pojawiające się jako pokłosie jego tez. Np. o to, czy gdyby Polska zawarła w 1939 r. sojusz z Niemcami, musiałaby zaakceptować Holokaust.

Sam Zychowicz uważa, że gdyby Polska zawarła sojusz z III Rzeszą, Holokaustu na ziemiach polskich w tej skali najprawdopodobniej by nie było. Przypomina, że w krajach, które były sojusznikami Niemiec, udało się ocalić znacznie więcej Żydów właśnie dlatego, że to władze tych krajów decydowały, czy wydać Niemcom żydowskich współobywateli. – O tym, że szanse Żydów na przeżycie w krajach sprzymierzonych z Niemcami były znacznie większe niż w krajach przez Niemców okupowanych, pisał choćby prof. Timothy Snyder. Zwracał uwagę, że aby przeprowadzić Holokaust, Niemcy musieli podbić dane państwo, mieć dostęp do jego dokumentacji, możliwość skoncentrowania ludzi w gettach, a następnie wywózki do obozów. Takie rzeczy można było zrobić tylko na terenach podbitych. W państwie Vichy przeżyło przecież 75 proc. Żydów, a u nas 95 procent Niemcy wymordowali – relacjonuje. I dodaje, że historycy nie są od zadawania pytań, tylko od wyciągania wniosków z przeszłości. – Ja to właśnie robię – mówi.

PIOTR GURSZTYN, PUBLICYSTA:

W książce Zychowicza wszyscy są źli, tylko Niemcy dobrzy. Potworem jest Grot-Rowecki, bo nie pozwolił AK ratować ludności polskiej. Wcześniej, w książce o powstaniu, zły był Bór-Komorowski.

Niektórzy przekonują, że przyjęta przez Zychowicza metoda szokowania ma dobre strony. Nawet jeżeli głoszone przez autora tezy są kontrowersyjne, sam fakt ich wypowiadania wywołuje społeczne zainteresowanie tematem. Nie zgadza się z tym Piotr Gontarczyk. – Nie można zapomnieć o tym, że takich Zychowiczów używa przeciwko Polsce rosyjska propaganda. Np. pokazując, że w Polsce poważnie dyskutuje się o sensowności pójścia z Hitlerem na Moskwę – przekonuje historyk.

Między geopolityką a polityką

W ostatnich latach istotnym elementem działalności publicystycznej Zychowicza stała się geopolityka. Wspólnie z ekspertem w tej dziedzinie Jackiem Bartosiakiem napisał dwie książki: w 2021 r. „Nadchodzi III wojna światowa", a w 2023 r. „Wojnę o Ukrainę, wojnę o świat". Ostatnią pozycją Zychowicza jest wydany w 2024 r. „Izrael na wojnie", w której autor ostro ocenia syjonizm – jako ideologię dziś prowadzącą do nienawiści i czystek etnicznych.

Tematyką żydowską i izraelską Zychowicz zajmował się już przed laty w „Rzeczpospolitej". Na tyle zaprzyjaźnił się np. z nieżyjącym już dziś Szewachem Weissem, że ten był obecny na jego pierwszym ślubie w Jerozolimie. – Gdy dwadzieścia lat temu w „Rzeczpospolitej" Jurek Haszczyński dzielił świat, to mi przypadły Izrael i Afryka – żartuje Zychowicz. – Gdy jako dziennikarz „Rzepy" zacząłem zajmować się Izraelem, byłem zafascynowany syjonizmem. Po licznych wizytach w Izraelu mi to przeszło. Takiej ilości nacjonalizmu, nienawiści, szowinizmu, przemocy, upokarzania nie widziałem nigdzie indziej. Stwierdziłem, że projekt syjonistyczny został stworzony na gigantycznej krzywdzie rdzennej ludności – dodaje.

Najnowszą formą aktywności Zychowicza stała się wspomniana „Historia realna", określana jako „niezależny kanał o historii, geopolityce i wojsku". Odniósł dzięki niemu sukces, choć przyznaje, że kanał był początkowo poświęcony tylko historii. Jednak w momencie, gdy wybuchła wojna na Ukrainie, przekształcił się w forum rozmów na temat tej wojny, a potem generalnie geopolityki. – Skoro historia jest nauczycielką życia i mamy dziś wyciągać wnioski z przeszłości, to wiąże się ściśle z tym, co się dzieje. Próbuję poglądy Bocheńskiego i Studnickiego przekładać na dzisiejsze czasy, bo nasze położenie geopolityczne się nie zmieniło – podkreśla. I dodaje, że po zakończeniu wojny wróci do historii.

Po ostatnich krytycznych słowach wobec Nawrockiego Zychowicz został zaatakowany przez polityków, co zapewne przysporzy mu widzów kanału i czytelników książek. Ale skłania też do postawienia pytania, czy sam nie zamierza przekroczyć czerwonej linii zaangażowania w życie polityczne? Zapewnia jednak, że nie. – Dobrze się czuję z tym, co robię, a mam złe zdanie o politykach. Uważam, że polityka deprawuje ludzi – tłumaczy.

Jerzy Haszczyński przytacza anegdotę pokazującą popularność Zychowicza. – Byłem w księgarni w centrum Warszawy, tuż przed zamknięciem wpada para elegancko ubranych młodych ludzi. „Czy macie coś Zychowicza?" – pyta mężczyzna księgarza. Ten, nie patrząc na półki czy do komputera, odpowiada: „Tak, mamy jeszcze jedną książkę".

Rzeczywiście: jako polityk Zychowicz nie zyskałby takiej popularności.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Wakacje z aferą

AGNIESZKA KAMIŃSKA

FUNDUSZE | Dzięki środkom z KPO hotele, restauracje i biura podróży miały zahartować się na wypadek przyszłych kryzysów. Zamiast wsparcia, dostały kolejny cios. Wstrzymanie wypłat i kontrole to niepewność, a tej przedsiębiorcy mają dość.

Kiedy w maju 2024 r. startował drugi nabór wniosków do Krajowego Planu Odbudowy dla branży HoReCa, Artur Mostowy akurat ruszał z nowym biznesem. Otwarcie całorocznych domków nad morzem opóźniało się przez problemy z firmą budowlaną i urzędniczą opieszałość. – Dwa i pół roku czekałem na przyłączenie prądu. Stanąłem na głowie, żeby uruchomić tę działalność, więc KPO było dla mnie trochę jak nagroda od losu – mówi.

Kiedy okazało się, że spełnia kryteria (w pandemii prowadził bistro i saunę), złożył wniosek. – Nie interesowało mnie „przytulenie" pieniędzy na cokolwiek. Miałem przemyślany projekt, chciałem wzmocnić pozycję na rynku, a jednocześnie wypełnić niszę w usługach w okolicy – opowiada przedsiębiorca.

Zainwestował w wypożyczalnię rowerów elektrycznych, w planach były balie z hydromasażem i wanny termalne, co miało przyciągnąć gości wiosną i jesienią. Chciał też zbudować stację ładowania samochodów elektrycznych, o którą pytają turyści z zagranicy. W programie punktowane były ekologiczne rozwiązania, zawarł więc we wniosku instalację fotowoltaiczną z magazynem energii. Zawnioskował o maksymalną kwotę wsparcia, czyli 540 tys. zł. Kiedy otrzymał pozytywną ocenę wniosku, zapożyczył się u rodziny i znajomych, żeby sfinansować inwestycje, bo wypłaty z KPO odbywają się na zasadzie refundacji kosztów.

Po tym jak otrzymał pierwszą częściową wypłatę, wokół KPO rozpętała się burza. O tym, że płatności zostały wstrzymane, dowiedział się z mediów.

Branża się podnosi

Pięć lat po wybuchu pandemii większość Polaków zapomniała o zamkniętych restauracjach i hotelach. Nie zapomnieli przedsiębiorcy, którzy z dnia na dzień stracili źródło dochodów. Spadek obrotów odnotowało wówczas ponad 60 proc. firm z branży HoReCa.

Dziś turystyka i hotelarstwo radzą sobie coraz lepiej, ale zwłaszcza dla właścicieli małych biznesów w miejscowościach turystycznych KPO było nadzieją – jeśli nie na odbudowę, to na dodatkowy zastrzyk gotówki. Inwestowano w letnie ogródki, strefy relaksu, domki campingowe, wypożyczalnie sprzętu sportowego, siłownie.

Medialny przekaz zdominowały jednak jachty i inne obśmiane przykłady inwestycji za pół miliona. Opozycyjni politycy zyskali bat na rząd. W odpowiedzi na zarzuty o nieprawidłowościach w ocenie wniosków resort funduszy i polityki regionalnej ogłosił wstrzymanie wypłaty środków i rozpoczął kontrole.

Na liście beneficjentów KPO są hotele, domy weselne, ośrodki wypoczynkowe, restauracje, pizzerie, lodziarnie, browary, szkoły pływackie. Wielu ich właścicieli woli nie wypowiadać się pod nazwiskiem. Boją się posądzeń o wyłudzenia. – Zostaliśmy wrzuceni do jednego worka z oszustami – mówią.

Beata Jakubiak, właścicielka kawiarni i domów wczasowych w Ustce, w branży działa od 15 lat. Sama nie starała się o środki z KPO, ale popiera tych, którzy to zrobili. – Ci, którzy teraz krzyczą, że przedsiębiorcy dorabiają się na pieniądzach z KPO, nie mają pojęcia o naszych problemach – mówi.

Prowadzenie gastronomii nad Bałtykiem to wieczne wyczekiwanie na turystów, a wystarczy niepewna pogoda, aby wczasowicze odwołali pobyty nad morzem. W internecie krążą „paragony grozy" ze smażalni ryb i plotki o zamkniętych plażach w związku z przebudową portów pod bazy serwisowe elektrowni wiatrowych. Wielu rodaków wybiera więc wakacje za granicą. Ci, którzy przyjeżdżają nad polskie morze, oszczędzają.

– W gastronomii jest fatalnie, z roku na rok mamy coraz wyższe koszty, zatrudniamy pracowników, szykujemy się na sezon, a ten obecny skończył się, zanim jeszcze na dobre się zaczął. Wielu przedsiębiorcom działalność średnio się opłaca – mówi Jakubiak, zmuszona skrócić godziny otwarcia lokali, bo wieczorami ulice świecą pustkami. – Utyskiwanie na restauratorów, którzy kupują maszyny do lodów, to brak wyobraźni – dodaje.

Łatwiej było kupić żaglówkę

– Dla wielu z nas była to długo wyczekiwana szansa na ponowne złapanie wiatru w żagle – mówi o KPO Agnieszka Kukałowicz z Gdańska, której firma na swojej podstawowej działalności, czyli sprzedaży wycieczek, straciła w pandemii 70 proc. przychodów. – Niestety program został tak skonstruowany, że branży turystycznej, która boleśnie odczuła skutki pandemii, trudno było te środki otrzymać – mówi.

Chodzi o regulaminowy wymóg dywersyfikacji działalności gospodarczej. – Dla hotelu taką „drugą nogą" może być wypożyczalnia sprzętu wodnego czy budowa jacuzzi. Co ma zrobić biuro podróży, które do tej pory organizowało wycieczki do Grecji? Uruchomić nowe kierunki albo inne formy wyjazdów, ale ekspertom oceniającym wnioski, którzy nie zawsze rozumieją specyfikę branży, trudno zrozumieć, że jest to nowa usługa – zwraca uwagę Kukałowicz.

– Naszym głównym zarzutem wobec KPO jest to, że duża część funduszy została przeznaczona na inwestycje w środki trwałe, a w mniejszym stopniu na cyfryzację przedsiębiorstw, która realnie mogłaby zwiększyć odporność na przyszłe kryzysy – tłumaczy Kukałowicz, która jest też przedstawicielką Polskiej Izby Turystyki.

Jej firma postawiła na cyfryzację, oferując usługę wyszukiwarki podróży opartej na sztucznej inteligencji. Narzędzie łączące turystykę i informatykę zostało docenione jako innowacja. Wniosek o środki na „transformację cyfrową" jest na liście rezerwowej i trudno powiedzieć, co w obecnej sytuacji się z nim stanie.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Warszawskie restauracje w piątkowy wieczór w pandemii po ogłoszeniu kolejnego lockdownu, 23 października 2020 r.

– Na realizację zadeklarowanych w KPO przedsięwzięć firma ma rok. Łatwiej było kupić i szybko rozliczyć żaglówkę niż zainwestować w nowoczesne oprogramowanie do obsługi klienta, którego budowa może trwać dłużej – mówi Kukałowicz.

Worek z zarzutami

Wśród przedsiębiorców i doradców do spraw pozyskiwania funduszy unijnych nie brakuje krytyki założeń i konstrukcji KPO HoReCa. Mnożą się wątpliwości, czy mechanizm rzeczywiście odpowiada potrzebom małych i średnich firm.

Leszek Jerzy Krawczyk, który obsługuje klientów w całym kraju, podaje przykład właścicielki hotelu, którego obroty spadły w pandemii niemal o połowę, a mimo to utrzymała zatrudnienie 30 osób. – Chciała sfinansować salę eventową, żeby organizować warsztaty, zajęcia wellness i jogi. Wniosek odrzucono, ponieważ w hotelu już wcześniej odbywały się wydarzenia, a zgodnie z logiką systemu powinna wnioskować o środki na coś, czego jeszcze nie robiła. Wychodzi na to, że lepiej gdyby zwolniła ludzi i zainwestowała w wypożyczalnię kajaków – komentuje.

Absurdów jest więcej. Pizzerii, która do tej pory nie sprzedawała deserów, łatwiej było otrzymać pieniądze na zakup maszyny do lodów niż właścicielowi lodziarni z 30-letnią tradycją na nowe chłodnie. Firma cateringowa nie mogła refundować zakupu samochodu elektrycznego, aby przewozić nim potrawy (pokrywane są jedynie koszty amortyzacji pojazdu w czasie trwania projektu), ale mogła zainwestować w łódź z silnikiem elektrycznym. Właścicielka hotelu, wiedząc, że nie dostanie środków wyłącznie na potrzebną modernizację obiektu, zawnioskowała o wydanie przewodnika turystycznego. Wniosek zatwierdzono.

– Ramy programu określono w taki sposób, że wręcz kierowały przedsiębiorców w stronę wymyślania barejowskich absurdów. Jednocześnie urzędnicy odrzucali sensowne wnioski – mówi Krawczyk.

Furtka do nadużyć

Program wsparcia branży HoReCa realizuje Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, ale oceną kandydatów zajmuje się pięciu regionalnych operatorów. W pierwszym naborze odpadły trzy czwarte wniosków. Potem kryteria poluzowano, zredukowano biurokrację na etapie składania wniosków, z 30 do 20 proc. obniżył się też minimalny próg utraty obrotów w pandemii. W opinii przedsiębiorców i doradców wnioski prześwietlano skrupulatnie. Jednak zdarzały się sytuacje, że podobny w jednym miejscu odrzucano, a w innym opiniowano pozytywnie. Skargi od firm trafiały do sądów administracyjnych.

Wątpliwości budzi też fakt, że o maksymalną kwotę dofinansowania mógł starać się każdy, bez względu na wielkość firmy i wysokość obrotów. Wystarczyło zadeklarować źródła finansowania inwestycji, a ją samą utrzymać przez co najmniej 12 miesięcy (standardowo są to 3 lata). Mimo tworzenia nowych produktów i usług firma nie musiała zwiększyć zatrudnienia ani wykazać efektów biznesowych. Furtka do nadużyć stała otworem.

Nie wylać dziecka z kąpielą

Przedstawiciele Izby Gospodarczej Hotelarstwa Polskiego zgłaszali zastrzeżenia do programu, a teraz sprzeciwiają się nagonce na przedsiębiorców. „Polska klasa polityczna nie rozumie turystyki i hotelarstwa ani nie ma pomysłu, jak rozwinąć sektor, który dostarcza ponad 5 proc. PKB i zapewnia milion miejsc pracy" – czytamy w oświadczeniu Izby.

– Czy to przedsiębiorcy odpowiadają za to, że ktoś nie dopilnował procedur i nie przygotował takich przepisów, które eliminowałyby patologie? – pyta z kolei Tomasz Szypuła, prezes zarządu Ogólnopolskiej Federacji Małych i Średnich Przedsiębiorstw. Przypomina, że MŚP to ponad 90 proc. wszystkich firm w Polsce. – Należy im się wsparcie i szacunek, a nasyłanie kontroli na firmy, które w tej sytuacji nie zawiniły, przypomina dawno minione czasy – dodaje.

Wielu beneficjentów KPO, choć decyzje zapadały w ubiegłym roku, pieniędzy jeszcze nie otrzymało. – Rekordzista otrzymał siedem wezwań do uzupełnienia dokumentów, za każdym razem chodziło o coś innego – przyznaje Leszek Krawczyk. Na KPO HoReCa przeznaczono 1,2 mld zł. Dotychczas wypłacono z tego jedynie 10 proc., a czas na rozliczenie KPO upływa w styczniu 2026 r.

Agnieszka Kukałowicz apeluje, by nie wylewać dziecka z kąpielą. – Jeśli kontrole będą się przedłużać, wiele firm może stracić płynność i znowu wpaść w tarapaty – ostrzega.

Artur Mostowy czeka na dalszy rozwój wydarzeń. – Moje zakupy są w trakcie realizacji, wpłaciłem zaliczki, mam zaprojektowaną całą infrastrukturę pod inwestycję. Chciałbym wiedzieć, co mam robić dalej, bo dla przedsiębiorcy takie wyczekiwanie jest obezwładniające – mówi. – Jeśli przez kilku cwaniaków rykoszetem dostaną uczciwi, wielu może tego nie udźwignąć.

Ministerstwo zapewnia, że umowy z przedsiębiorcami obowiązują, a płatności będą sukcesywnie odblokowywane. ©

Pod dachem, bez domu

SYLWIA GÓRA

SPOŁECZEŃSTWO | W Polsce nie ma dzieci w kryzysie bezdomności. To wersja oficjalna. Prawdziwa brzmi: istnieją, tylko wymykają się naszym wyobrażeniom o tym zjawisku.

Jak Ty uważasz słowo „miłość”?

– Jak ja uważam słowo „miłość”? Mało spotykane słowo, przynajmniej w moim przypadku.

To fragment rozmowy bohaterów filmu dokumentalnego „Jestem zły” Grzegorza Packa z 2000 roku. Reżyser, chcąc zrozumieć i sportretować codzienność dzieci z warszawskich Szmulek, dał im do ręki kamerę i pozwolił opowiedzieć o swoim świecie.

Przez ćwierć wieku wiele się w zjawisku bezdomności zmieniło. To najważniejsze pozostało bez zmian.

Coś w rodzaju miłości

– Tata nie żyje, mama jest alkoholiczką i narkomanką, została pozbawiona praw rodzicielskich. Nie mam z nią kontaktu – zaczyna Olaf, podopieczny Fundacji PoDRUGIE, która od 2011 r. pracuje z młodzieżą do 25. roku życia doświadczającą bezdomności.

Kiedy miał cztery lata, został odebrany matce. Później przeszedł przez sześć rodzin zastępczych. Na koniec trafił razem z siostrą do domu dziecka.

– Gdy dorosłem, zrozumiałem, że byłem jak zabawka, przekazywany z rąk do rąk. Nie byłem łatwym dzieckiem. Kradłem, głównie słodycze, bo nigdy nikt mi ich nie dawał, a inne dzieci miały i ja też chciałem. Była też jedna rodzina, w której się nade mną znęcali, a że miałem telefoniczny kontakt ze starszą siostrą, to pożaliłem się jej i interweniowała z policją. Nigdy nie byliśmy w żadnej rodzinie razem, spotkaliśmy się dopiero w domu dziecka. Gdy tam trafiłem, byłem najmłodszy, dlatego opiekunowie traktowali mnie jak przytulankę. Chyba tam poczułem pierwszy raz coś w rodzaju miłości, więc dom dziecka wspominam dość dobrze – opowiada Olaf.

Placówkę najpierw opuściła jego starsza o pięć lat siostra. Jeździła po Polsce – od Pomorza po Podkarpacie, aż trafiła do Warszawy. Olaf mieszkania komunalnego, o które się starał po wyjściu z placówki, nie otrzymał. Dostał za to wyprawkę, która przysługuje osobom opuszczającym pieczę zastępczą, a także zebrane przez lata pobytu w placówce środki z 500 plus. Wystarczyło na kilka miesięcy wynajmu mieszkania w Toruniu. Kiedy skończyły się pieniądze, musiał znaleźć pracę i kąt do spania.

Olaf: – Zamieszkałem na pół roku w schronisku Caritasu dla bezdomnych. Spałem też u znajomych. W zasadzie to byli obcy ludzie: szukałem na siłę znajomych, by móc u nich zanocować. Początkowo pracowałem w Żabkach, potem miałem problem ze znalezieniem zatrudnienia w Toruniu, więc pojechałem do Warszawy. Z siostrą mam rzadki kontakt. Mogę liczyć tylko na siebie.

Olaf trafił do noclegowni w Warszawie. Tam dowiedział się o Fundacji PoDRUGIE i jej prezesce Agnieszce Sikorze. Dla osób takich jak Olaf, opuszczających placówki pieczy zastępczej i niemających dokąd wrócić, fundacja stworzyła Dom dla Młodzieży i mieszkania treningowe.

– Nie było łatwo się tu zgłosić i przyznać, w jakiej się jest sytuacji – opowiada. – Ale gdy tu wszedłem, poczułem pierwszy raz ciepło domu. Przyjmowała mnie opiekunka, pani Dagmara, a ja byłem trochę przestraszony. W zeszłym roku byłem na gali rozdania nagród z panią Agnieszką Sikorą. Każdy mógł wyjść na scenę i powiedzieć coś publicznie. Ja powiedziałem, że traktuję opiekunów jak rodziców, a resztę osób jak rodzeństwo.

Schowek na pamiątki

Maćka, innego podopiecznego Fundacji PoDRUGIE, mama zostawiła, gdy miał sześć lat. Mieszkał z ojcem i babcią – do 2023 roku.

– Kilka lat temu w domu zaczęły się coraz częstsze awantury: ojciec miał problemy ze znalezieniem pracy, coraz więcej pił – opowiada Maciek. – Wydaje mi się teraz, że miał depresję, a ja tego nie rozpoznałem. Babcia była na emeryturze, dorabiała szyciem, ale ojciec przepijał większość pieniędzy. Były takie momenty, że w lodówce nie było niczego. W pewnym momencie babcia zaczęła chorować, praktycznie nie mogła ruszyć nogą, która była czarna przy stopie. Trafiła do szpitala i okazało się, że to miażdżyca, a jedyną szansą, żeby ją uratować, było odcięcie nogi. Po amputacji i tak przeżyła tylko cztery dni, bo okazało się, że te bloczki miażdżycowe dotarły do serca i mózgu. Od dwóch lat nie mam babci.

Ojciec Maćka przez siedemnaście dni po śmierci własnej matki pił do nieprzytomności. Potem pojechał na stację kolejową, wszedł pod nadjeżdżający pociąg. Wtedy Maćkiem zainteresował się Ośrodek Pomocy Społecznej, dzięki czemu dostał pieniądze: 388 zł zasiłku okresowego. – I to wszystko – mówi Maciej. – Próbowałem znaleźć pracę, ale się nie udawało. Ciężko mi było opłacać rachunki. Czasem zapłaciłem jeden, a resztę nie. Gaz miałem odcięty już po pół roku, nie mogłem gotować, myłem się w zimnej wodzie przez blisko rok. Zacząłem się samookaleczać – do dzisiaj mam blizny na twarzy, rękach, nogach, brzuchu. Nigdy nie miałem przyjaciół, nigdy się z nikim nie przyjaźniłem, nie umiałem rozmawiać z ludźmi. Dopiero teraz trochę się otwieram, ale to jest dla mnie trudne, bo wielu rzeczy po prostu nie rozumiem.

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W październiku 2024 roku dzwoni pracownica OPS: z powodu zadłużenia Maciej musi opuścić mieszkanie. I przenieść się do schroniska dla bezdomnych. – Próbowałem znaleźć pracę, ale nie wyszło. I wtedy naprawdę się załamałem – opowiada. – Miałem pamiątki rodzinne – zdjęcia, książki, ważne dla mnie przedmioty. Wynająłem schowek, taki jak w amerykańskim filmie, gdzie mogłem to trzymać. Ale trzeba było go opłacać, a ja nie miałem pieniędzy. W tym schronisku była coraz gorsza atmosfera, w końcu wszyscy na mnie naskoczyli, wpadłem w jakiś okropny szał. Nawet nie wiem, co się ze mną działo. Nikomu nic nie zrobiłem, ale ucierpiały sprzęty. Trafiłem do zakładu psychiatrycznego na Śląsku i bałem się, że wyląduję w zakładzie karnym. Ale lekarz, który ze mną rozmawiał, powiedział mi o Fundacji PoDRUGIE w Warszawie.

Dzieci ulicy

Nikt do końca nie wie, ile jest w Polsce dzieci i młodych dorosłych w kryzysie bezdomności. – Dużym problemem są tzw. znikające rodziny: skądś już się wyrejestrowały, gdzie indziej jeszcze nie zarejestrowały – mówi prof. Małgorzata Michel, pedagożka UJ, ale też wolontariuszka zajmująca się tzw. dziećmi ulicy. – Inny dylemat: jak np. zaklasyfikować uciekinierów z placówek wychowawczych czy dziecko z matką mieszkające w altanie? Jest więcej pytań niż odpowiedzi – podkreśla prof. Michel.

Wedle ogólnopolskiego badania liczby osób w kryzysie bezdomności dla Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, bez dachu nad głową pozostawało w 2024 r. nieco ponad 31 tys. Polaków. Pięć procent z tej liczby, czyli nieco ponad półtora tysiąca, stanowiły osoby poniżej 18. roku życia. To głównie dzieci pozostające przy rodzicach w domach samotnej matki. Na ulicy bowiem dzieci w Polsce nie ma – przynajmniej oficjalnie.

Czym jest dzisiaj bezdomność? Wymyka się ona, zwłaszcza w przypadku nieletnich, potocznym wyobrażeniom na temat tego zjawiska. – Międzynarodowa definicja „dzieci ulicy" mówi nam współcześnie, że dziecko może mieć dom albo miejsce niemieszkalne, np. piwnicę, altanę, pustostan, ale jego aktywność odbywa się właśnie na ulicy. Odchodzimy od definicji, zgodnie z którą człowiek na ulicy rodzi się, przebywa na co dzień i umiera – zauważa prof. Michel.

Potwierdza to codzienna działalność Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom i Młodzieży „Dom Aniołów Stróżów". – Ulica ma dziś raczej symboliczny wymiar: takich dzieci jak np. *bezprizorni* w Rosji w Polsce nie ma – mówi prezeska „Aniołów", Monika Bajka. – Są zapewne przypadki takich, które uciekły z domów, placówek i pojawiają się np. na dworcach. Nasza codzienna aktywność to jednak praca z dziećmi, które mają dach nad głową, gdzie mogą wrócić na noc. Natomiast towarzyszy im samotność, brak oparcia w dorosłych. Częstsza też niż dwie, trzy dekady temu jest samotność wśród grupy rówieśniczej. Kiedyś na podwórkach były grupy, dziecięce „bandy". Teraz dziecko jest samo.

Stowarzyszenie swoją pracę zaczynało jeszcze w latach 90. na dworcu PKP w Katowicach. Tamta rzeczywistość była nieco inna, ale dzisiejsze problemy młodych wcale nie są aż tak odmienne. – Pamiętam dziewczynę, która często uciekała z moich zajęć, potem przez jakiś czas na nie w ogóle nie przychodziła – opowiada Sandra, pedagożka ulicy z „Domu Aniołów Stróżów". – Kiedy słyszała ode mnie słowa wsparcia, nie wiedziała, co ma zrobić, więc odwracała się na pięcie bez słowa i odchodziła.

Sandra pracuje w placówce ulicznej stowarzyszenia od blisko czterech lat. Ma swoją stałą, około dwudziestoosobową grupę podopiecznych. Pedagożki dyżurują od godziny 14.00, kiedy kończą się lekcje w pobliskiej szkole. O 16.00 spotykają się ze swoją stałą grupą, którą udało im się utworzyć dzięki dyżurom. Skąd wiedzą, do kogo podejść? Sandra ma sposób.

– Chodzimy raz w tygodniu do świetlicy szkolnej, obserwujemy dzieci i choć ↦

nie ocenia się „książki po okładce”, to patrzę na to, czy dziecko ma czyste ubrania, włosy, czy ma przybory szkolne – opowiada Sandra. – Ze szkołą w dzielnicy mamy dobry kontakt, więc mogę też porozmawiać z wychowawcą, czy on czegoś nie zauważył. Są też przypadki, że dziecko jest zadbane, ale nie daje sobie rady w szkole.

Małgorzata Michel: – Zawsze poznam „dziecko ulicy”. Ma specyficzny zapach: wymieszaną woń dymu papierosowego, alkoholu i potu. Tak pachnie bieda. I często jako dorośli to widzimy, ale odwracamy oczy. Do tego dochodzą stereotypy. Nawet małe dziecko, które przebywa na ulicy, jest uważane za młodego bandytę. Znam przypadki czteroletnich dzieci, które zostały wyrzucone z przedszkola, bo „nie umiały się zachować”. To często dzieci z bardzo ubogich, odrzucanych środowisk. Wykluczamy takie dzieci w białych rękawiczkach.

Wyprawa z misją

Jedna z organizacji kolarskich ogłosiła kilka lat temu konkurs na wyprawę rowerową. Przykładowe warunki uczestnictwa: bycie kolarskim amatorem i posiadanie misji. Małgorzata Michel pomyślała: „fajny pomysł”. A równocześnie: „Nie dam rady”. Zwyciężyła misja.

– Przez miesiąc jeździłam po różnych miastach. Byłam m.in. w Bytomiu, Bielsku-Białej, Katowicach, Raciborzu, Ełku, Gdańsku – opowiada krakowska pedagożka. – Spałam w placówkach wsparcia dziennego typu podwórkowego. Chciałam zobaczyć, jakie są rzeczywiste warunki życia „dzieci ulicy” w Polsce. Specyficzny pod względem uwarunkowań gospodarczo-kulturowych jest Śląsk, bo tam jest wiele dzieci, które zbierają złom, odpadki pokopalniane, węgiel. To jest w zasadzie ich praca, bo otrzymują jakieś pieniądze, np. za worek węgla zebrany na torach – dodaje Michel.

Bez dachu nad głową pozostawało w 2024 r. nieco ponad 31 tys. Polaków. Pięć procent z tej liczby, czyli **nieco ponad półtora tysiąca, stanowiły osoby poniżej 18. roku życia.**

Jak pokazują badania krakowskiej pedagożki, których wyniki znalazły się m.in. w jej książce „Gry uliczne w wykluczenie społeczne w przestrzeni miejskiej”, niektóre placówki stosują strategie wykluczające. „Dzieci sprawiające problemy wychowawcze są z tych placówek wyrzucane, np. usuwane dyscyplinarnie, i wracają na ulicę. Uruchamiany tutaj zostaje mechanizm, który można nazywać mechanizmem podwójnej marginalizacji – odprysk, niezamierzony często przez oficjalną politykę placówki fakt podwójnej stygmatyzacji i podwójnego wykluczenia dzieci z oficjalnego, społecznego obiegu. Dziecko wraca na ulicę z poczuciem odrzucenia” – pisze Michel.

Praca pedagogów ulicy polega na mozolnym budowaniu zaufania między dzieckiem a dorosłym. Pracownicy „Domu Aniołów Stróżów” wiedzą, że trzeba pracować z całą rodziną dziecka. – Ważna jest sfera społeczna, czyli relacje w grupie, środowisku. Mamy też dzieci, które wymagają wsparcia psychiatrycznego. Trzeci obszar to edukacja, czyli np. wspólne odrabianie lekcji albo doradztwo zawodowe, by młodzi ludzie mogli wejść na rynek pracy i stać się samodzielni. Z dziećmi i młodzieżą robimy to wszystko, co powinni robić ich rodzice: rozmowa, odrobienie lekcji, pójście do lekarza, fryzjera, kina – opowiada Monika Bajka.

Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom i Młodzieży „Dom Aniołów Stróżów” chce wspierać rodzinę, a nie ją zastępować. Ale zdarza się, że rodzina nie chce współpracować. Są różne powody: przemoc, uzależnienie, konflikt z prawem. – Staramy się mimo wszystko do nich jakoś dotrzeć, bo bez udziału bliskich trudno jest trwale zmienić życie dziecka. Im jest młodsze, tym jest to ważniejsze. W przypadku nastolatka, kiedy rodzina nie chce takiej współpracy, łatwiej jest mu pokazywać inne modele i inwestować w niego całą pracę. Wyposażamy go we wszystko, co możliwe, aby mógł zacząć swoją dorosłość – mówi prezeska stowarzyszenia.

Na prostej

Podobny cel ma Fundacja PoDRUGIE, pomagająca m.in. Olafowi i Maćkowi.

Olaf: – Od stycznia tego roku pracuję, małymi krokami zbliża się moja wyprowadzka. Z przyjacielem chcemy coś wynająć na pół i teraz będziemy odkładać na to pieniądze. Chciałbym zrobić prawo jazdy i mieć auto, ale przede wszystkim mieć spokojne życie. I pewność, że nie będę już bez domu. A jak otworzę lodówkę, to zawsze coś w niej będzie, bo nie zawsze tak było.

Maciej: – Chciałbym znaleźć stałą pracę, utrzymywać się i być samodzielnym. Przez ten i przyszły rok wszystko spłacić, może skończyć szkołę. Kiedyś chciałbym mieć swój kanał na YouTubie i śpiewać, ale ważniejsze jest na razie to, żeby wyjść na prostą.

© SYLWIA GÓRA

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Romans z czatbotem

Czasami mówię, że jestem rozczarowaną entuzjastką technologii przyszłości. Rozczarowaną, bo przez wiele lat uważałam futurystyczne wizje za coś obiecującego. Niestety, przyszłość miała być porywająca i dająca wolność, a okazała się tylko szybka, nudna, ogłuszająca i najprawdopodobniej również wroga ludzkiej swobodzie i autonomii. Nibyrzeczywistość kreowana przez generatory treści oferuje nam gładką nijakość i męczące pochlebstwa. Nie było się do czego tak spieszyć. No cóż – nowe osiedla też przecież ładnie wyglądają jako wizualizacje w folderze, a jak przychodzi co do czego, to powstaje kurnik z bezpośrednim widokiem na talerz sąsiada.

Nie jestem tu jednak po to, by marudzić – lepiej zastanowić się, w jaki sposób ludzie urządzają się w tym nowym internecie. Zazwyczaj bowiem, gdy wiedza o potocznych obyczajach ludu dociera do szerokiej publiczności, dzieje się to w formie przerysowanej i skupionej na przypadkach skrajnych. To wywołuje strach, a za nim podąża chęć znalezienia natychmiastowych rozwiązań o strukturze cepa i nie ma już szansy, by zastanowić się, skąd wzięły się jakieś zachowanie, postawa czy tzw. wirus społeczny.

Tak prawdopodobnie stanie się już za moment z doniesieniami o ludziach, którzy twierdzą, że nawiązali bliskie relacje, przyjacielskie czy romantyczne, z czatbotami. Spodziewam się dwóch reakcji: albo budujących atmosferę zagrożenia, albo szyderczych i kojarzących tego rodzaju zaangażowanie w fantazję z życiową porażką. Sama nie mam najmniejszej potrzeby angażować się w takie działania i rzadko kiedy odnotowuję obecność czatbotów w moim życiu, ale nie znaczy to, że zaskakuje mnie czy budzi mój niepokój taka praktyka – podejrzewam zresztą, że w rzeczywistości rzadsza niż w sensacyjnych doniesieniach.

Może to o to chodzi

OLGA DRENDA

Widzę w nich realizację potrzeby i umiejętności, która poprzedza liczne technologie: potrzeby reżyserowania kontrolowanej fikcji w swoim życiu. Prawdopodobnie wielu z nas doświadcza takiego epizodu w młodości – wymyśla sobie przyjaciół, z którymi prowadzi rozmowy we własnej głowie, choć z pełnym przekonaniem o wzajemności. Inni zakochują się w postaciach literackich. Pamiętam grupkę moich rówieśnic, które prowadziły ze sobą często, na żywo, dialogi w imieniu swoich wymyślonych *alter ego*, oraz opublikowany w prasie list młodego człowieka, który bronił swojego prawa do zauroczenia bohaterką komiksu. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce w czasach, gdy rzadko w Polsce widywano modem. Podejrzewam, że i dzisiejsi miłośnicy czatbotów chcą znaleźć sposób na to, by pomarzyć – a być może dzisiaj trudno jest zwyczajnie marzyć bez uprzedniej wskazówki.

Najbardziej ciekawi mnie jednak to, że wirtualni przyjaciele czy ukochani tak często mają postać tekstową. Najwidoczniej wysiłki technologicznych gigantów, by oczarować człowieka coraz doskonalszymi, ale także doskonale pozbawionymi wszelkich cech osobniczych wizerunkami postaci, okazują się mimo wszystko daremne. Tutaj twarz okazuje się zbędna. Prawdopodobnie mogłaby wręcz zepsuć coś, co ujawnia się między słowami: niedopowiedzenia, tajemnicę, tęsknotę – uczucie niemal jak z epoki ręcznie pisanych listów. Jest w tym ciekawy paradoks, bo algorytmy i aplikacje przekonują, że wszystko, włącznie z miłością, da się zaprogramować, tymczasem użytkownicy poszukują czegoś innego, o romantycznym i irracjonalnym charakterze.

Jest coś jeszcze, co, rzuca dodatkowe światło na ten fenomen. Nie żyjemy bowiem wcale w odczarowanym świecie, mimo wszechobecności kryteriów tabel i liczb. W żargonie ludzi zanurzonych w głęboką sieć używa się czasami słowa „tulpa", które pochodzi z języka tybetańskiego i podobnie jak wiele tamtejszych terminów i konceptów zawitało do Europy za sprawą starej, dobrej teozofii, ruchu, który wpłynął na zachodnią filozofię, sztukę, ale także biznes i wynalazczość (widać rewolucja technologiczna nie może się uwolnić od swoich ezoterycznych korzeni). Oznacza ono byt, który samemu powołaliśmy siłą naszej myśli, ale który nabył własną świadomość. Wskazuje to na zaskakujący aspekt współczesnej osobliwej duchowości: przekonanie, że wirtualne byty zamieszkują jakiś równoległy wymiar, z którym można nawiązać kontakt. Stajemy się zatem reżyserami spektaklu, lecz nasz wpływ na jego kształt pozostaje luźny. Uwodzicielski potencjał czatbota może być niewątpliwie niebezpieczny, ale kto wie – może niektórzy decydują się wejść w ten świat właśnie po to, by igrać z tajemnicą. Myślę sobie, że chciałabym mieć taki refleks i słuch, który pozwala wysłyszeć, jak w kimś – lub wielu ludziach jednocześnie – coś się zapada w głowie i w sercu. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

MICHAŁ MUTOR

ROZMOWA

INTYMNA OPOWIEŚĆ O ŻYCIU

MARIUSZ SZCZYGIEŁ, REPORTER:

Modlitwa zawiera rzeczy, które trzymamy dla siebie, bo ujawnienie ich mogłoby nam zaszkodzić. Pokazalibyśmy miękkie podbrzusze.

ANNA GOC: Najpierw pytałeś Czechów, jak im się żyje bez Boga. Teraz pytasz Polaków, jak im się żyje z Bogiem. Nie ma tu chyba przypadku.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ: Wydaje mi się, że jako reporterzy szukamy tematów, które i nas dotyczą. Dzięki którym możemy załatwić swoje sprawy.

No i lubimy być zaskakiwani. A nawet musimy.

I co Cię zaskoczyło?

Odkryłem, że ci wierzący, do których miałem dystans przez połowę życia, chcą pełniej istnieć.

Wiem, że czytelnicy „Tygodnika" mogą to uznać za oczywistość, ale ja byłem na etapie całkowitego spłycenia tego, co widzę i słyszę, kiedy ludzie się modlą. Dlatego ten projekt jest dla mnie tak ważny.

Wkurzali Cię?

Zainteresowałem się Czechami, bo chciałem odreagować polską kościółkowość. Miałem dość katolicyzmu, w którym się wychowywałem i z którego wyszedłem, a właściwie uciekłem.

Prowadziłem wtedy popularny *talk-show* „Na każdy temat" i szukałem miejsca, gdzie będę miał spokój. Spodobała mi się ta czeska swoboda. Najpierw pytałem Czechów o historię przez duże „H" i o tym jest „Gottland". Dopiero po czasie zorientowałem się, że jest inny temat, dla którego mnie tam ciągnie. Czesi mają dystans do religii, a dyskusji o Bogu właściwie nie prowadzą w przestrzeni publicznej. Chciałem się od nich dowiedzieć, czy można żyć bez Boga.

Mariusz Szczygieł, 2024 r.

I co?

Okazało się, że można, i to szczęśliwie. Dlatego Czechy były moim ratunkiem mentalnym, gdy sobie uświadomiłem, że wiara ze mnie wyciekła.

Byłeś wierzący?

W najgorszy z możliwych sposobów. Bałem się Boga.

To znaczy?

Na przykład bałem się nie pomodlić wieczorem. Mój pierwszy partner nie mógł uwierzyć, gdy klękałem przy łóżku i się modliłem. Wydawało mi się, że jeśli się nie pomodlę, to mnie albo moich bliskich spotka jakaś okropna kara. Jeśli się nie pomodliłem, Pana Boga przepraszałem.

Moje liceum ekonomiczne w Legnicy było blisko kościoła. Przed każdym sprawdzianem z matematyki przyjeżdżałem wcześniej ze Złotoryi i szedłem się modlić. Prowadziłem handel z Bogiem.

Długo ten handel trwał?

Jeszcze na studiach przed egzaminami biegałem do kościoła Świętego Krzyża i się modliłem. Czułem się niewolnikiem tego przymusu.

Jednak im byłem starszy, im więcej ludzi poznawałem, im więcej czytałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że moje rytuały religijne są puste. Bóg, do którego się modlę, nie jest tym, za kogo się podaje w moim życiu. I nie jest takim, jakim go podają. Być może jest, ale to jest tajemnica.

Mijały lata, a wiara wyciekała ze mnie jak z pękniętego naczynia.

Spowiadałeś się?

Tak, ale szybko zdałem sobie sprawę, że muszę kłamać. Byłem chłopakiem, który chodził do podstawówki i jak większość dzieci w tym wieku się onanizował. Nie miałem zamiaru o tym komukolwiek mówić, a zwłaszcza obcemu facetowi w konfesjonale.

Usiłowałem zresztą raz powiedzieć księdzu o czymś trudnym. W Złotoryi był wtedy okropny wypadek. Spędzałem sporo czasu w hotelu, w którym pracowała moja mama. Wsłuchiwałem się tam w ludzkie historie i być może dlatego zostałem reporterem. W tym hotelu, z balkonu pokoju na siódmym piętrze, wyskoczyła dziewczyna.

W czasie spowiedzi ksiądz powiedział: widzisz, ona się nie bała Boga, zapomniała o Bogu, i zobacz, czym to się skończyło.

Ile miałeś wtedy lat?

Osiem albo dziewięć. Jego słowa ze mną zostały. Nasionko złej wieści, które ↦

↦ przekazał mi ten ksiądz, pęczniało w moim życiu.

Gdy zorientowałem się, że jestem gejem, wiedziałem, że i w tej sprawie muszę kłamać. Zwłaszcza w kościele. Chociaż raz spróbowałem powiedzieć prawdę.

W czasie spowiedzi?

Gdy miałem dziewiętnaście lat, za namową przyjaciółki Teresy zdecydowałem się pójść do księdza w Legnicy i powiedzieć mu, że jestem gejem. Ona twierdziła, że to taki fajny ksiądz. Jedyne, co usłyszałem od tego księdza, to pouczenia. Nieakceptowalne.

Gdybym miał je wprowadzić w życie, musiałbym zabić moją orientację seksualną.

Kościół zaczął mi się więc kojarzyć z koniecznością kłamania i oszukiwania. Mimo to chodziłem przez wiele lat z ojcem na mszę w każdą niedzielę. Staliśmy zawsze na wysokości czwartej lub piątej ławki, blisko ołtarza. Nie siadaliśmy, bo tata nie chciał.

Dlaczego?

Pozycja stojąca jest bardziej... bardziej podoba się Bogu. W ławce się rozsiadasz. Starzy ludzie mogą siedzieć, a my musimy stać przed Bogiem. Powiedziałbym nawet, że musimy karnie stać przed Bogiem. Więc staliśmy.

A co, gdy zaczęły się Twoje wątpliwości?

„Nie możesz być ateistą – mówiła moja mama. – Bóg cię za to może pokarać". Więc nawet jako ateista miałem bać się Boga.

Mama długo uważała, że przyznanie się do ateizmu jest równoznaczne z byciem pedofilem albo mordercą. „Nigdy nie mów, że jesteś ateistą, bo to świadczy o tym, jak źle cię wychowałam – mówiła. – Jak przegrałam jako matka".

I te Czechy bardzo mi pomogły, wiesz w czym? Bo nagle pomyślałem sobie: jestem wolny. Jestem agnostykiem i zakładam, że różne rzeczy mogą nam zostać objawione. Nie mówię do końca „nie". Szanuję, że jest jakaś tajemnica. Mam jednak wolność.

Czyli jest dobrze?

Niby tak. Ale wtedy przyszła inna myśl: nie ma już Boga w moim życiu. Mam dziurę po Bogu.

Mój pierwszy partner nie mógł uwierzyć, gdy klękałem przy łóżku i się modliłem. Wydawało mi się, że jeśli się nie pomodlę, **to mnie albo moich bliskich spotka jakaś okropna kara.**

Czułeś ją?

Podczas ostatniej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski na placu Piłsudskiego w Warszawie ustawili barierki, które miały oddzielać ołtarz od wiernych. W stołecznej „Gazecie Wyborczej" zobaczyłem zdjęcie: chłopak w dresie, z wygoloną głową albo w kapturze, dokładnie nie pamiętam, klęczał przy nich na wiele godzin przed mszą. Miał złożone ręce i modlił się.

Jak zobaczyłem to zdjęcie... widzisz, jeszcze czasami to do mnie wraca... płakałem, właściwie ryczałem. Miałem atak rozpaczy.

Jak to dzisiaj rozumiesz?

Omówiłem to z moim psychoterapeutą, bo nie dało się nie omówić. Wyszło, w skrócie, że ja zazdroszczę temu chłopakowi. Zazdroszczę mu intensywnej relacji z kimś. Być może zazdroszczę mu nawet wiary. Oczywiście nie wiem, kim był, chodzi o to, jak ja dekoduję tę fotografię. I o to, że takiej relacji, takiego uczucia, nie mam.

Mam dziurę po relacji z Bogiem.

Czyli po kim?

Kimś, kto wie o Tobie wszystko: możesz mu zaufać, on nad Tobą czuwa. Wiedziałem, że już tego nie mam. Myślałem sobie, że ten chłopak ma lepiej w życiu ode mnie. Mimo że uważałem, że moja wiara była rutynowa i oparta na handlu, to wtedy poczułem, że zostałem sam.

Dlatego sobie urządziłem terapię pisaniem książki „Zrób sobie raj", która jest o tym, że da się być szczęśliwym bez Boga.

Da się?

Niedawno zamieściłem w mediach społecznościowych filmik z siłowni, gdy robię martwy ciąg – ćwiczenie dość trudne, a źle wykonane może zaszkodzić kręgosłupowi.

Dziesięć lat temu, po śmierci mojego partnera, zacząłem chodzić na siłownię. Wcześniej nie ćwiczyłem, więc schowałem się za filarem i ćwiczyłem na orbitreku, jak chomik na kołowrotku. Żeby zabić myśli. Zauważył mnie Stasiek. O głowę wyższy, z postury – atleta. Gdy do mnie pierwszy raz zagadał, podobno zaciskałem ręce na orbitreku i powiedziałem, że nie znoszę przysiadów i pompek.

Żeby go zniechęcić?

Tak, ale się nie dał. Zastanawiał się, co się dzieje z tym facetem, dlaczego jestem taki zamknięty. Od tamtej pory ćwiczymy razem. Na nagraniu słychać jego głos, łagodny i przyjemny, gdy mnie poprawia.

Uświadomiłem sobie, że to są dla mnie chwile szczęścia. Dlatego, że istnieje ktoś, komu mogę na godzinę oddać władzę nad sobą.

A to jest ważne?

Tak, o to mi chodzi. Ktoś, kto patrzy, czuwa, żeby nie stała mi się krzywda, a w razie czego może zareagować. Taki starszy brat.

Jestem jedynakiem i zawsze byłem typem kontrolującym wszystko. Muszę mieć kontrolę nad sytuacją, trudno mi ją oddać. Musimy jednak oddać innym władzę nad sobą, chociaż na chwilę. Czasami to się ludziom udaje w seksie.

Pomyślałem sobie, no, wprawdzie nie wierzę w Boga, ale mam kogoś, komu na chwilę mogę oddać władzę nad sobą. Stasiek jest moim Bogiem w zastępstwie.

Tylko nie chciałbym, żeby z tego ktoś wyniósł myśl, że zastąpiłem kościół siłownią. Na pytanie, czy można być szczęśliwym bez Boga, odpowiadam: tak, na przykład jeśli jesteś spełniony, kochasz i jesteś kochany. To aktualnie mój przypadek. Mogą być inne.

I mamy zwrot: wracasz właśnie do tematu Boga i pytasz ludzi o modlitwę.

Projekt „Módlmy się", który przygotowywaliśmy z Zuzanną Dolegą, artystką wizualną, dla Galerii EL w Elblągu, jest o tym, jak się modlimy, do kogo i o co. A przy okazji wyszło, co ta modlitwa w naszym życiu znaczy.

WIKTOR PISKORZ (DZIĘKI UPRZEJMOŚCI GALERII EL)

Wystawa „Módlmy się" Zuzanny Dolegi i Mariusza Szczygła w Galerii El w Elblągu trwa od 19 sierpnia do 12 października

Kilka lat wcześniej zobaczyłem prace Zuzanny w sopockiej galerii sztuki. Strony tekstu, które wyrywa ze zniszczonych książek i wypala w nich słowa, wydobywając z tekstu nowe znaczenia. Zdarza się, że przy ostatnim wypalanym słowie płomień zajmuje całą kartkę.

Gdy dowiedziałem się, że wystawa będzie pokazywana w zdesakralizowanym kościele, pomyśleliśmy z kuratorką Emilią Orzechowską, że jej tematem powinna być modlitwa.

Poprosiłeś jednak, by ludzie przysyłali Ci swoje modlitwy. Rozmowa na żywo o modlitwach byłaby trudniejsza?

Modlitwa jest opowieścią o życiu. Zawiera rzeczy, które trzymamy dla siebie, bo ujawnienie ich mogłoby nam zaszkodzić. Pokazalibyśmy miękkie podbrzusze. Założyłem, że łatwiej ludziom o niej pisać niż mówić.

Znam to uczucie. Za każdym razem, gdy chciałem komuś powiedzieć o żałobie, którą przeżywałem po śmierci mojego poprzedniego partnera, dochodziłem szybko do wniosku, że bezwiednie trywializuję to, co czuję. Miałem też wrażenie, że to, co próbuję opowiedzieć, nie trafiało czasem na właściwą osobę. Miałem poczucie przegranej w rozmowie. Żalu do siebie samego, że zacząłem o tym mówić. I że to, co mówię, nijak się ma do tego, co przeżywam. Prawie zawsze żałowałem, że użyłem jakichś spłycających słów. Więc po co?

Kim są ci, którzy odpowiedzieli?

Na mój apel w mediach społecznościowych o przysyłanie modlitw odpowiedziało ponad sześćdziesiąt osób. Wybrałem dwadzieścia kilka modlitw i przez pół roku pisałem z ich autorkami i autorami. Niektórzy odpowiadali szybko, inni potrzebowali kilku tygodni. „Panie Mariuszu, to są tak trudne pytania! Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. I dotąd z nikim o tym nie rozmawiałam" – wyznawali.

Najmłodszą respondentką była Polina, trzydziestodwuletnia redaktorka – ateistka, która nagle przed bombardowaniem swojego miasta na Ukrainie prosiła Boga, by pomógł jej uciec, a ona wyzbędzie się wszystkich pragnień. Niczego nie chce, tylko żyć. Najstarsza – Alicja – ma siedemdziesiąt lat, jest ekonomistką i grozi świętemu Peregrynowi, patronowi chorych na raka, żeby nie wchodził w jej drogę. Swoją modlitwę pisze między dziewiątą a dziesiątą chemioterapią.

Zaznaczasz, że próbka nie jest reprezentatywna.

Wśród tych, którzy do mnie napisali, nie było nikogo z wykształceniem podstawowym, nie mam też modlitw nastolatków. Nie powiedziałbym, że wiem, jak się modlą Polacy. Mam niewielki wycinek tego, jak się modlą ludzie, którzy są w mojej orbicie – towarzyskiej lub literackiej.

Okazało się też, że miałem poprzedników. W 1963 „Tygodnik Powszechny" i „Znak" ogłosiły ankietę wśród czytelników o modlitwie, z której powstała książka „Bezimienni mówią o modlitwie". We wstępie ojciec Malachiasz, czyli Tadeusz Żychiewicz, wyjaśnił, że postanowili zapytać o modlitwę, bo zwykle się o niej nie myśli.

Z książki zapożyczyłem metodę podpisywania respondentów: podaję ich imię i nazwisko, inicjały lub pseudonim, zawód oraz to, czy mieszkają na wsi czy w mieście.

Pytasz o trzy rzeczy. Po pierwsze: jak się ludzie modlą?

I tu już zaskoczenie, bo większość moich respondentów wkłada w modlitwy sporo inwencji. „Cześć" – po przebudzeniu, „Dobranoc, śpij dobrze" – przed zaśnięciem – mówi Bogu Janina, lat 53, która mieszka na wsi, zajmuje się domem i gospodarstwem. I wyjaśnia: „Wierzę w Boga i kocham, a z kimś, kogo się kocha, chce się być".

Agnieszka Zgrzywa, lat 52, literaturoznawczyni ze średniego miasta, wyznała, że gdy była chora, nie modliła się, bo to ją upokarzało. Napisała więc „Litanię do Litościwego", która jest listą rzeczy, jakich chce się ze swojego życia pozbyć.

A mnie się czasem wydaje, że w akcie klęczenia jest coś niegodnego człowieka, wiesz?

To znaczy?

W tym, że ktoś klęczy, widziałem długo pokaz słabości, a ja nie znoszę bezsilności. Jestem tym typem, który wierzy we własne siły. Jak mnie pytają, w co wierzę, to mówię, że wierzę w siebie, w swoje dobre i złe strony, w swoje możliwości i niemożliwości. A w klęczeniu jest poddanie się.

Bardzo trudno było mi patrzeć spokojnie, jak ludzie klęczą, a zwłaszcza gdy klęczą zbiorowo. Znalazłem nawet taki kościół, w którym się nie klęczy.

W Polsce?

W Pradze, na Žižkovie. To kościół husycki, wszedłem tam posłuchać pastora. Gdy się zorientowałem, że tam się nie klęczy, napisałem do proboszcza, żeby go zapytać, dlaczego.

„Dobrze Pan zauważył, że w naszym Kościele nie mamy zwyczaju klękać. Nasi przodkowie w wierze za czasów reformacji zdecydowali się uznawać tylko te rzeczy, które znaleźli w Piśmie Świętym. Szczerze mówiąc, nic fundamentalnego ↦

↦ na temat klęczenia w Biblii nie znaleźli” – odpisał proboszcz.

Dodał, że „klękania żądano od niewolników, przy modlitwie używano go jako symbolu poniżenia i prośby. W Nowym Testamencie znajdziemy sytuację, kiedy klęczy się z szacunku dla Jezusa. Jednak w czasach reformacji położono większy nacisk na to, że obrazy Jezusa i świętych są dziełem rąk ludzkich i nie powinno się przed nimi klękać ani się im kłaniać. Dlatego w naszej liturgii nie używamy pozycji klęczącej”. I na koniec podkreślił, że „klęczeć nie umieją”. „Mam nadzieję i wierzę, że się w ten sposób nie wywyższamy ponad Boga i bez tego umiemy żyć przed Nim we właściwej pokorze” – zakończył list.

Był też chłopak ze zdjęcia, który klęczał przed barierką.

I zrobił na mnie ogromne wrażenie. Czyli może ja mam w sobie jakąś ogromną potrzebę uklęknięcia, ale nie mogę jej zaakceptować?

Dużo tu zaskoczeń, prawda?

Weźmy jeszcze historię nieoczywistej pani, która ma pseudonim Boga. Ma 69 lat, jest emerytowaną bibliotekarką, mieszka na wsi. Jest właściwie niewierząca, ale poszła na pielgrzymkę do Santiago de Compostela. Przeszła najtrudniejszą trasę, 420-kilometrową, z intencją, żeby jej syn przestał być narkomanem. Dowiadujemy się, że nic to nie dało, i przy okazji informuje nas, że poprosiła swoją partnerkę, by po śmierci rozsypała jej prochy.

I jak się okazuje, niewiele osób modliło się słowami „Ojcze nasz” czy „Zdrowaś Mario”.

Tak, choć są i takie. Gosia Kryszewska, lat 37, project manager w międzynarodowej firmie, która pochodzi ze wsi i tam mieszka, odpowiedziała na mój apel tak: „Napisał Pan na Fb, że nie spotkał jak dotąd osób modlących się za pomocą »Ojcze nasz« albo »Zdrowaś Maryjo«. Melduję się zatem na posterunku! Takie »klepanie pacierza«, jak wielu zwykle to nazywa, stanowi dla mnie odpowiednik mantry albo rytuał rozpoczęcia »modlitwy właściwej«, która jest już moja własna”.

Taki *small talk* z Panem Bogiem, jak napisała.

Przywołała też scenę z „Ani z Zielonego Wzgórza”, kiedy Maryla kazała Ani uklęknąć przy łóżku i pomodlić się przed snem. Ania modliła się pierwszy raz, więc zrobiła to po swojemu. Maryli się to nie spodobało. „A ja zawsze – pisze Pani Gosia – już jako dziecko uważałam przeciwnie. Właśnie tak możemy się modlić”.

Moi respondenci są więc Aniami z Zielonego Wzgórza. Urządzają się w swojej wierze. Nie ulegają wzorcom. Modlą się, jak chcą.

Zastanawiałem się dzisiaj, czym dla mnie jest życie duchowe.

Wydaje mi się, że to jest próba skomunikowania się z samym sobą. Próba dotarcia do siebie samego.

Nawet bez słów.

G.Ch, wykładowca z dużego miasta, pisze, że jego modlitwą jest cisza, i wymienia sześć jej rodzajów: jedną przeżywa w gotyckim kościele, inną, gdy bierze do ręki kubek po zmarłej przyjaciółce, jeszcze kolejną – w górach.

Michalina, 39 lat, radca prawny, duże miasto, nauczyła się „Zdrowaś Mario” po włosku, choć nie zna tego języka. „Nie akceptuję tego, co się w Kościele jako instytucji dzieje, ale uwielbiam sztukę, architekturę sakralną, którymi zachwyciłam się podczas podróży do Włoch. Z tego też względu pomysł z modlitwą w tym języku” – napisała.

Po drugie: pytałeś, do kogo się modlą?

I znów jest bardzo różnie. Do Boga, ale przez wstawiennictwo mamy, która zmarła na covid. Za pośrednictwem św. Antoniego, jak dziennikarz Marcin Dzierżanowski. Niektórzy szukają kontaktu z „tym, który ich przerasta”. Dla innych modlitwa jest uspokojeniem. Albo łącznością z bliskimi zmarłymi, którzy się nimi opiekują.

Nika, tłumaczka i artystka, mieszkanka dużego miasta, napisała, że wierzy w sens przez duże „S”. „Czy jestem osobą wierzącą? Tak. Wierzę w istnienie Sensu. W Siłę, która wie więcej niż ja. W Boskość, która objawia się w drobnych chwilach”.

Czyli modlitwa jest pracą nad sensem własnego życia. Nad życiem duchowym. Zastanawiałem się dzisiaj rano, czym dla mnie jest życie duchowe. Wydaje mi się, że to jest próba skomunikowania się z samym sobą. Próba dotarcia do siebie samego. Na różne sposoby: psychoterapią, sztuką, literaturą...

I po trzecie: w jakiej intencji się modlą.

Ktoś spaceruje plażą i prosi o znak, i właśnie wtedy pod jego stopy wypływa kawałek szkła ze słowem „znak”. Ktoś prosi o miłość konkretnego mężczyzny i najpierw ma realistyczny sen o ich związku, a potem sen staje się rzeczywistością. Ktoś opowiada o cudownym wyzdrowieniu dziecka. Ktoś opisuje, że kiedy wyjeżdża z bocznej drogi, nagle gaśnie mu silnik i dzięki temu nie wpada pod rozpędzoną, nieoświetloną ciężarówkę, która nadjeżdża główną drogą. Ktoś mówi słowa modlitwy w chwilach przemocy psychicznej, kiedy trzeba uspokoić myśli, a słowa „Zdrowaś Mario” są jedynymi, które się pamięta.

Więcej w modlitwach lęku czy wolności?

Jeszcze do niedawna powiedziałbym, jako ten niedowiarek, że lęku. Teraz już wiem, że wolności, także od Kościoła.

Choć odkryciem jest dla mnie zjawisko, że bardzo religijni ludzie w modlitwie są samotni. Opuścili Kościół, a wiara pozostała. „Nie cierpię Kościoła i księży, córki są nieochrzczone, mój pogrzeb ma być świecki” – wyznała na przykład dyrektorka korporacji, a o swoich modlitwach napisała kilka stron! „Nie uważam zatem, że modląc się, tworzę wspólnotę religijną”. Czy to nie daje do myślenia? ©℗ Rozmawiała ANNA GOC

MARIUSZ SZCZYGIEŁ (ur. 1966) jest reporterem, współzałożycielem i prezesem zarządu Fundacji Instytut Reportażu, wykładowcą w Polskiej Szkole Reportażu. Autor nagradzanych książek reporterskich, pomysłodawca i autor trzytomowej „100/XX. Antologii polskiego reportażu XX wieku”.

TYGODNIK POWSZECHNY

LATO WCIĄŻ TRWA!

CZYTAJ TYGODNIK NA PLAŻY, W GÓRACH, W LESIE.

SPECJALNA OFERTA!

PREZENT DLA PRENUMERATORÓW

Przy zamówieniu nowej lub przedłużeniu obecnej prenumeraty WAKACYJNE WYDANIE SPECJALNE „SZEROKIEJ DROGI" W PREZENCIE*

OFERTA WAŻNA DO 3 WRZEŚNIA

*dla pierwszych 100 osób w wersji papierowej, a dla kolejnych – w cyfrowej (pod warunkiem przekazania kontaktu z adresem e-mail na Bok@TygodnikPowszechny.pl do końca trwania oferty)

SKORZYSTAJ!

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT® INPOST

InPost

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

dowiedz się więcej!
powszech.net/KupTygodnik | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: SHIFAAZ SHAMOON / UNSPLASH

DRONY I TAJWAŃSKA STRATEGIA JEŻA

Tajwan, podobnie jak Ukraina, w strategii obronnej stawia na drony. Aby zwiększyć skalę produkcji, potrzebuje jednak rynków zagranicznych. Na głównego nabywcę wysuwa się Polska.

MARIA WIŚNIEWSKA

REUTERS TV / REUTERS / FORUM

Na tajwańskim niebie chińskie samoloty wojskowe pojawiają się codziennie. Od maja 2024 roku, gdy urząd prezydenta objął Lai Ching-te – określany przez chińską propagandę jako „niebezpieczny separatysta" i „pasożyt" – średnia liczba dziennych naruszeń „linii środkowej" uznawanej przez Tajwan za granicę w Cieśninie Tajwańskiej wzrosła do 10. To dwa razy więcej niż w poprzednich latach.

Historyczna konieczność

Rekordy padają przy okazji wydarzeń szczególnie drażniących dla władz w Pekinie, takich jak uroczystości zaprzysiężenia prezydenta wybranego w demokratycznym głosowaniu, święto narodowe czy ćwiczenia wojskowe. Chociaż to już na Tajwanie nowa norma, do której przywykli mieszkańcy wyspy (a właściwie wysp, bo Tajwan liczy ich 168), każdy dzień przypomina o zagrożeniu, jakie dla tego 23-milionowego kraju stanowi potężny sąsiad zza cieśniny.

Chińskie władze postrzegają Tajwan jako zbuntowaną prowincję już od 1949 roku, gdy ewakuował się tam Kuomintang pod wodzą Czang Kaj-szeka po przegranej wojnie domowej z komunistyczną rebelią Mao Zedonga. Jednak choć kolejni następcy Mao mówili o potrzebie „ponownego zjednoczenia Tajwanu z macierzą", to inwazja stała się naprawdę wyobrażalnym scenariuszem dopiero za Xi Jinpinga, który określił przyłączenie Tajwanu do ChRL jako „historyczną nieuniknioność".

Symboliczna data

Chiński przywódca, jak twierdzi amerykański wywiad, nakazał wojsku, by do 2027 roku było gotowe na inwazję. To rok dla Pekinu pełen symboliki, bo wtedy przypada 100-lecie powstania chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ALW) i to wtedy Xi najpewniej obejmie czwartą kadencję swojej możliwie dożywotniej władzy. To także rok zażartej kampanii wyborczej przed kolejnymi wyborami na Tajwanie planowanymi na 2028 rok.

W Tajpej niektórzy sądzą, że Chiny tak prędko nie zaatakują Tajwanu, bo ALW musi uporać się wpierw z kryzysem przywództwa i korupcją w swoich szeregach. – Xi poprosił swoje wojsko, by było gotowe do 2027 roku właśnie dlatego, że teraz nie jest pewien zwycięstwa – uważa jedna z wysoko postawionych osób w tajwańskich strukturach rządowych, z którą rozmawiał „Tygodnik".

Jeżeli jednak potraktować ten scenariusz jako możliwy, to Tajwanowi nie zostało wiele czasu, by przygotować się na obronę wyspy, demokratycznego systemu władzy, a przede wszystkim swojej narodowej tożsamości, bo jako Tajwańczyków postrzega się dziś już prawie 63 proc. mieszkańców kraju, a jako Chińczyków – jedynie 2,3 proc. (30,5 proc. uważa się za Chińczyków i Tajwańczyków jednocześnie).

Długo odkładana reforma wojska

Zachowanie *status quo* Tajwanu – co oznacza w praktyce suwerenność bez formalnej deklaracji niepodległości – wymaga przeorganizowania skostniałego systemu wojskowego, w wielu obszarach tkwiącego jeszcze w poprzednim wieku.

Zaczęła już to robić ceniona w kraju i za granicą poprzedniczka obecnego prezydenta i pierwsza kobieta sprawująca ten urząd, Tsai Ing-wen, która znacznie zwiększyła wydatki wojskowe, wydłużyła obowiązkowe szkolenie wojskowe dla młodych mężczyzn z czterech miesięcy do roku i wzmocniła programy społecznego przygotowania na wojnę. Politykę tę kontynuuje Lai. Tak jak Tsai, wywodzi się z Demokratycznej Partii Postępu (DPP), ugrupowania stojącego na stanowisku, że Chiny odstraszyć przed atakiem może tylko wzmocnienie gotowości do wojny. ↦

Manewry wojskowe w Pingtung, Tajwan, 20 sierpnia 2024 r.

PATRYK SAWICKI / ARCHIWUM PRYWATNE

Manewry wojskowe. Taichung, Tajwan, 6 lipca 2025 r.

↦ Inaczej uważa główny rywal DPP, Kuomintang, który stawia na zacieśnianie relacji z groźnym sąsiadem. A ponieważ ugrupowanie to ma przewagę w parlamencie, to projekty obronne często tam utykają.

Jednak nawet zakładając sukces tych programów, nie zasypią one potężnej przepaści, jaka dzieli ten kraj od Chin, posiadających dziesięć razy więcej żołnierzy, czołgów i okrętów podwodnych.

Tymczasem Tajwan, uznawany jedynie przez tuzin krajów na świecie, nie może być nawet pewien, że na ratunek ruszy jego największy sojusznik. U podstaw jego relacji ze Stanami Zjednoczonymi leży bowiem zasada „strategicznej dwuznaczności", zgodnie z którą Waszyngton nie deklaruje, czy w przypadku ataku Chin przyśle wojsko z pomocą. W Tajpej nie przechodzi też bez echa fakt, że Trump dystansuje się nawet od swoich tradycyjnych i pełnoprawnych sojuszników w Europie.

Bezzałogowe piekło

Tak czy owak, nawet jeśli USA ruszą z pomocą, to w pierwszych chwilach kraj musi bronić się sam. Dlatego w kontekście Tajwanu mówi się o „taktyce jeża", koncepcji obronnej zakładającej, że w walce z dużo zasobniejszym i większym wrogiem należy postawić nie na tradycyjne systemy zbrojeniowe jak czołgi, okręty czy samoloty (bo tu i tak przewagę będzie miał silniejszy adwersarz), a na „dużą liczbę małych rzeczy", jak ujął to emerytowany tajwański admirał Lee Hsi-ming. Ma to sprawić, że tak jak zjedzenie (nawet bardzo smakowitego) jeża okupione jest zbyt dużymi kosztami, tak samo dla Chin atak na naszpikowany kolcami Tajwan stanie się nieopłacalny.

Kluczową rolę w tej strategii odgrywają drony: bezzałogowe, zdalnie sterowane, małe jednostki, które można naładować materiałami wybuchowymi i skierować w stronę okrętów czy samolotów nieprzyjaciela. Mogą też służyć do wielu innych celów: gromadzenia informacji wywiadowczych, zwalczania dronów przeciwnika czy transportu leków. I wszystko bez narażania cennych zasobów ludzkich.

Masowo rozmieszczone wzdłuż wybrzeża wyspy mogłyby służyć za pierwszą linię obrony przed atakiem Chin, tworząc w cieśninie „bezzałogowe piekło".

– Chodzi o stworzenie poczucia niepewności: tak by Chiny nie wiedziały, gdzie i kiedy te zagrożenia mogą się pojawić – twierdzi William Chen, prezes firmy Thunder Tiger z branży robotyki, która produkuje także urządzenia dla użytku wojskowego, w tym morskie drony. – Tę niepewność Chiny muszą brać pod uwagę w swoich kalkulacjach, gdy będą się zastanawiać, czy zaatakować czy nie.

Lekcje z Ukrainy

Tajwan stawia na drony także dlatego, że bacznie obserwuje Ukrainę, która już czwarty rok opiera się Rosji. Środowisko eksperckie uważa, że jej skuteczna obrona jest możliwa w dużej mierze dzięki bezzałogowcom, bo ich zwalczanie pochłania zasoby, rozprasza uwagę i zwiększa ryzyko dla atakującego.

– Przykład wojny w Ukrainie pokazuje, że nawet jeśli masz więcej broni konwencjonalnej, większą gospodarkę i liczniejsze wojsko, możesz przegrać – powiedział polityk Kuan-ting Chen, przewodniczący parlamentarnego tajwańsko-ukraińskiego stowarzyszenia przyjaźni. Jego celem jest „wysłanie sygnału światu, w tym Chinom, że mocarstwa mogą przegrać współczesną wojnę" ze względu na nowe technologie.

Jak odnotowuje kilku rozmówców „Tygodnika" z tajwańskiej administracji, Ukrainie właśnie dzięki bezzałogowcom udało się utrzymać inicjatywę na Morzu Czarnym, mimo że utraciła właściwie całą swoją flotę po aneksji Krymu w 2014 roku. Na Tajwanie szeroko komentowane są też ukraińskie operacje specjalne z dronami w roli głównej, tak

jak atak na Most Kerczeński, który przeprowadziły w czerwcu służby przy użyciu podwodnych dronów.

– Mądre wydawanie pieniędzy, jak robi to Ukraina z tanimi dronami, to lekcja, którą Tajwan może sobie wziąć do serca – uważa Chen.

Nowe dobro narodowe

Dlatego w zamyśle decydentów w Tajpej bezzałogowce powinny stać się kolejnym „dobrem narodowym" Tajwanu, tak jak wcześniej czipy. I tak samo jak one, stać się kluczowym elementem obrony wyspy.

Chodzi o koncepcję „krzemowej tarczy", według której Chiny niechętnie zdecydują się na atak na Tajwan, gdyż uderzyłby on także w produkcję półprzewodników, odgrywających wielką rolę w budowaniu innowacyjnej gospodarki. Nie tylko Państwa Środka, ale też innych krajów, którym – wedle tej logiki – zależy na tym, by powstrzymać zakusy Pekinu.

Teraz, według prezydenta Laia, wyspa ma wyrosnąć na azjatycki hub dronowy dla „demokracji świata", produkujący drony całkowicie „wolne od Chin". Do 2028 roku Tajwan planuje zwiększyć produkcję do ponad 180 tys. rocznie.

Aby zrealizować ten projekt, w dużej mierze może oprzeć się właśnie na swojej ekspertyzie technologicznej. Oprócz tego, że daje ona dostęp do półprzewodników, niezbędnych do wytwarzania współczesnego uzbrojenia, Tajwan może liczyć na siatkę tysięcy firm z branży elektroniki, która – tak jak Thunder Tiger – może w razie potrzeby rozszerzyć swoje portfolio o maszyny do użytku wojskowego.

W razie potrzeby, bo nie chodzi o to, żeby teraz magazynować dziesiątki tysięcy maszyn. Technologie, na których oparte są drony, ulegają bowiem błyskawicznym modyfikacjom i nawet najnowocześniejszy model po roku może okazać się już przestarzały.

Demokratyczna ekspansja

Ambicje wyrośnięcia na bezzałogową potęgę mogą wydawać się trudne do zrealizowania, gdy spojrzy się na liczby, bo obecnie Tajwan produkuje tylko 8-10 tys. dronów rocznie.

Upatruje jednak swojej szansy w rynkach krajów zachodnich, które coraz częściej widzą potrzebę uniezależnienia się od Chin w sektorach strategicznych, a zwłaszcza w sferze obronności. Jak tłumaczy „Tygodnikowi" analityczka Cathy Fang z DSET, think tanku związanego z Radą Nauki i Technologii Tajwanu, zwiększenie popytu zagranicznego może sprawić, że dla firm opłacalne stanie się rozbudowanie zdolności produkcyjnych na długo przed potencjalnym kryzysem. – Wtedy, w razie wojny, można szybko zwiększyć skalę produkcji – przewiduje.

Według danych tajwańskiego urzędu celnego w pierwszej połowie 2025 roku wyspa odnotowała 749-procentowy wzrost w ich eksporcie. Chociaż tak gwałtowny skok wynika w dużej mierze z efektu niskiej bazy, to jest on także wyrazem rosnącego popytu na produkty z Tajwanu. W drugim półroczu 2023 roku wyspa wyeksportowała 290 dronów, w 2024 roku – 3473, a tylko w pierwszym kwartale 2025 roku – 3426. W czerwcu liczba ta podskoczyła do 6884.

Polska i Tajwan

Na tle wszystkich importerów wyróżnia się Polska, która w pierwszej połowie roku odpowiadała za 54 proc. całkowitego eksportu z wyspy, wyprzedzając Niemcy, Czechy i Stany Zjednoczone. Zwiększone zakupy z Tajwanu wpisują się szerzej w nową strategię obronną polskiego rządu, który zapowiedział „rewolucję dronową" mającą prowadzić do – jak ujął to wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk – „masowego nasycenia wojska systemami bezzałogowymi". Pod koniec lipca zapowiedział nowe fundusze na rozwój dronów i szkolenia.

Związki z Tajwanem są jeszcze silniejsze, jeśli spojrzymy nie na import gotowych dronów, ale elementów służących do ich produkcji. Chociaż na razie między polskim rządem (ani żadnym innym rządem europejskim) a tajwańskimi firmami dronowymi nie doszło do oficjalnych kontaktów, producenci bezzałogowców znad Wisły coraz częściej nawiązują z nimi współpracę. Dla Tajwanu to wejście na obiecujący rynek i możliwość dotarcia do Ukrainy, gdzie może testować swoje technologie. Z kolei dla Polski dobra alternatywa dla dronów lub komponentów do nich z Chin, które nadal są ich kluczowym źródłem.

– Zaczęło się od poszukiwania zastępstwa dla chińskich części – mówi Joanna Rutkowska, dyrektorka operacyjna Farady, polskiego producenta dronów przeznaczonych do celów transportowych i obserwacyjnych. – I okazało się, że na Tajwanie jest bardzo dużo zaawansowanych, dobrych technologicznie, ale również przystępnych cenowo producentów.

Jak mówi, trend odchodzenia od chińskich komponentów podyktowany jest obawami, że w razie konfliktu handlowego Chiny zdecydują się na restrykcje eksportowe, tak jak już to robią, np. blokując eksport pierwiastków ziem rzadkich. Klienci mają także obawy co do bezpieczeństwa wykorzystania dronów zawierających chińskie części.

Zakaz kupowania takich maszyn ma już np. Pentagon. Przepisy przyjęto z obawy, że maszyny mogłyby zbierać dane na temat baz wojskowych, infrastruktury krytycznej i zasobów naturalnych. Po tym jak wprowadzono zakaz w 2019 roku, podobne decyzje podjęto na poziomie administracji stanowej.

Chociaż w Unii Europejskiej obecnie nie ma takich regulacji, to zdaniem Rutkowskiej także na Starym Kontynencie rodzi się pewien trend. – Jest dużo obaw ze strony służb, również w Polsce, dotyczących wykorzystania dronów zawierających chińskie komponenty. Stwierdziliśmy więc, że rezygnacja z nich jest dla nas kluczowa, by konkurować o rynki – mówi dyrektorka operacyjna Farady.

Czas wojny, czas pokoju

Czy w swoim ambitnym programie Tajwan wygra wyścig z czasem? Ma na to duże szanse. Tak samo jak Tajwan, Ukraina też zaczynała z bardzo niskiego pułapu, z zaledwie kilkoma niewielkimi producentami dronów przed 2022 rokiem. A dzisiaj kraj pochłonięty wojną produkuje rocznie 1,5 mln maszyn.

– Ukraina? Trzy lata temu trudno im sobie byłoby wyobrazić takie zdolności, jak mają dziś – mówi Cathy Fang z DSET. – Ale po wybuchu wojny Kijów się zmobilizował i stworzył najbardziej imponujący na świecie przemysł dronowy.

Tajwan z miesiąca na miesiąc radzi sobie coraz lepiej, a przecież nie stanął jeszcze twarzą w twarz z agresorem – mówi Fang.

Oby nie musiał tego robić.

© MARIA WIŚNIEWSKA

Autorka jest dziennikarką PAP. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Z Bożej łaski

KATHERINE STEWART, AUTORKA KSIĄŻEK O RELIGIJNEJ PRAWICY W USA:

FANATYZM RELIGIJNY | Oni nie chcą już tylko uczestniczyć w dyskusji na temat amerykańskiej demokracji. Chcą ją zniszczyć.

MARTA ZDZIEBORSKA: Czego od amerykańskiego rządu oczekują chrześcijańscy nacjonaliści?

KATHERINE STEWART: To zależy, czy mówimy o liderach ruchu, czy o zwykłych Amerykanach. Wśród tych drugich, wielu osobom wcale nie marzy się teokracja. Liczą się dla nich konserwatywne wartości i dlatego głosują na polityków powtarzających, że Amerykanie to chrześcijański naród i należy całkowicie znieść prawo do aborcji. Ale to nie oznacza, że oczekują fundamentalnych zmian w funkcjonowaniu państwa.

Liderom ruchu zależy z kolei na zdobyciu większej władzy dla siebie oraz organizacji i polityków, których wspierają. Chcą też, by rząd finansował ich inicjatywy. Roztaczają wizję, że Ameryka jest na skraju upadku w związku z działaniami radykalnej lewicy i dążeniem do równości społecznej. Te mroczne siły można ujarzmić jedynie z pomocą silnego, autorytarnego przywódcy.

I tu pojawia się Donald Trump, który w czerwcu 2015 r. zjeżdża ruchomymi schodami z Trump Tower i ogłasza pierwszą kampanię prezydencką. Dlaczego chrześcijańscy nacjonaliści mają dwukrotnego rozwodnika za wybawcę?

Bo podczas pierwszej prezydentury spełnił obietnice wyborcze, nominując do Sądu Najwyższego trzech konserwatywnych sędziów, którzy przyczynili się do zniesienia konstytucyjnego prawa do aborcji. Popierał także deregulację i obniżył podatki. Przedstawiany jest jako niedoskonały wybraniec Boga, który ma sprawić, że Ameryka powróci do tzw. judeochrześcijańskich korzeni. Religijnej prawicy podobają się jego autorytarne ciągoty. Nie chcą miłego faceta przestrzegającego zasad, tylko człowieka, który je łamie i przymusza innych do ustępstw.

Trump 2.0 powołał już zespół ds. dyskryminacji wobec chrześcijan, który ma tropić przypadki nadużyć ze strony administracji Bidena. Co jeszcze zrobił?

Jego administracja pozwoliła np. na promowanie przekonań religijnych w miejscu pracy. Inną reformą jest to, że Kościoły nie muszą się już obawiać problemów podatkowych, gdy popierają z ambony konkretnych polityków. Takie wytyczne wydał niedawno amerykański fiskus.

Do tej pory Kościoły za agitację polityczną przynajmniej w teorii mogły stracić przysługujące im zwolnienie z podatków.

Właśnie – w teorii, bo Kościoły, a szczególnie te wspierane przez konserwatystów, od lat mobilizują wyborców do głosowania na konkretnych kandydatów. A wracając do reform administracji Trumpa: ułatwiono finansowanie prywatnych szkół religijnych i instytucji. Obcięto fundusze na badania dotyczące nierówności społecznych, ochrony klimatu i innych kwestii, które kłócą się z wizją chrześcijańskich nacjonalistów.

A czy chrześcijańskim nacjonalistą jest sekretarz obrony Pete Hegseth? W maju zorganizował w Pentagonie modlitwę, podczas której wychwalano Trumpa jako przywódcę wybranego przez Boga.

Religijny nacjonalizm jest nie tylko zbiorem poglądów jego zwolenników, ale także wpływa na system polityczny. Z tej perspektywy Hegsetha można uznać za reprezentanta tego ruchu. Nosi popularne wśród skrajnej prawicy tatuaże, które nawiązują do średniowiecznych krucjat. Publicznie wychwalał pastora Douga Wilsona, który twierdzi, że przyznanie kobietom praw wyborczych było błędem, a niewolnictwo nie jest czystym złem, jeśli realizuje się je w „biblijny" sposób.

Czyli jaki?

Zgodny z interpretacją Biblii według Wilsona.

Hegseth twierdził z kolei w przeszłości, że nie powinno się dopuszczać kobiet do misji bojowych w wojsku. Kiedy czytałam Pani książkę „Wyznawcy władzy", zszokowało mnie, że chrześcijańscy nacjonaliści są także przeciwko programom socjalnym dla ubogich. Jak to argumentują?

Niektórzy liderzy ruchu nie czują się w obowiązku tego tłumaczyć. A jeśli już to robią, to mówią, że pomaganie biednym jest wymysłem radykalnej lewicy. Inni z kolei przekonują, że obowiązek pomocy spoczywa nie na państwie, tylko rodzinie i Kościołach. I właśnie ta teoria służy do lobbowania za zwiększeniem funduszy publicznych dla Kościołów. Zdarza się, że niektóre z nich pomagają ubogim głównie po to, by ich nawracać. To, jak pastorzy ewangelikalni najchętniej wydają kościelne pieniądze, pokazuje chociażby przykład duchownych takich jak Kenneth Copeland, Jesse Duplantis czy T.D. Jakes.

Czytałam, że niektórzy pastorzy mieszkają w luksusowych willach, formalnie zakwalifikowanych jako plebanie. Dzięki temu nie muszą płacić astronomicznego podatku od nieruchomości. Religijna prawica jest też mistrzem w szafowaniu terminem „wolności religijnej", by ugrać korzystne dla siebie przepisy. Jak to działa w praktyce?

Podstawowym wytrychem jest przedstawianie „wolności" jako prawa do dyskryminowania osób, których działania lub styl życia urażają uczucia konserwatywnych chrześcijan.

W ten sposób religijni szefowie nie muszą refundować środków antykoncepcyjnych dla swoich pracownic w ramach firmowego ubezpieczenia zdrowotnego.

Innym sposobem jest próba podciągnięcia religii pod przepisy chroniące wolność wypowiedzi. Wszelką odmowę przekazania funduszy publicznych dla organizacji religijnych można wtedy

EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS

Donald Trump podczas obchodów Narodowego Dnia Modlitwy w Ogrodzie Różanym w Białym Domu. Waszyngton, 1 maja 2025 r.

okrzyknąć zamachem na ich prawo do wolności wypowiedzi.

Pisze Pani o szkołach powiązanych z chrześcijańskim nacjonalizmem. Czy ich rosnąca popularność w USA jest odpowiedzią na nauczanie o rasie i tożsamości płciowej w szkołach publicznych?

To głębszy problem. Już w 1979 r. pastor Jerry Falwell napisał, że gdy pewnego dnia w USA znikną szkoły publiczne, kontrolę nad edukacją przejmą związki wyznaniowe, a placówki będą prowadzić chrześcijanie. Inny wpływowy przywódca religijny D. James Kennedy (który dostał miliony dolarów od rodziny Betsy DeVos, sekretarz edukacji za pierwszych rządów Trumpa) mówił, że szkoły publiczne są „ateistyczne" i że piorą dzieciom mózgi w imię „bezbożnego sekularyzmu". Choć niszczenie publicznego systemu edukacji było od dawna celem amerykańskich konserwatystów, ich działania nie były tak śmiałe.

Proszę wytłumaczyć.

Gdy w 2012 r. wydałam pierwszą książkę na temat religijnej prawicy, tylko nieliczni mówili otwarcie, że chcą wykończyć szkoły publiczne i stworzyć ogólnokrajową sieć placówek finansowanych przez państwo i jawnie faworyzujących określoną religię. Teraz jest inaczej. Obecnie aktywiści dążą do przepychania w konserwatywnych stanach reform takich jak nakaz wieszania Dziesięciu Przykazań w każdej klasie w szkołach publicznych. W Teksasie szkoły podstawowe dostają dotacje, jeśli włączą do programu wątki dotyczące chrześcijaństwa. Władze w Oklahomie z kolei kazały nauczać na temat Biblii.

Przypomnijmy, że mówimy o kraju, gdzie obowiązuje rozdział Kościoła od państwa.

Konserwatywna prawica jednak nie odpuszcza. Niedawno wytoczyła sądową batalię o to, by można było finansować z publicznych pieniędzy otwarcie religijne szkoły charterowe [to szkoły publiczne, ale mające większy stopień autonomii – red.]. Ostatecznie przegrała tę walkę, bo jeden z dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego USA wycofał się z orzekania w tej sprawie. Sędziowski pat – czterech sędziów było za, a czterech przeciwko – zablokował otwarcie katolickiej szkoły charterowej w Oklahomie.

Tym razem się nie udało, jestem jednak pewna, że konserwatywna prawica będzie dalej wszczynała takie batalie. W międzyczasie chrześcijańscy nacjonaliści podważają zaufanie do programu nauczania w szkołach publicznych. Atakują np. krytyczną teorię rasy głoszącą, że lata niewolnictwa i segregacji rasowej doprowadziły w USA do utrwalenia rasizmu instytucjonalnego.

Chrześcijańscy nacjonaliści mają własną teorię na temat metod wychowawczych. Jeden z bohaterów „Wyznawców władzy", pastor Ralph Drollinger, krytykował rodziców odmawiających bicia dzieci.

Drollinger w jednym ze swoich przewodników dla kół biblijnych cytuje Księgę Przysłów: „Nie szczędź chłopcu karcenia, jeżeli go uderzysz rózgą, nie umrze. Ty go uderzysz rózgą, a jego duszę wyrwiesz z krainy umarłych". To podejście dobrze tłumaczą słowa jednej z matek, którą poznałam w trakcie pracy nad książką. Powiedziała mi, że daje swoim dzieciom mocne klapsy, bo to ich uczy ↦

↦ szacunku do autorytetów i lęku przed Bogiem.

Pastor Drollinger organizował też koła biblijne dla polityków, co pozwalało mu lobbować w sprawach ważnych dla agrobiznesu, który reprezentował. Twierdził, że „ekologia to fałszywa religia", a ochrona określonych gatunków zwierząt jest sprzeczna z wolą Boga. Czy w tej grze nie chodzi tak naprawdę o religię, tylko głównie o interesy amerykańskich bogaczy?

Te dwie rzeczy się łączą. Z jednej strony mamy szeregowych zwolenników chrześcijańskiego nacjonalizmu, którzy chcą zwiększenia roli religii w państwie, a z drugiej – miliarderów pompujących ogromne pieniądze w istotne dla nich sprawy. Stąd tak powszechna u chrześcijańskich nacjonalistów interpretacja Biblii, według której bogactwo jest oznaką boskiej przychylności.

W „Wyznawcach władzy" pisze Pani, że za rozwój ruchu chrześcijańskiej prawicy w dużej mierze odpowiadają plutokraci z Michigan, w tym Richard DeVos, współzałożyciel sieci sprzedaży bezpośredniej Amway, popularnej w Polsce w latach 90.

Plutokraci z Michigan byli tylko jednymi z odpowiedzialnych za rozwój ruchu. Tak jak piszę też w swojej najnowszej książce „Money, Lies and God", ruch dotują nie tylko chrześcijanie, ale także żydwwwzi czy nawet ateiści. To, co ich łączy, to potrzeba zduszenia liberalizmu i rzekomo przeżartego biurokracją rządu.

A to idealnie pasuje do retoryki Trumpa i Republikanów, którzy potrzebują konserwatywnych chrześcijan, by wygrywać wybory.

Dlatego Republikanie od lat tak mocno podgrzewają wojny kulturowe. Przeciętnego wyborcy nie zmobilizują hasła typu „dajmy się jeszcze bardziej wzbogacić miliarderom" czy „zabierzmy ludziom opiekę zdrowotną". Partia Republikańska twierdzi, że broni wartości rodzinnych, a tak naprawdę wspiera reformy, przez które amerykańskim rodzinom żyje się jeszcze trudniej.

MATERIAŁ PRASOWY

KATHERINE STEWART – amerykańska dziennikarka od lat śledząca działania religijnej prawicy i jej sojusz z polityką. Artykuły Stewart ukazywały się na łamach „The New York Timesa" i magazynu „The New Republic". Jest autorką kilku książek, m.in. „Money, Lies and God" (premiera w lutym br.), „The Power Worshippers" („Wyznawcy władzy" – polskie wydanie właśnie ukazało się nakładem wydawnictwa Czarne) oraz „The Good News Club" (2012).

Dziś ważną częścią partyjnej retoryki jest szczucie imigrantami, co dobrze komponuje się z poglądami chrześcijańskich nacjonalistów. Uważają, że Ameryka powstała jako kraj białych chrześcijan i imigranci go osłabiają. A to rodzi dziś konflikt między konserwatywnymi i liberalnymi chrześcijanami, których Kościoły pomagają imigrantom i przez to stają się celem nalotów ze strony służb odpowiedzialnych za deportacje.

Czy sojusz Republikanów z chrześcijańskimi nacjonalistami zmienił się od czasów pierwszej prezydentury Trumpa?

Na pewno obecna administracja jest bardziej skupiona na wprowadzaniu radykalnych reform. Pomaga jej w tym Project 2025, przygotowany przed wyborami plan przebudowy amerykańskiego rządu. Ludzie Trumpa czują się dziś pewniej także za sprawą konserwatywnej większości w Sądzie Najwyższym, która potencjalnie może rozstrzygać na korzyść najbardziej kontrowersyjnych reform.

W aliansie między chrześcijańskimi nacjonalistami a Republikanami pomagają pastorzy namawiający wiernych, by głosowali na „wartości biblijne". Wyposażeni w narzędzia technologiczne, mogą nawet sprawdzić, czy dana osoba oddała już głos w wyborach. To niepojęte!

Liderzy ruchu dobrze wiedzą, że pastorzy mają duże zaufanie wśród lokalnych społeczności. Dlatego stworzyli organizacje, jak Faith Wins czy Watchmen on the Wall, które werbują i szkolą pastorów tak, by byli skuteczni w mobilizowaniu wyborców. Pastorzy, którzy się w to angażują, mają zazwyczaj w tym interes lokalny lub religijny. A wykorzystują to politycy chcący osłabić amerykańskie instytucje i szerzej – demokrację.

Dodajmy, że pastorzy są kluczowi w mobilizacji ludzi, którzy rzadko chodzą na wybory.

To po pierwsze, a po drugie, amerykańska prawica jest skuteczna w werbowaniu takich wyborców za pomocą organizacji religijnych, programów radiowych i dezinformacji w social mediach. Nie wszyscy jednak pastorzy to pochwalają. Regularnie piszą do mnie duchowni, którzy z zaniepokojeniem obserwują, jak ich wierni się radykalizują, wierząc w teorie, jakoby za wszystkie problemy w Stanach odpowiadała radykalna lewica czy sekretna siatka pedofilów. Wielu pastorów jest wobec tego bezsilnych.

Tymczasem liderzy ruchu chrześcijańskich nacjonalistów nie chcą już tylko uczestniczyć w dyskusji na temat amerykańskiej demokracji. Oni chcą ją zniszczyć i skonsolidować władzę w rękach nowej elity.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Step z polskimi korzeniami

ANTONINA PALARCZYK Z DONBASU

Potomkowie zesłanych do Donbasu powstańców listopadowych i styczniowych muszą dziś opuścić domy: front jest coraz bliżej.

W zachodniej części wolnego obwodu donieckiego wszystkie drogi zdają się prowadzić do Batyckich. Zadbane przystanki opatrzone cytatami poetów, przydrożne miejsca pamięci, krzyże i głazy opowiadające lokalną historię. Wreszcie znak oznajmiający wjazd do chutoru Łymań, okazały i z figurami dwóch postaci w ludowych strojach, trzymających bochen chleba oraz propor z powitaniem.

Od dziesięcioleci okolica zamieszkana jest przez potomków polskich zesłańców. Juriwka, Kamianka, Serhijiwka, Hryszyne, Łymań. W ostatniej z tych miejscowości, w nietypowym, bo dwupiętrowym domu z flagą niebiesko-żółtą i czarno-czerwoną, mieszka Wiktor Batycki z żoną Niną. Prezes oraz jego zastępczyni w organizacji obywatelskiej Dobropolski Związek Kultury Polskiej „Rodzina".

POLSKI HERB | Batycki, choć dobiega siedemdziesiątki, jest wyjątkowo żywotny. Z wąsem, w kowbojskim kapeluszu, od lat jest lokalnym działaczem, choć teraz, w obliczu frontu ledwie kilkanaście kilometrów stąd, wszystko zamiera.

– Po wojnie skończymy budowę kaplicy. Jak już to wszystko się skończy – zamyśla się, wskazując niedokończoną bryłę, gdy wychodzimy z niewielkiego cmentarza, gdzie pochowani są jego przodkowie. Na granitowym nagrobku ojca, Mykoły Andrijowycza, wygrawerowany jest polski herb Nałęcz (jeden z najstarszych), którym posługiwali się m.in. Batyccy.

GDY GŁOWA SIWIEJE | – Ojciec wiedział, że ma polskie korzenie, jakoś to czuł. Czytał sporo książek historycznych, ale o Kozakach. A z kim walczyli Kozacy? Z Polakami – uśmiecha się z przekąsem Batycki. – Sympatia ojca zawsze była po kozackiej stronie. Poza tym nie mówiło się wiele o naszej własnej historii. Człowiek zaczyna się nią interesować, kiedy mu głowa siwieje. Więc wieczorami siadywałem, od 1990 roku, kiedy zacząłem zajmować się krajoznawstwem, i spisywałem historię okolicznych miejscowości. Założyłem obywatelską organizację kultury polskiej i z jej ramienia zaczęliśmy organizować festiwal „Polska Jesień na ziemiach Dobropola".

Stworzenie organizacji zaczęło się od znajomości z mniejszością polską zamieszkującą okolicę Doniecka. Początkowo byliśmy filią tamtejszego Towarzystwa Kultury Polskiej, organizującego wyjazdy krajoznawcze do Polski i pomagającego ludziom o polskich korzeniach w staraniach o Kartę Polaka.

ATAMAN | Poza piastowaną funkcją prezesa, Batycki od lat jest dyrektorem kołchozu im. Tarasa Szewczenki w Juriwce oraz Muzeum Historii tamże, atamanem lokalnego ośrodka Nowogrodzkiego Pułku Kozactwa Rejestrowanego i cerkiewnym starostą, przez lata wybieranym do donieckiej rady obwodowej. Długo by jeszcze wymieniać. To dzięki jego staraniom okolica przez długi czas pełna była aktywizujących lokalną społeczność inicjatyw, rozwijanych z pomocą żony.

Nina Batycka z domu Romaniuk ma pochodzenie polsko-rosyjskie, rodzinnie związana jest i z Syberią, i z Kamieńcem Podolskim. Po ukończeniu Charkowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego została skierowana do rejonu dobropolskiego jako nauczycielka rosyjskiego.

CZTERY WIEKI WSTECZ | W swojej książce „Historia Polaków na ziemiach Dobropola i Pokrowska" Batycki wspomina, że pierwsze wzmianki o polskim osadnictwie w powiecie bachmuckim sięgają XVII wieku. Carski dekret z 1752 roku na długi czas zabronił Polakom osiedlać się na terenach dzisiejszej południowej Ukrainy. Jednak już 25 lat później dowódca serbskiego pułku husarskiego Żandr miał wywieźć z Polski około 40 szlacheckich rodzin, które osiedlono w powiecie bachmuckim.

Wedle cytowanej przez Batyckiego encyklopedii Brockhausa i Efrona Polacy w różnych okresach osiedlali się tam oraz w powiecie oleksandrowskim, zaś wysiedleńcy z polskiej Ukrainy – w powiecie katerynosławskim (dziś to tereny miasta ↦

Znak-witacz na wjeździe do chutoru Łymań, 6 czerwca 2025 r.

JONASZ CHLEBOWSKI

↦ Dniepr, kiedyś noszącego nazwę Jekaterynosław).

ŚWIAT CIEMNY | Część z nich pojawiała się w regionie dobrowolnie, w latach 1822-1824, przeważnie byli to chłopi. Za czasów carycy Katarzyny zsyłano tutaj jeńców wojennych. Zaś Ukraińcy polskiego pochodzenia żyjący do dziś na terenie nazywanym Donbasem to w głównej mierze potomkowie przesiedleńców z lat 1830-1831 oraz 1863-1864. Skazanych i zesłanych za „udział w rozruchach", jak określane były powstania listopadowe i styczniowe, mające miejsce w tamtych latach.

Zdarzało się, że zesłaniem karano za „znajomość osób przynależących do buntowników i niedoniesienie o tym przełożonym". W większości przypadków o karze nie decydował sąd, ale cywilni i wojskowi gubernatorzy, którzy uznali pobyt danych osób w ich guberniach za niepożądany. Według wspomnień mieszkającej tu Anastazji Petriwny Piwowarowej, powtarzającej opowieści swojej babci, „zsyłano nie od razu. Ludzie czekali po dwa-trzy miesiące, siedzieli na walizach, bo mogło się zdarzyć, że wyjazd będzie w nocy. A kiedy wyjeżdżali, taki podnosił się krzyk i płacz, że psy zaczynały wyć. Pomimo że dzień był słoneczny, we wsi stawało się jakby ciemno – po prostu świat biały stawał się światem ciemnym".

KAWAŁEK WSI NAZWANY POLSKĄ | Dziś pisze się kolejny rozdział w historii nie tylko całego regionu, ale też pojedynczych miejscowości, dróg i skrawków ziemi. W czasie masowych przesiedleń po powstaniu styczniowym dawny trakt katerynosławski, mający kilkusetletnią historię i należący do wielkiego etapowego szlaku Katerynosław – Bachmut – Taganrog – Rostów, przyjął nową nazwę: pawłogradzka droga etapowa, bowiem przez te lata drugą rolą traktatu było etapowanie jeńców do miejsc odbywania kary.

Dzisiaj droga nazywana szosą doniecką to jedna z kluczowych tras dla wojskowej logistyki w kurczącej się części Donbasu kontrolowanego przez Ukrainę. Wówczas zaś, wedle wspomnień przywoływanych przez Batyckiego, nie zawsze udawało się wykonać rozkazy zgodnie z etapowym porządkiem w związku z warunkami pogodowymi, brakiem konwoju etc. Miejscowi opowiadali, że wśród polskich zesłańców przejeżdżających przez wieś Hryszyne

JONASZ CHLEBOWSKI x2

Wiktor i Nina Batyccy, chutor Łymań

było wielu chorych i osłabionych. Konwojenci decydowali o pozostawianiu ich we wsi, aby tam się osiedlili.

Ulicę, przy której zamieszkali nowi osadnicy, nazywano „polaczyną", a fragment wsi – Polską. Nazwa ta zachowała się po dziś dzień, choć oficjalnie ulica nosi imię Siemiona Czeluskina. Teraz opustoszałe Hryszyne znajduje się około siedmiu kilometrów od frontu. Nad drogą ze wsi do zakrętu prowadzącego na Pokrowsk wisi siatka chroniąca przed rosyjskimi dronami.

POLAK-SKRZYPEK | Jako ostatnie miejsce, gdzie trafili zesłani uczestnicy powstania styczniowego z rodzinami, wymieniana jest Serhijiwka, dzisiaj przyfrontowa miejscowość oddalona o kilkanaście kilometrów od chutoru Łymań, również posiadająca fragment nazywany Polską. Ulica, przy której żyją potomkowie Batyckich, Perejasłowskich, Sokołowskich, Sernyckich i Obołońskich, nosi dziś imię ich krajana, Petra Samojłowycza Rokotianskiego, uczestnika trzech wojen i członka komitetu rewolucyjnego we włości serhijiwskiej.

I także tutaj pielęgnowano wspomnienia o polskich korzeniach. Cytowana przez Batyckiego Natalia Semeniuk, nauczycielka z serhijiwskiej szkoły, przywołuje wspomnienia zasłyszane w dzieciństwie od swojej leżącej na zapiecku babci Marii. O tym, że dziadek Paweł Ołyński urodził się gdzieś pod Warszawą, skąd razem z rodzicami został zesłany na wschód, że „był utalentowanym skrzypkiem, a żadne wesele, żadna zabawa we wsi nie obeszła się bez »Polaka-skrzypka« – jak nazywali dziadka Ukraińcy. Grał na skrzypcach i mandolinie. Do końca swojego życia modlił się »po swojemu«, jak mówili we wsi.

Dziadek był katolikiem, chodził do kościoła na stacji Hryszyne. Był mocnej budowy, dumnego, a nawet trudnego charakteru. Przed śmiercią wyszedł na próg, przeżegnał się nie na wschód, jak należy prawosławnym, a na zachód – w stronę swojej ojczyzny, wypił czarkę i cicho odszedł w niebyt".

ROZKUŁACZENIE | Deportacje na wschód nie były ostatnim aktem represji wymierzonym w polską mniejszość.

Już w 1918 roku (w roku wybuchu wojny polsko-ukraińskiej) kierownictwo Ukraińskiej Republiki Ludowej w rezolucji Komisariatu do spraw polskich przy Ludowym Sekretariacie Spraw Międzynarodowościowych Ukrainy zawiadomiło o braku zaufania do działalności organizacji i osób narodowości polskiej. Powstanie zaś ZSRR oznaczało tylko wzmożenie represji, nie tylko wobec mniejszości, ale całego radzieckiego narodu.

Okres Hołodomoru, a następnie Wielkiego Terroru, odcisnął głębokie piętno na całym terenie dzisiejszej Ukrainy, nie omijając Polaków. Pierwsze grupy polskiej ludności zaczęto przymusowo wysiedlać jeszcze przed II wojną światową. Decyzją politbiura z 1930 roku zdecydowano o „rozkułaczeniu" polskich elementów kontrrewolucyjnych z Ukrainy i Białorusi. Mieszkańcy Serhijiwki, wedle przywoływanych przez Batyckiego wspomnień Anastazji Petriwny Piwowarowej, zostali zesłani na Ural.

WIELKI TERROR | Ogółem na ziemiach donieckich represjom poddano 76 Polaków w latach 1929–1933. Jeszcze zanim przyszedł „Trzydziesty siódmy", jak ludzie nazywają stalinowski Wielki Terror. Wówczas łącznie aresztowanych zostało ponad 10 proc całej polskiej ludności żyjącej w Ukrainie. Naczelnik NKWD Jeżow podkreślał, że „z tą publiką nie potrzeba ceremonii. Trzeba tylko dowieść, że wszyscy Polacy to szpiedzy i dywersanci".

Okrucieństwo tamtego okresu, wymierzone w ludzi tylko ze względu na ich narodowość, często prowadziło do decyzji, jaką była jej zmiana. Dobrowolnie lub pod urzędniczym przymusem

Oryginalny wystrój cerkwi w Juriwce. 6 czerwca 2025 r.

zmieniano nazwiska, a znane były też przypadki rodziców, którzy w dokumentach swoich dzieci wpisywali: Rosjanin lub Ukrainiec.

KAPLICA | Praca nad skrupulatnym opisaniem polskich dziejów w regionie zaczęła się od uzyskania dostępu do donieckiego archiwum państwowego. Dzięki temu Batyckiemu udało się narysować drzewo genealogiczne swojego rodu. A jak udowodnić polskość przodków? Wspomnieniami i wiarą rzymskokatolicką, mówi. Pytam w takim razie o najbliższy kościół.

– Kościoła z prawdziwego zdarzenia nie było tu nigdy, tylko rzymskokatolicka kaplica w Pokrowsku, kiedyś zwanym Hryszyne, jak do teraz nazywa się wieś znajdująca się obok. Zawsze byłem kategorycznie przeciwny odbieraniu mu historycznej nazwy – Batycki pokazuje zdjęcie niepozornego budynku.

Dziś w miejscu kaplicy znajduje się wytwórnia spożywcza. Nieczynna, jak dzisiaj prawie wszystko w zniszczonym ostrzałami i częściowo oblężonym przez Rosjan mieście. – Moja mama tam pracowała, Lidia Iwaniwna z domu Oniszczenko. I wspominała, że zawsze tak mówiło się o tym miejscu: kościół. Co tam w kościele? Do kościoła idę. Przedtem, zanim wybudowano kaplicę pod koniec XIX wieku, parafianie uczęszczali do kościoła w Bachmucie.

FEDOR, NIE FRANCISZEK | Z czasem Polacy byli zmuszeni zmienić obrządek z katolickiego na prawosławny. Trzeba było pojechać aż do Katerynosławia lub Bachmutu, żeby się przechrzcić. Przy chrzcie zmieniano im też imiona – Jan stawał się Iwanem, a Franciszek – Fedorem. Batycki, obecnie również będący wyznania prawosławnego, wspomina swoich pradziadów, którzy byli ostatnim katolickim pokoleniem.

Według odnalezionych przez niego dokumentów z donieckiego archiwum i zachowanych w nim zapisów z serhiijwskiej cerkwi Świętej Trójcy, pierwsza wzmianka o potomku Polaków wyznania prawosławnego datowana jest na 1867 rok. Co oznacza, że Polacy byli zmuszeni do zmiany obrządku, aby w ogóle móc ochrzcić swoje dzieci. Dziś niewielka lokalna społeczność, choć prawosławna, wyróżnia się na tle reszty obwodu, mimo trwającej wojny wciąż zdominowanego przez rosyjski Patriarchat.

CERKIEW | – Jak będziecie chodzić do cerkwi, to zabiorę się za jej odrestaurowanie – powiedział kiedyś Batycki dwudziestu sześciu parafianom w Juriwce. I tak też zrobił, zostając cerkiewnym starostą. Cerkiew przyjęła imię Agapita Peczerskiego, świętego mnicha. Uważany za pierwszego lekarza na Rusi Kijowskiej, znany był z leczenia wodą, do której dodawał zioła. Stąd też mówi się, żeby do cerkwi w Juriwce brać ze sobą wodę, która ma nabrać cudownych właściwości.

Świątynia, podległa niepopularnemu we wschodniej Ukrainie i w związku z tym pozbawionego większych środków i wpływów Patriarchatowi Kijowskiemu, powstała na początku stulecia w budynku dawnej szkoły parafialnej. Jej kształt wciąż jest rozpoznawalny, choć z nadbudowaną niewielką kopułą i nawą, a także nietypowymi, wąskimi słupami zwieńczonymi krzyżami. Zresztą na tym nie kończy się jej nietypowość, bowiem w całości cerkiew została udekorowana elementami z recyklingu.

RAMKI Z PŁYT CD | Kolumny przed wejściem – a także te tworzące stojący naprzeciwko pomnik ku pamięci Polaków deportowanych i represjonowanych na przełomie XIX i XX wieku – to porcelanowe słupy wysokiego napięcia, które Batycki odkupił za parę kopiejek sztuka. Okrągłe okienko nad drzwiami do cerkwi otoczone jest wianuszkiem z butelkowych denek, nad którymi umieszczono zabraną z nieczynnej szkoły dekorację z drewnianymi tulipanami. Na dachu oraz przed wejściem wmontowano elementy kombajnu, a kolorowe trybiki imitujące kwiaty sterczą pod cerkiewną kopułą.

We wnętrzu, gęstym od dekoracji i niepodobnym do żadnej innej cerkwi, ramki niektórych ikon wykonane są z błyszczących płyt CD, ściany wyłożono gipsowymi listwami dekoracyjnymi, które Batyckiemu udało się zdobyć za bezcen, jak zresztą niemal wszystkie elementy pomysłowego wystroju. Najwięcej uwagi przyciągają jednak wizerunki czterech ewangelistów w każdym z kątów prezbiterium – przez artystę z Oleksandrii, Oleksandra Ochapkina, namalowani zostali w strojach stylizowanych na tradycyjne ukraińskie.

ZAPACH STEPU | Najcenniejsze stare ikony ewakuowano do Truskawca. Marina, córka Batyckich, która na szkle malowała kilka cerkiewnych dekoracji, wyjechała pod Warszawę. Wyjechali Sokołowscy, wyjechali Burchoweccy, Batyccy nigdzie na razie się nie ruszają.

Część budynków kołchozu spokojnie niszczeje po kilkukrotnym ostrzale, a spod Kamianki została ewakuowana do dnieprowskiego muzeum etnograficznego połowiecka baba – kamienna figura, jakich wiele postawiło w stepie ponad tysiąc lat temu koczownicze plemię. Figura, otoczona flagami Ukrainy i Polski oraz kłosami z kiścią kaliny, widniała w logo festiwalu „Polska jesień w Dobropolskim kraju”.

I tylko ten step pachnie jak oszalały, a w nocy rozbrzmiewa piskiem świerszczy.

© ANTONINA PALARCZYK

Współpraca: JONASZ CHLEBOWSKI

HISTORIA

Kobieta z plemienia Hakka paląca opium. Chiny, lata 70. XX w.

POKARM DIABŁA

Dwa wieki temu zachodni kupcy wpędzili cesarskie Chiny w opiumowy nałóg. Wśród tych, którzy pierwsi podjęli walkę z handlem tym narkotykiem, byli zachodni chrześcijańscy misjonarze i misjonarki.

ALEKSANDER R. MICHALAK

Dziś, gdy Amerykanie oskarżają Chińczyków o umyślne zalewanie ich fentanylem – narkotykiem, którego komponenty produkowane są w Chinach, a który jest przemycany do USA głównie przez meksykańskie gangi – można odnieść wrażenie, iż historia zatoczyła koło. Oraz że Zachód i Chiny zamieniły się rolami – patrząc w perspektywie historycznej na czasy, gdy wielka część opium była dostarczana do Chin przez kupców z krajów Zachodu.

„SPOKÓJ MATEK" | Obskurne palarnie opium, pełne ludzi pogrążonych w pozornym błogostanie, były niegdyś elementem krajobrazu miast nie tylko Azji Wschodniej, ale też XIX-wiecznej Europy i Ameryki. Właśnie za sprawą wszechobecnych palarni, pisarze i dziennikarze przedstawiali londyński East End jako „Orient w miniaturze".

Wiedza o szkodliwości tego narkotyku była mniejsza niż dziś. To sprawiało, że opium stosowano na Zachodzie także jako składnik laudanum, popularnego leku. Jednak opium nie leczyło, a jedynie uśmierzało ból, prowadząc do uzależnienia. Tymczasem dodawano je nawet do popularnych wiktoriańskich syropów dla dzieci, określanych nazwami, które dziś brzmią jak czarny humor: „Spokój Matek" czy „Godfrey's Cordial" (Napój Godfreya).

Uzależnienie od opium nie było więc czymś specyficznym dla Chin – jednak właśnie tam zebrało najbardziej koszmarne żniwo. Jego ofiary można liczyć zapewne w milionach.

„YANG YAO" | Wprawdzie opium zostało zakazane przez cesarza Chin jeszcze w początkach XVIII w., ale wcale nie zniknęło z chińskiego rynku. Skąd się więc tam brało?

Jakkolwiek istniała pewna produkcja narkotyku w kraju, to całkiem zasadnie opium łączono z dostawami z zewnątrz. Stąd też określano go mianem „*yang yao*" (zagraniczny lek). W XIX stuleciu większość trafiającego do Chin opium pochodziła bowiem z zagranicy – dostarczana przez Holendrów, Amerykanów, a w największej mierze przez Brytyjczyków.

Brytyjscy kupcy nie chcieli tracić swojego srebra. Nie chcieli go wydawać, by nabywać na terenie Chin herbatę i jedwab, pożądane w olbrzymich ilościach na Wyspach i w ogóle na Zachodzie. A że nie mieli towarów, których pożądaliby Chińczycy, znaleźli środek, który niwelował ich straty w bilansie handlowym: opium.

Narkotyk ten uprawiano zwłaszcza w indyjskiej Malwie i Bengalu (opium stanowiło znaczącą część dochodu brytyjskich Indii), po czym brytyjskie statki transportowały je do Chin. Aż do dwóch wojen opiumowych – jak nazwano konflikt między Wielką Brytanią a Chinami z lat 1839-42 i potem 1856-60 – proceder ten był nielegalny.

Sporadyczne egzekucje chińskich współpracowników handlarzy (w tym skorumpowanych urzędników), a czasem też „zagranicznych opiumowych diabłów" (jak nazywano ich w Chinach) nie były w stanie temu zaradzić.

WOJNY O OPIUM | Jak doszło do tego konfliktu? W latach 30. XIX w. cesarz, zaniepokojony szerzącym się uzależnieniem wśród poddanych, postanowił całkowicie wyeliminować handel. Mianował antyopiumowego komisarza w Kantonie: został nim mandaryn Lin Zexu.

Ten wzorowy i ascetyczny urzędnik zabrał się do pracy z gorliwością Eliota Nessa, pogromcy mafii w Chicago: niszczono palarnie i zapasy opium, nałogowców chłostano, przemytników karano. Lin wysłał list do królowej Wiktorii z apelem do jej przyzwoitości, który jednak nie został jej przekazany.

Gdy Lin Zexu nakazał zatopić przejęte 3 mln funtów brytyjskiego opium, handlarze zażądali odszkodowania, a Brytania interweniowała w obronie ich towaru. To doprowadziło do pierwszej wojny opiumowej – toczonej przez największe ówczesne światowe mocarstwo w obronie prawa brytyjskich kupców do sprzedaży narkotyku w Chinach.

THE PRINT COLLECTOR / BE&W

Portret mężczyzny z fajką opium, z książki pt. „Rund um die Erde", napisanej i zilustrowanej przez C.W. Allersa.

W londyńskim parlamencie mówiono, że dodatkową korzyścią wygranej wojny może być ewangelizacja Chin. Irlandczyk John Sydney Taylor komentował to tak: „Zapalono pochodnie nie na ołtarzu Chrystusa, ale na ołtarzu Mamony (...). Chińczycy mieli poznawać chrześcijaństwo w świetle eksplodujących pocisków i przy blasku płonących miast".

Przewaga była po stronie Brytanii. Chiny przegrały, uświadamiając sobie boleśnie swą słabość, po czym narzucono im pierwszy z upokarzających Traktatów Nierównoprawnych. Handel opium mógł odtąd kwitnąć – już legalnie.

CICHY ZABÓJCA | Jeden z badaczy napisał, że w Chinach opium było zarówno luksusem i afrodyzjakiem, jak też źródłem utrzymania i „środkiem przeciwbólowym". Jego palenie polegało na wdychaniu i wydychaniu – zwano to „połykaniem chmury i wydmuchiwaniem mgły".

W bardziej wyrafinowanej formie paleniu towarzyszyło słuchanie poezji i stosunki seksualne z kurtyzanami. Chiński uczestnik opisywał to tak: „Codziennie (Yulin) malowała się i żądała jednego liang srebra, gdy widziała klienta. Prowadziła go do wewnętrznego pokoju, gdzie były już ustawione lampa i tace. Brała hunańską, pstrokatą bambusową fajkę i kładła się z mężczyzną, którego nigdy wcześniej nie widziała, dzieliła się z nim poduszką po drugiej stronie lampy. Nabierała pastę i zapalała lampę. Żyła z tego biznesu".

Dla wielu Chinek opium było sposobem na przetrwanie. Używały go, by zarobić na życie, na utrzymanie rodziny. Było to błędne koło: kobiety sprzedawały usługi związane z opium, by utrzymać uzależnionych ojców i mężów.

W końcowym stadium dynastii Qing, na przełomie XIX i XX w., sprzedaż dziewcząt była już praktyką powszechną. Europejscy misjonarze notowali, że biedne rodziny sprzedają nawet 7-letnie córki na prostytutki, by zdobyć środki na opium. Z opium korzystali też najbiedniejsi, najniżej opłacani robotnicy-kulisi: w pracy zachodzili na godzinę do palarni, by na chwilę pozornie się wzmocnić.

Ujmując to najprościej: opium stało się zabójcą społeczeństwa Chin.

JAK W KOSTNICY | Amerykański kupiec Osmond Tiffany tak opisywał palarnię: „Zeszliśmy między nich; oto jeden właśnie zaczynał rozpustę, z twarzą zaczerwienioną od podniecenia, błyskającymi oczami, rozpuszczonym językiem i wypowiadając szybkie zdania pełne brawury i obsceniczności. Byli też inni, bezsilni, rozciągnięci jak martwi (...). W słabym świetle, które rzucało mdły blask na postacie tych nieszczęśników, wyglądali tak okropnie jak zmarli z kostnicy".

Tiffany spróbował opisać też odczucia uzależnionych: „Unosi się nad ziemią, jakby na skrzydłach. Opuściłby swoje skromne stanowisko, swoją uczciwą pracę, swój wygodny dom; byłby wielki. Z łatwością biegnie ścieżkami wyróżnienia; dystansuje rywali; bogactwo i władza czekają na niego, potężni biorą go pod rękę. Jego strój jest wspaniały, jego jedzenie kosztowne, jego dom jest pałacem, a on rozkoszuje się przyjemnościami, o których czytał i uważał dotąd za fikcję. (...) Nie jest już biednym, pokornym i pogardzanym, ale półbogiem".

Potem jednak „wszystko znika z jego pola widzenia, a szara, zimna rzeczywistość świtu przebija się przez jego rozgrzany mózg i wie, że wszystko było niczym. (...) Nie potrafi skierować myśli ku swemu powołaniu, nie nadaje się do wysiłku, jego dni mijają w lenistwie i gorzkim żalu".

Fizjologicznie opium osłabiało funkcje organizmu – upośledzało układ nerwowy i powodowało niezdolność organizmu do wchłaniania pokarmu.

↦

BLICKWINKEL / ALAMY / BE&W

PUMP PARK VINTAGE PHOTOGRAPHY / ALAMY / BE&W

Mężczyźni palący opium. Chiny, ok. 1880 r.

GŁOSY SPRZECIWU | Imperium Brytyjskie, główny dostawca narkotyku, było krajem, gdzie światopogląd religijny odgrywał (powinien odgrywać) istotną rolę. Wielu urzędników kolonialnych było ludźmi głęboko religijnymi, a około połowy XIX w. trzy czwarte absolwentów Cambridge i Oxfordu wyświęcano na duchownych – co nie było bez wpływu na dyskurs publiczny.

Spośród tych absolwentów rekrutowali się misjonarze, którzy mieli nieść Ewangelię do Chin. I to właśnie ze środowisk chrześcijańskich, m.in. kwakrów i członków innych niekonformistycznych Kościołów, wyszedł najsilniejszy sprzeciw wobec dostarczania Chinom opium.

Pierwsze głosy sprzeciwu w opinii brytyjskiej pojawiały się już wcześniej – i właśnie w związku z religią. Gorliwy protestant Anthony Ashley-Cooper w 1843 r. złożył w Izbie Gmin wniosek o zakaz handlu opium. Ashley przedstawił go, gdyż otrzymał trzy petycje w tej sprawie od towarzystw chrześcijańskich: Komitetu Wesleyańskiego Towarzystwa Misyjnego, Baptystycznego Towarzystwa Misyjnego i Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego.

W 1865 r. powołano Misję Wewnętrzną Chin (*China Inland Mission*). Jej założyciel, pastor James Hudson Taylor, twierdził, że „opium jest w stanie w ciągu tygodnia zrobić więcej zła w Chinach, niż misje są w stanie dokonać dobra w ciągu roku". Sekretarz misji, pastor Benjamin Broomhall pisał książki, w których obnażał zło, jakie niesie opium. Chińska misja przyciągała młodych wolontariuszy, w tym wiele kobiet.

OPIUM JEZUSA | O ile politycy mogli teoretyzować o bilansie handlowym brytyjskich Indii, to misjonarze na własne oczy widzieli spustoszenia, jakie czyniło opium. Niektórzy z nich z przerażeniem odkrywali, że jest ono w Chinach tak mocno kojarzone z chrześcijaństwem, iż w niektórych regionach określa się je jako „Opium Jezusa". Stąd czasem woleli ukrywać, iż pochodzą z krajów, które zajmują się handlem.

Misjonarze uważali handel opium za haniebny – widzieli w nim „pokarm diabła". Nałogowcy byli dla nich straceni jako konwertyci, będąc pogardzanymi przez chińskich współobywateli. Zarazem ich los budził współczucie, stąd ponawiali apele o zakaz handlu.

Ponieważ w ruchu antyopiumowym dominowali duchowni, zwolennicy handlu wykpiwali ich działania jako histeryczne rozprawki „o ogniu piekielnym i siarce". Z kolei sami misjonarze czynili pożyteczną pracę uświadamiającą, lecz ich poglądy były osadzone w epoce: krytykowali europejski handel opium, ale z drugiej strony uważali, że podatność Chińczyków na nałóg wynika stąd, iż są Azjatami i poganami.

W 1874 r. powstało Towarzystwo Zwalczania Handlu Opium, w którego skład wchodzili głównie kwakrzy i członkowie innych Kościołów niekonformistycznych; przewodniczącym został wspomniany lord Ashley-Cooper.

PRZEŁOM | Praca przeciwników opium nie przyniosła natychmiastowych efektów. Ich rola początkowo polegała na uświadamianiu opinii publicznej, na uwrażliwianiu na problem – pełnili funkcję brytyjskiego i amerykańskiego sumienia. Z czasem jednak ich opinie zaczęły wywierać wpływ na zachodnie postrzeganie spraw chińskich. W dużej mierze dzięki misjonarzom-lekarzom zgromadzono też dowody naukowe szkodliwości opium.

Do sukcesów Towarzystwa Zwalczania Handlu Opium można zaliczyć to, że w 1891 r. jego prezes, kwakier Joseph Pease, w Izbie Gmin poprosił, by rząd „nie kontynuował promowania królestwa diabła" przez sprzedaż narkotyku. Wniosek, który uznał handel opium za „moralnie nie do obrony", poparła większość parlamentu. Nie stał się on prawem, ale doprowadził do zwiększenia zaangażowania duchownych w walkę z opium.

Towarzystwo doprowadziło też do powołania w 1893 r. Królewskiej Komisji ds. Opium. Zawiodła ona jednak pokładane w niej nadzieje: zajęła się Indiami, a nie Chinami oraz przedstawiła raport, który nie postulował delegalizacji produkcji i handlu, a nawet uznawał używanie opium w umiarkowanych ilościach za nieszkodliwe.

FINAŁ | Działaczom antyopiumowym zajęło jeszcze kilkanaście lat, nim udało im się osiągnąć cel. Stało się to w 1906 r. – w chwili, gdy także Chiny przyjęły już zdecydowaną politykę antyopiumową. W tym czasie w Wielkiej Brytanii wybrano nowy parlament, który składał się z wielu członków Kościołów zaangażowanych w walkę z opium. W tym nowym parlamencie złożono wniosek, „aby Izba ta ponownie potwierdziła swoje przekonanie, że indyjsko-chiński handel opium jest moralnie nie do obrony".

Tym razem wniosek przyjęto jako uchwałę, prawnie wiążącą. Po głosowaniu przeciwnicy handlu opium, szczęśliwi z osiągnięcia celu, o który tak długo walczyli, objęli się i wyszli z holu na ulicę, śpiewając „*Gloria in Excelsis*".

Jednemu z największych wojowników krucjaty antyopiumowej z Chińskiej Misji Wewnętrznej, Benjaminowi Broomhallowi, gdy umierał w 1911 r., syn zdążył odczytać informację „Timesa", że za dwa lata handel opium zostanie zniesiony. W istocie, w 1913 r. Wielka Brytania ostatecznie zakończyła ten proceder.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

REKLAMA

10 % rabatu z kodem TYGODNIK

ŚWIERSZCZYK

dobre strony dzieciństwa

od 80 lat

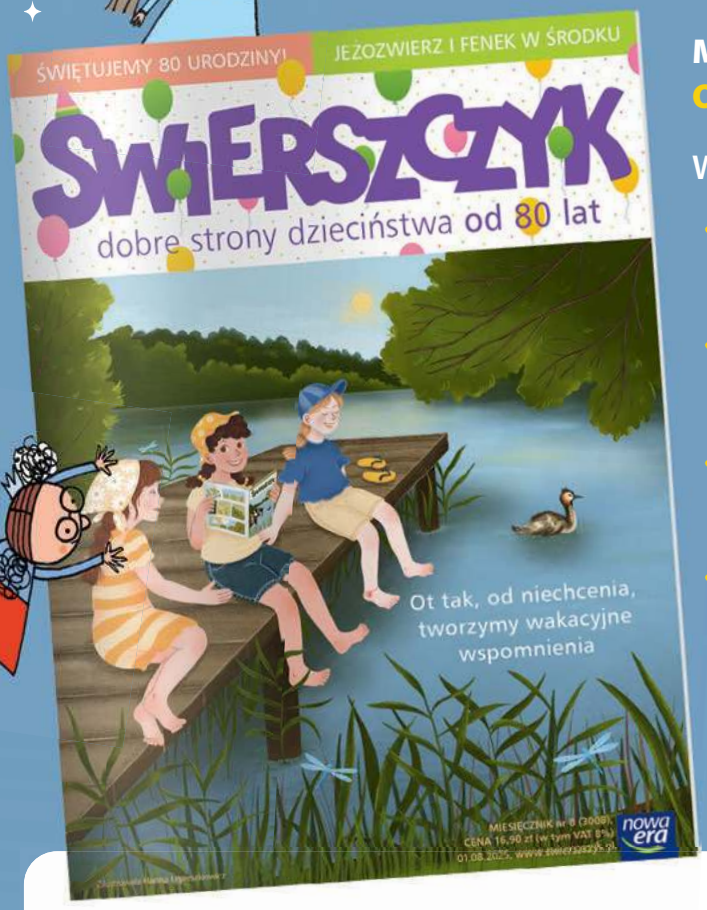

Miesięcznik literacki z aktywnościami.
Od 80 lat towarzyszy polskim dzieciom!

W każdym numerze:

- **wiersze i opowiadania** najlepszych polskich autorów
- **piękne ilustracje** wykonane w różnorodnych technikach plastycznych
- **wciągające aktywności** ćwiczące umiejętności potrzebne w szkole
- **łagodne i bezpieczne dla dzieci treści,** wolne od przemocy

Prenumerata Świerszczyka

Prenumeraty – roczną i półroczną – zamówisz w sklepie online.
Użyj kodu rabatowego **TYGODNIK** i ciesz się **10% zniżki**!

sklep.swierszczyk.pl

WIARA

ŚWIĘTA Z GORSZEGO CHÓRU

Zwykła dziewczyna, everywoman międzywojnia. O biografii niemal żywcem wyjętej z popularnych dziś książek o chłopkach i służących. Czy siostra Faustyna może być wzorem dla współczesnych kobiet?

ZUZANNA RADZIK

Autorka najczęściej tłumaczonej polskiej książki wcale nie chciała jej napisać. „Dzienniczek" powstał z polecenia spowiednika, pisząca go skończyła tylko trzy klasy szkoły powszechnej. Pisała niepewnie, niewprawnie, do takiej pracy nienawykła. O relacjach w domach zakonnych, w których żyła i które odwiedzała, o braku zrozumienia i złośliwości sióstr. Notowała rady spowiedników i postanowienia z rekolekcji.

Wszystko to przeplecione zostało rozmowami z duszami czyścowymi, dialogami z Jezusem, czasem z Matką Bożą oraz własnymi religijnymi przemyśleniami. Całe wyrażenia kalkowała z pobożnych książek, modlitw i pieśni. Zmuszona do pisania, trochę naśladuje tradycję, a trochę odkrywa siebie.

Śmieszka

Zwykła dziewczyna, everywoman międzywojnia. Jej życie to biografia chłopki i służącej, niemal żywcem wyjęta z książek Joanny Kuciel-Frydryszak.

Helena Kowalska, znana bardziej pod zakonnym imieniem Maria Faustyna, rodzi się w 1905 r. w Głogowcu (woj. wielkopolskie), jako trzecie z dziesięciorga dzieci w chłopskiej rodzinie. Po niecałych trzech latach szkoły, w wieku szesnastu lat, zostaje wysłana na służbę, jak wiele jej rówieśniczek. O zakonie nie ma mowy – jako najstarsza córka ma pomóc w utrzymaniu wielodzietnej rodziny. Trafia do Aleksandrowa Łódzkiego, a potem do Łodzi.

To z Łodzi pochodzi jedyne znane jej zdjęcie sprzed wstąpienia do zakonu. Uśmiechnięta Hela, w kraciastym żakiecie, z wysoko upiętymi włosami. Miała wtedy gruby warkocz w kolorze blond, wpadającym w rudy, mieszkała u Marcjanny Sadowskiej jako pomoc domowa. Pracodawczyni wspominała, że gdy zobaczyła pierwszy raz tę dobrze ubraną dziewczynę, nie wierzyła, że sprawdzi się w pracach domowych. Podobno w umowie Kowalska zastrzegła sobie możliwość codziennej mszy oraz odwiedzania chorych i konających. Pościła w środy, piątki i soboty, a w Wielkim Poście codziennie. Była grzeczna, zapobiegliwa i... wesoła. Dzieci Sadowskiej uwielbiały ją, jako śmieszkę.

Jako s. Faustyna zapisze w „Dzienniczku", że w tamtym czasie „oddała się próżności życia" i rozrywkom, by zagłuszyć udrękę, jaką było niezrealizowane powołanie zakonne. Podczas potańcówki w łódzkim parku Wenecja (Faustyna nazywa ją balem) ma wizję umęczonego Chrystusa, który mówi: „Dokąd cię cierpiał będę i dokąd mnie zwodzić będziesz?". Jezus nakazał jej jechać natychmiast do Warszawy i wstąpić do klasztoru.

Notatnik

Brnę przez „Dzienniczek" z pewnym trudem, ale też łagodnym zrozumieniem. Trochę tak, jakbym komuś dziś zaglądała w zeszyt lub notatnik w telefonie, gdzie zapisuje plany ćwiczeń, medytacje, wnioski z życiowych zdarzeń i noworoczne postanowienia. Dla osoby postronnej to mnóstwo banałów, dla autora – ważna mapa własnego rozwoju. Tu jest podobnie. Czasem mam wrażenie, że wcale nie powinnam tego czytać. Że to, owszem, ważne zadanie, zlecone przez spowiednika prostej dziewczynie o głębokiej duchowości, ale że nie dla nas był pisany. Tylko dla niej samej.

Jej widzenia i rozmowy z Jezusem z początku były podawane w wątpliwość przez siostry, spowiedników i przełożone. Przez nią samą zresztą też. To notatnik kobiety szlifującej pokorę, posłuszeństwo i umartwienia, ale też dojrzewającej na jego kartach i nabierającej pewności siebie. Z której zaraz się wycofuje.

I tak, ukrywając się przed siostrami i pokonując trudności z pisaniem, coraz bardziej schorowana zakonnica zapisze w sześciu zeszytach tyle, że „Dzienniczek" w druku będzie miał sześćset stron. Niezły urobek jak na tak niewprawną pisarkę.

Notatki robiła w ostatnich czterech latach życia (1934-1938). Ale zaczyna je od wspomnień – retrospekcje i bieżące opisy mieszają się znużonemu czytelnikowi. Takie duchowo-biograficzne pisanie nie było niczym nowym – z polecenia spowiedników pisało wiele zakonnic i mistyczek. Dziennik pozwalał im zobaczyć i rozważyć własne życie, co samo w sobie jest emancypujące. Czy dla Faustyny pisanie też jest takim doświadczeniem rozwoju, w którym patrzy z perspektywy na

ADAM JÁN FIGEL / ADOBE STOCK

Figura św. Marii Faustyny Kowalskiej w Sanktuarium Matki Bożej Tylickiej.

swoje życie, nadaje mu spójność i sens? Czy ten proces notowania był jej wzmocnieniem?

Ucieczka

Brzmi to jak ucieczka przed wolą rodziców, gubienie śladu w dużym, stołecznym mieście. Wprawdzie jest już pełnoletnia i informuje siostrę o swych zamiarach, ale oczekiwania pomocy finansowej ze strony rodziny z pewnością jeszcze nie ustały.

W lipcu 1924 r. rusza do Warszawy, nikogo tam nie znając i nie czekając na niczyją zgodę. W „Dzienniczku" wspomina, jak szukała noclegu u dobrych ludzi oraz zakonu, który ją przyjmie. Chętnych nie było. W końcu do drzwi pukała biedna dziewczyna znikąd. Ostatecznie trafia do sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przy ul. Żytniej 3/9, zwanych magdalenkami, bo zajmowały się pomocą prostytutkom i dziewczynkom zagrożonym takim losem z powodu biedy.

Przyjmująca ją s. Małgorzata Gimbutt zanotowała, że dziewczyna jest wątła, bez wyrazu, niepozorna, w „wieku nieco spóźnionym", z zawodu kucharka, służąca, bez posagu. Przełożona zgadza się przyjąć Helenę za rok, gdy zarobi choćby na skromną wyprawkę. Przygotuje ją sobie, zajmując się piątką dzieci w Klembowie pod Warszawą.

Najpierw jest euforia. Potem, już w nowicjacie, zaczynają się duchowe cierpienia i doświadczenie milczenia Boga. Często zmienia domy zakonne. Będzie mieszkać w Warszawie, Płocku, Krakowie i Wilnie. Wykonuje prace służebne: sprzedaje chleb w piekarni, pracuje w kuchni i zakonnej garderobie, uprawia ogród w wileńskim klasztorze, siedzi na furcie.

Nie jest jej łatwo. Uważna lektura jej notatek mogłaby zastąpić współczesne książki demaskujące życie zakonne, pełne upokorzeń i przemocy psychicznej. Jest zresztą zakonnicą gorszej kategorii – kobiety biedne z urodzenia zaliczano w tamtym czasie do tzw. drugiego chóru. W drugim zeszycie „Dzienniczka" zapisuje plan założenia nowego zgromadzenia (z woli Jezusa, oczywiście), radykalnie ubogiego, klauzurowego, w którym każda siostra ma własną celę (niczym własny pokój Virginii Woolf). Sama żyła ↦

↦ w wieloosobowych salach, gdzie musiała ukrywać przed siostrami swe modlitwy i pisanie.

W projektowanym zgromadzeniu ma panować radykalna równość. „Pomiędzy sobą nie będą się dzielić na żadne chóry ani żadne matki i mateczki, ani na wielebne ani na przewielebne" – notuje.

Opętana

Duchowe doświadczenia stają się dla niej źródłem cierpień. Jedna z przełożonych mówi jej, że „niepodobna, aby Bóg tak obcował ze stworzeniem. Ja się o siostrę boję, czy to nie jest jakieś złudzenie". Innym razem jedna ze starszych matek mówi: „Niech siostra sobie wybije z głowy, żeby Pan Jezus miał z siostrą tak poufale przestawać, z taką nędzną, z taką niedoskonałą. Pan Jezus tylko ze świętymi duszami obcuje, zapamiętaj to sobie" („Dzienniczek", 133).

W końcu przestaje się zwierzać przełożonym, uznając, że „niewiasta nie jest powołana do rozróżniania takich tajemnic". Pisze: „Naraziłam się na wiele cierpień niepotrzebnych. Przez dłuższy czas byłam uważana jakoby opętana przez złego ducha i patrzono na mnie z politowaniem, a przełożona poczyniła pewne ostrożności co do mnie".

Stroni od sytuacji, w których mogą się przydarzyć widzenia, stara się być rozproszona, nie zwraca uwagi na natchnienia, ale te są poza jej kontrolą. Podsumowuje swoje uniki: „Mowa Boża wymowna jest i nic jej zagłuszyć nie może". Gdzie indziej tłumaczy: „Zaczęłam unikać łask tych Bożych, ale cóż, przecież to nie było w mej mocy. Nagle ogarniało mnie tak wielkie skupienie, że brew woli pogrążam się w Bogu i Pan utrzymywał mnie przy sobie" („Dzienniczek", 123). By nabrać pewności, modli się o stałego spowiednika, który wesprze ją w zrozumieniu tego, czego doświadcza. Dopiero ks. Sopoćko jako powiernik i spowiednik da jej jakiś rodzaj wytchnienia.

Mistyczka

Czym jest to, co przeżywa? Chorobą psychiczną, jak sugerują niektórzy, diagnozując na podstawie notatek chorobę afektywną dwubiegunową? Czy może rozmową z własnym *alter ego*, jak sugerował kiedyś na tych łamach Artur Sporniak? A może są to faktycznie rozmowy z Bogiem, jak widziała rzecz biografka Faustyny, Ewa Czaczkowska? Nie umiem rozstrzygnąć. Nie mam zdania. A czy muszę je mieć? To objawienia prywatne. Kościół je bada, ale nie zobowiązuje do wiary w nie. Przyglądam się zatem z boku.

Z prostej chłopskiej córki, służącej, kucharki i niani, a potem pracującej fizycznie zakonnicy gorszego chóru, wyłania nam się jedna **z najbardziej wpływowych katoliczek XX wieku.**

Jej relacja z Jezusem jest osobista i intymna. Bardziej nawet niż ubrane w erotyczny język oblubieńcze relacje innych mistyczek. Jezus zapewnia ją, niczym zakochany, o jej wyjątkowym miejscu i znaczeniu, o tym, że gdyby tylko chciała, mógłby dla niej stworzyć światy inne niż ten, w którym żyje.

Może dlatego siadam do pisania o niej niechętnie. Jej religijność, najpopularniejszy towar eksportowy polskiego katolicyzmu, pełna jest cierpiących dusz czyśćcowych, zakonnej pokory i posłuszeństwa. Dla mnie to religijność odległa i niepokojąca.

Tak, czytałam ze ściśniętym gardłem dwie dekady temu tekst umierającego Józefa Tischnera, który podkreślał niezwykłość Koronki do Miłosierdzia Bożego, w której Faustyna zaprasza nas do wewnątrz życia Trójcy: „Są w tej modlitwie sformułowania wstrząsające. Modlący się mówi do Boga-Ojca: »Dla Jego bolesnej męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego«. Co to znaczy? Znaczy to, że człowiek wkracza w wewnętrzne życie Trójcy Świętej, by podsunąć przed oczy Boga widok ukrzyżowanego Syna. Mówi: »dla Jego bolesnej męki, miej miłosierdzie...«. Dlaczego nad nami? Dlatego, bo cierpiał za nas. Popatrz, Boże, na nas poprzez Niego".

Ale moja religijność wyrastała już na innym gruncie. Nie umiem drżeć przed gniewnym Ojcem, którego trzeba upraszać o litość poprzez Syna lub jego Matkę. Ale rozumiem też, że ostatecznie nie kto inny, ale ta prosta zakonnica przebiła się w Kościele z tematem Bożego Miłosierdzia. Patrzę też na nią w kontekście dwudziestolecia – rozpaczy nad kondycją ludzkości po pierwszej wielkiej wojnie, opisaną w literaturze i sztuce, którą ona odzwierciedla, powtarzając słowa o nędzy ludzkości. Umieszczam ją w mizerii przeludnienia i nędzy polskiej wsi oraz światowego kryzysu. I tuż przed kolejną wielką wojną, która, gdy Faustyna umiera, już puka do drzwi Europy.

Cudowny obraz

Kłopoty Faustyny zaczynają się na dobre 22 lutego 1931 r., gdy słyszy polecenie namalowania obrazu. To przełom, bo zostaje zobowiązana do działania. Z „sekretarki miłosierdzia", jak nazywa ją Jezus w wizjach, staje się „apostołką miłosierdzia". Ma wyjść poza robienie notatek. Tak zresztą widziała to jej ówczesna przełożona. „Dopóki jej bogate przeżycia wewnętrzne i mistyczne zamykały się w obrębie murów zakonnych, były tajemnicą między Bogiem, jej duszą i przełożonymi, tak długo się cieszyłam, widząc w tych wszystkich łaskach wielki dar Boży dla Zgromadzenia. Inaczej jednak, gdy objawienia Siostry zaczęły dążyć do ujawniania się na zewnątrz. Bardzo się wtedy lękałam, żeby nie wprowadzić do życia Kościoła choćby najmniejszej nowostki, fałszywych nabożeństw itp., a jako główna przełożona czułam się tu za nasze Zgromadzenie odpowiedzialna" – zapisała matka Michaela Moraczewska, przyznając, że obawiała się wybujałej fantazji swej podopiecznej czy też jej histerii.

Dlatego tak wielkie obawy wzbudziła prośba Faustyny do matki generalnej o namalowanie obrazu. Moraczewska, wedle własnej relacji, odpowiedziała: „Dobrze, dam Siostrze farby i płótno, niech Siostra maluje". Faustyna „odeszła strapiona i – o ile wiem – zwracała się do paru sióstr z prośbą, czy nie mogłyby jej namalować obrazka Pana Jezusa. Robiła to dyskretnie, ale bez powodzenia, bo i te siostry nie umiały malować; widać jednak, jak była tą myślą przejęta".

Temat obrazu będzie jednak wracał, ku udręce Faustyny. „Wszystko było jeszcze do zniesienia – żali się na kartach „Dzienniczka". – Ale kiedy Pan zażądał, abym malowała ten obraz, już teraz naprawdę zaczynają mówić i patrzeć na mnie jak na jakąś histeryczkę i fantastyczkę, i już to jest trochę głośniejsze. (...) Jak to mnie męczyło, jeden Bóg tylko wie" („Dzienniczek", 125).

DOMENA PUBLICZNA

Św. Faustyna Kowalska (1905-1938), portret autorstwa Stanisława Sztama

Tischner o św. Faustynie i „Dzienniczku”

- **Siostra Faustyna stwarza wyzwania niełatwe. Zrozumieć Boga w Jego miłosierdziu. Zrozumieć człowieka jako istotę, której potrzebne jest miłosierdzie. Być miłosiernym dla siebie, dla bliźnich, a nawet dla Boga.**
- **To dobra okazja, by wrócić do „Dzienniczka” i odszukiwać tam bliskie nam treści. Zatrzymam się przy jednym cytacie, w którym opisuje ona jedno ze swoich „mistycznych omdleń”. W nas, dzieciach racjonalizmu, opisy takich przeżyć budzą „zawodowy sceptycyzm”. Ale właśnie dlatego warto się im bliżej przyjrzeć.**
- **„Po tych słowach zaślubiło się serce moje z Jego Sercem w sposób miłosny, i odczułam Jego najlżejsze drgnienia, a On moje. Ogień mojej miłości, stworzony, został złączony z żarem wiekuistej miłości Jego. Wszystkie łaski przewyższa swym ogromem ta jedna. Troistość Jego ogarnęła mnie całą i jestem zanurzona w Nim, mocuje się niejako moja maleńkość z tym Mocarzem nieśmiertelnym. Jestem zanurzona w niepojętej miłości i niepojętej męczarni z powodu Jego męki. Wszystko, co się dotyczy Jego Istoty, i mnie się udziela”**
(„Dzienniczek”, 1056).
- **Siostra Faustyna widzi w Chrystusie „Mocarza”, który odnalazł w niej „swą maleńkość”. Oto Ten, który „nie zagasi knota o nikłym płomyku”. Droga Mocarza do człowieka wiedzie poprzez jego „maleńkość”. Nie oznacza to jednak, że człowiek znika. Wręcz przeciwnie, albowiem: „Wszędzie, gdzie człowiek przez posłuszeństwo wychodzi z własnego »ja«, wyrzeka się swego, tam musi wejść Bóg. Gdy bowiem ktoś nie chce niczego dla siebie samego, Bóg musi dla niego pragnąć dokładnie tego, czego chce dla siebie”** (Mistrz Eckhart, „Pouczenia duchowe”, 1).
- **Wiara s. Faustyny jest wyzwaniem dla współczesnego człowieka. W jakim sensie? Dzisiejszy człowiek jest pochłonięty wolą mocy. Jego ideą życiową jest panowanie nad światem i innym człowiekiem. Z „Dzienniczka” płynie inne przesłanie. Bardziej niż czegokolwiek człowiek potrzebuje miłosierdzia. Moc, która nie służy miłosierdziu, prowadzi człowieka na bezdroża.**

Józef Tischner, „Maleńkość i jej mocarz,” „TP” nr 17/2000

Model

W końcu udaje się, dzięki wsparciu ks. Sopoćki, spowiednika Faustyny w Wilnie. Choć, czy faktycznie przedsięwzięcie jest udane? Sopoćko, jak sam przyznaje, kierował się „bardziej ciekawością, jaki to będzie obraz, niż wiarą w prawdziwość widzeń siostry”. A Moraczewska wspomina, że Sopoćko najpierw skonsultował się z lekarzem, prosząc, by zbadał „system nerwowy i stan psychiczny [Faustyny], a gdy wizyta lekarska wypadła dodatnio, porozumiewał się z przełożoną ówczesną domu – m. Ireną – co do wymalowania obrazu”.

Ks. Sopoćko był sąsiadem malarza, Eugeniusza Kazimierzowskiego, którego namówił do namalowania wizji Faustyny. Zakonnica mogła odwiedzać artystę dwa razy w tygodniu, Sopoćko pozował. Obraz został skończony w lipcu 1934 r. Faustyna pisze z płaczem, że Jezus nie jest tak piękny, jakim go widziała. „Nie w piękności farby ani pędzla jest wielkość tego obrazu, ale w łasce mojej” – pociesza ją Jezus.

Po Wielkanocy 1935 r. wizerunek zawisł w Ostrej Bramie, jednak – jak wspomina Ewa Czaczkowska – „po uroczystościach Sopoćko ukrył obraz w ciemnym korytarzu jednego z kościołów wieszając płótnem do ściany. Ponoć nie podobał się wiernym i za bardzo przypominał pozującego do niego ks. Sopoćkę. Tamta wersja jest do dziś w Wilnie, w kościele Ducha Świętego, natomiast ta najbardziej znana to wersja autorstwa Adolfa Hyły, który namalował ją w 1943 r. jako wotum za uratowanie z łapanki. Siostry jednak poprosiły Hyłę o poprawki, bo Jezus na obrazie miał zbyt semicką urodę i surowe spojrzenie”.

Wzór

Kult Miłosierdzia Bożego rozprzestrzeniał się w czasie II wojny światowej nie tylko w Polsce.

Przyczyniły się do tego także reprodukcje malowidła, rozpowszechniane przez Laboratorium Fotograficzne Nowickiego z Wilna. Zablokowany przez Watykan i kardynała Wyszyńskiego, który planował maryjne obchody Tysiąclecia Chrztu Polski i nie w smak mu była konkurencja innej popularnej duchowości, powrócił wraz z pontyfikatem Karola Wojtyły, który już wcześniej rozpoczął „proces informacyjny” – badanie świętości s. Faustyny, poprzedzające ewentualny proces beatyfikacyjny i kanonizacyjny.

A Faustyna? Umarła na gruźlicę, mając 33 lata, spędziwszy 13 lat w zakonie.

Jak wiele innych świętych, chciała od dziecka zostać świętą, zamartwiając się, czy kocha Boga wystarczająco. Jak większość świętych, ma być wzorem dla nas.

Dla współczesnych kobiet trudny z niej model. To kobiecość z innych czasów. Choć imponuje przekraczaniem samej siebie, swoich trzech klas wykształcenia, oraz mocną osobnością, która pozwoliła jej wytrwać w misji.

Jest w tym cichy upór (ale jednak upór) i pewność siebie. Jest też twórczy społecznie moment projektowania czegoś lepszego – nowego zgromadzenia (tego planu nie zrealizowała, zapewne w głównej mierze ze względu na problemy ze zdrowiem).

Na większą emancypację nie starczało energii i pomysłu. Ale z prostej chłopskiej córki, służącej, kucharki i niani, a potem pracującej fizycznie zakonnicy gorszego chóru, wyłania nam się jedna z najbardziej wpływowych katoliczek XX wieku.

©℗ ZUZANNA RADZIK

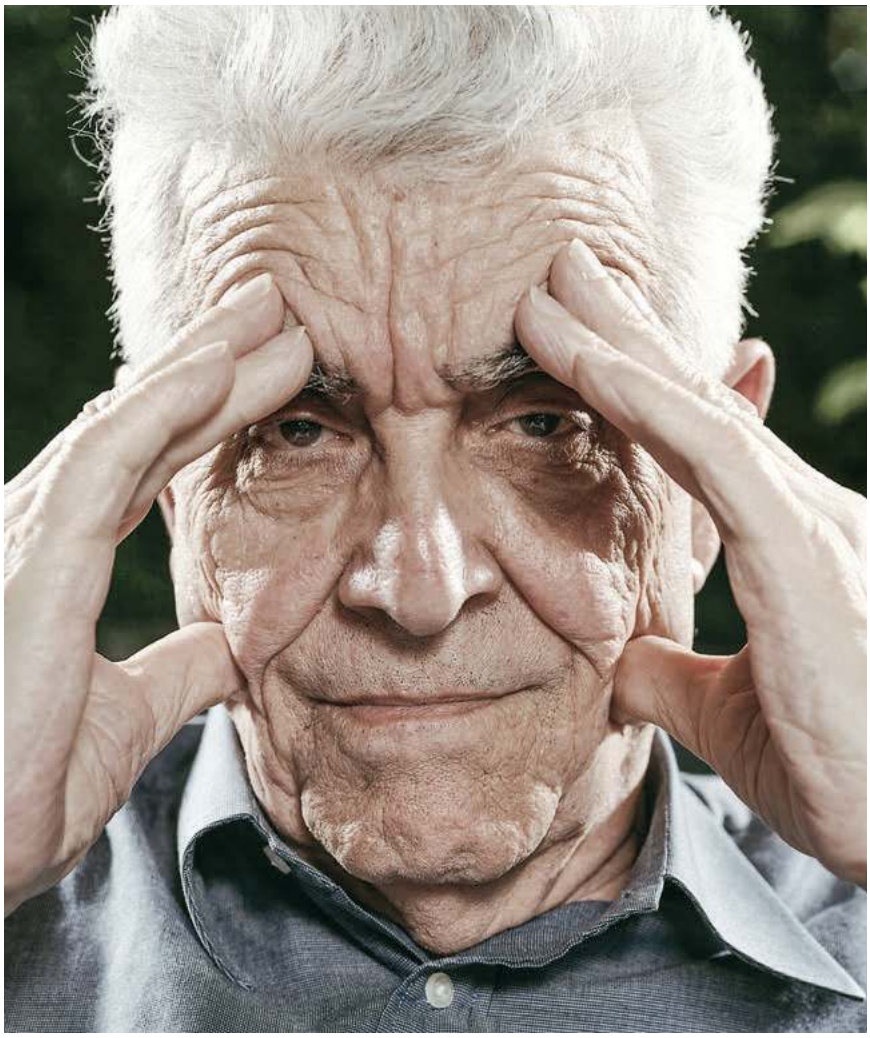

JEAN-MARC LUBRANO / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

René Girard, 2003 r.

Ewangelia według Girarda

TOMASZ STAWISZYŃSKI

FILOZOFIA | Sprawił, że wiceprezydent USA nawrócił się na katolicyzm, dotarł do źródeł religii i kultury, przewidział apokalipsę, która wydarza się teraz. Kim jest René Girard, francuski krytyk literacki, duchowy przewodnik amerykańskiej altprawicy, i dlaczego znów porządkuje nam świat?

Początek lat 2000. Nieodżałowanej pamięci prof. Krzysztof Okopień prowadzi w Instytucie Filozofii UW zajęcia z filozofii kultury. Jako jedyny omawia ze studentami poglądy francuskiego antropologa René Girarda. Z charakterystyczną, niepowtarzalną manierą powiada o nim: „ostatni, który jeszcze robi coś sensownego". Wtedy po raz pierwszy słyszę to nazwisko.

Czytane na zajęciach fragmenty „Kozła ofiarnego" momentalnie przyciągają moją uwagę. Bez trudu znajduję w antykwariacie egzemplarz, a w uniwersyteckiej księgarni Liber wydaną właśnie przez KR „Prawdę powieściową i kłamstwo romantyczne". Z nieco większym trudem docieram do „Dawnej drogi, którą kroczyli ludzie niegodziwi", dwutomowej edycji „Sacrum i przemoc" oraz nr. 12 (149)/1983 „Literatury na świecie" z obszernymi fragmentami „Rzeczy zakrytych od założenia świata".

Nic więcej wtedy po polsku nie ma. Tekstów o koncepcji Girarda brak, prawie nikt się nią u nas nie zajmuje. Mnie jednak wciąga tak bardzo, że postanawiam poświęcić jej pracę magisterską. Nie przypuszczam ani przez moment, że ćwierć wieku później przyjdzie mi pisać o tym autorze w zupełnie nowym kontekście.

Prorok altprawicy

W ogromnej paryskiej księgarni Gibert Joseph stoją specjalne stoły, na których wyłożone są książki Girarda. Obok pyszni się jego monumentalna biografia pióra wieloletniego znajomego i interlokutora Benoît Chantre'a. Paryskim stołom towarzyszą nagłówki w amerykańskich i europejskich mediach. „Financial Times": „Jak mało znany francuski krytyk literacki stał się przewodnikiem amerykańskiej prawicy". „Air Mail": „Wyrocznia Doliny Krzemowej". „Harper": „Wszechobecne i zbiorowe morderstwo. Wielkie, straszne teorie René Girarda". „Unherd": „Apokalipsa René Girarda wydarza się teraz". I tak dalej.

W autobiograficznym, programowym eseju „How I Joined the Resistance" („Jak przyłączyłem się do ruchu oporu") wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance oznajmia, że lektura Girarda – do której zachęcił go Peter Thiel, intelektualny i biznesowy guru amerykańskiej altprawicy – miała zasadniczy wpływ na jego obraz świata oraz nawrócenie na katolicyzm. A redakcja „Tygodnika Powszechnego" zwraca się do mnie z prośbą o tekst, w którym mam rzucić trochę światła na fenomen francuskiego filozofa i odpowiedzieć na pytanie, czy przywoływanie go w jednoznacznym, politycznym kontekście jest aby na pewno adekwatne.

No właśnie – czy jest?

Zakaźne podobieństwo

Osobliwie, we wspomnianym eseju J.D. Vance powołuje się niemal wyłącznie na mimetyzm – fundamentalny, acz niewyłączny wątek teorii Girarda. W swojej pierwszej książce pod efektownym tytułem „Prawda powieściowa i kłamstwo romantyczne" (1966), opu-

blikowanej niedługo po 43. urodzinach i niespełna 20 lat po wyprowadzce do USA, Girard postawił prostą, ale brzemienną w skutki tezę.

Wywiódł ją, co istotne, nie ze statystyk czy badań empirycznych, lecz wyłącznie z lektury wielkich dzieł zachodniej literatury, m.in. Dostojewskiego, Prousta, Cervantesa, Stendhala czy Flauberta. Teza ta brzmi: ludzkie pragnienia nie rodzą się samoistnie, lecz zawsze za pośrednictwem innego. Pragniemy wyłącznie tego, czego najpierw pragną bliźni. Od nich uczymy się naszych pragnień, za nimi w pragnieniach podążamy.

Prowadzi to, siłą rzeczy, do konfliktów i przemocy, które Girard postrzega jako zasadnicze siły sprawcze ludzkiego świata. Tam, gdzie wytwarza się struktura trójkątna – ja, obiekt mojego pragnienia oraz inny podmiot, od którego uczę się tego przedmiotu pragnąć – natychmiast rodzi się rywalizacja. Kiedy zaś rywalizacja rozprzestrzenia się na całą społeczność, sytuacja robi się nad wyraz niebezpieczna.

W procesie wzajemnego naśladownictwa różnice pomiędzy zwaśnionymi jednostkami i stronami stopniowo się zacierają, aż do całkowitego zaniku. Prędzej czy później taka społeczność staje na skraju zagłady. Wojna wszystkich ze wszystkimi, nie wiadomo o co, nie wiadomo dlaczego, prowadzi nieuchronnie do kompletnej destrukcji i samozniszczenia.

Kozioł ofiarny

Jedynym wyjściem z tej matni – postuluje Girard w późniejszej pracy pod tytułem „Sacrum i przemoc" (pierwsze wydanie 1972 r.) – okazuje się wytypowanie i zabicie kozła ofiarnego. Czyli kogoś – bo zawsze chodzi o jakiegoś człowieka lub ludzi – kogo obarcza się winą za sprowadzenie na społeczność śmiertelnego zagrożenia.

Morderstwo dokonane na niewinnej ofierze kieruje agresję poza wspólnotę i przynosi natychmiastowy skutek: zjednoczenie w akcie zbiorowego mordu. W efekcie konflikt wygasa, powraca pokój. Żeby jednak mógł on faktycznie i trwale powrócić, wszyscy muszą być absolutnie przekonani, że niewinna ofiara była winna. Skoro zaś była winna, skoro potrafiła wywołać tak gigantyczny kryzys, znaczyć to musi niechybnie, że dysponuje jakimiś nadnaturalnymi mocami. Dodatkowo jej śmierć w magiczny sposób przywraca pokój i dobrobyt.

Tak właśnie – mówi Girard – powstaje archaiczna religia, z jej ambiwalentnym, zarazem przerażającym i fascynującym, niszczącym i karmiącym wyobrażeniem bóstwa. I tak właśnie powstaje kultura jako system mitów i rytuałów – także zastępczych, w których zamiast ludzi zabija się zwierzęta lub dokonuje zabójstw symbolicznych – podtrzymujących wizerunek ofiary jako winnej (żeby scedować ze wspólnoty odpowiedzialność za morderstwo), a zarazem nadnaturalnie potężnej (żeby utrzymać skuteczność pierwotnego mechanizmu ofiarniczego).

Jest to – Girard podkreśla z całą mocą – *a priori* każdej kultury. Na każdej szerokości i długości geograficznej, w każdej zbiorowości, plemieniu, cywilizacji, u źródeł są ofiary zbiorowego morderstwa. Ukryte pod mniej lub bardziej grubymi warstwami mitów. Te ostatnie, zdaniem Girarda, niczego bowiem nie ujawniają, niczego nie odsłaniają. Nie kodują symbolicznie – to autora „Kozła ofiarnego" odróżnia np. od Mircei Eliadego czy Josepha Campbella – żadnej innej prawdy o człowieku, jak tylko prawdę o jego zbrodniczej naturze. Kamuflują ludzką skłonność do przemocy oraz ofiary zabite na ołtarzu zbiorowego pojednania. Są więc niczym więcej jak systemowym kłamstwem i oszustwem.

Chrześcijańska dekonstrukcja

A jednak mechanizm ten, choć uniwersalny, w dzisiejszym świecie nie działa już tak jak kiedyś. Dlaczego? W dodatku – skąd o nim wiemy, skoro mitologiczny kamuflaż jest totalny i skuteczny? Na te pytania odpowiedział Girard w trzech kolejnych książkach – „Rzeczy zakryte od założenia świata" (1978), „Kozioł ofiarny" (1982) oraz „Dawna droga, którą kroczyli ludzie niegodziwi" (1985) – które dopełniły i domknęły całość jego teorii.

Późniejsze prace, jakkolwiek inspirujące i ważne – zwłaszcza brawurowy esej „Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica" (1999) – jedynie rozwijają i na nowo wykładają idee powstałe wcześniej. No, może poza ostatnią książką „Apokalipsa tu i teraz" (w oryginale „Achever Clausewitz", czyli „Dokończyć Clausewitza", pierwsze wydanie 2007), ale do niej jeszcze – jak przystało na ostatnią książkę – wrócimy na końcu.

Dlaczego więc przemoc nie pracuje już w ludzkich zbiorowościach tak, jak kiedyś? Dlatego, że pojawił się Chrystus. Oraz teksty Ewangelii, które przyniosły światu radykalną, głęboką, bezprecedensową rewolucję. Odsłoniły mianowicie – a tym samym zdekonstruowały – struktury ofiarnicze skrywane dotąd skrzętnie przez przedchrześcijańskie mity i religie. Chrystus, mówi Girard, jest pierwszą w dziejach ofiarą zbiorowego morderstwa, która nie tylko od początku wie, że jest niewinna, ale w sposób bezpośredni i jasny obwieszcza swoją niewinność.

Demonstruje przy tym krok po kroku, na czym polegają systemy kolektywnej przemocy – odsłania je i wydobywa na światło dzienne. A poprzez krzyż, mękę oraz zmartwychwstanie wskazuje cel, do którego prowadzi wyrzeczenie się destrukcyjnego mimetyzmu. Odtąd jedynym wzorcem do naśladowania ma być Chrystus. W tym chrześcijańskim nakazie, żeby nie naśladować nikogo innego, Girard dostrzega najgłębszą i najprawdziwszą mądrość.

Świat po Chrystusie

Lecz przecież – nasuwa się kolejna wątpliwość – wraz z pojawieniem się chrześcijaństwa przemoc wcale nie zniknęła. Niewinne ofiary wciąż giną, także chrześcijanie w toku dziejów dokonują straszliwych, niesprawiedliwych zbrodni. Istotnie – mówi Girard, którego wcale nie zbija to z tropu. I wyjaśnia, że dzieje się tak dlatego, iż – po pierwsze – chrześcijańskie przesłanie, ze wszech miar radykalne, zostało w pełni przyjęte przez relatywnie niewielu.

Po drugie zaś Chrystus, ujawniając kolektywne tajemnice, zapoczątkował proces nieodwracalnego demontażu struktur regulujących dotychczasowy obieg przemocy w ludzkich społecznościach. Alternatywa wygląda więc tak: albo podążanie za Chrystusem, całkowite wyrzeczenie się mimetyzmu i przemocy, albo dryfowanie po coraz bardziej rozregulowanym oceanie życia społecznego.

Rozregulowanym, bo dawne formy katalizowania zbiorowej i indywidualnej agresji, zażegnywania niebezpieczeństw związanych z kryzysem mimetycznym, już nie działają. Nowych natomiast, prawdziwie chrześcijańskich, ↦

↦ nie potrafimy w całości przyjąć i wdrożyć. Oto właśnie krajobraz świata po Chrystusie. Świata, który wciąż jeszcze trwa dogasającą siłą polityki i sprzężonego z nią Kościoła, dwóch *katechonów*, czynników opóźniających apokalipsę. Ale który z jednej strony staje się, teoretycznie, coraz bardziej moralnie świadomy, z drugiej natomiast pogrąża się w postępującym, nieświadomym mimetyzmie.

Z jednej strony wie już i rozumie, że zabijanie niewinnych jest złe, z drugiej – nie potrafi wyrzec się przemocy, ulega bowiem oświeceniowej, racjonalistycznej iluzji, która odrzuca każdą formę religijności jako zabobon. Tymczasem tylko religia – przekonuje Girard – a w szczególności religia chrześcijańska zdolna jest ujrzeć człowieka w pełni jego irracjonalnych uwikłań w przemoc.

Apokalipsa tu i teraz

Czy to oznacza, że Chrystus poniósł porażkę? Że jego przesłanie wpadło w próżnię? Nieodwracalnie naruszyło stabilny, choć oparty na złu i morderstwie, gmach, w którym dotąd funkcjonowała ludzkość, ale nie dało wiele w zamian? Nawet jeśli – dowodzi Girard w swojej ostatniej książce (mówiłem, że do niej na koniec wrócimy), rozmowach, jakie przeprowadził z nim Chantre – to jest to porażka przewidywana od samego początku.

Zaświadcza o tym tekst „Apokalipsy według św. Jana", kolejna rękojmia wyjątkowości chrześcijaństwa, jedynej religii, która otwarcie przepowiada własną klęskę. Apokaliptyczne wizje, obecne również w listach św. Pawła, zdaniem Girarda wskazują, że z chwilą nieprzyjęcia ujawnionej przez Chrystusa prawdy o źródłach kultury wkroczyliśmy na ścieżkę samozniszczenia. Cykle przemocy, w których nieświadomie uczestniczymy, nie spełniają już swojej dawnej roli, a mianowicie nie prowadzą do uspokojenia i ustania konfliktów. A jeśli jeszcze tu i ówdzie prowadzą, to na coraz krótszą metę.

Rywalizacje mimetyczne stają się coraz intensywniejsze, nasza świadomość uczestnictwa w nich jednak systematycznie spada. Oznacza to w praktyce ruch wyłącznie w jedną stronę – w stronę eskalacji. W tej chwili – a Girard wypowiadał te słowa w 2007 r. – wkroczyliśmy już na ścieżkę, z której nie ma odwrotu.

Jak jednak przystało na człowieka wierzącego – skądinąd, Girard podkreślał nie raz, że to własne rozważania doprowadziły go do nawrócenia (uznania, że skoro przekaz Chrystusa jest tak rewolucyjny, to jego źródła nie mogą być czysto ludzkie) – przekonanie o zbliżającym się końcu Zachodu i świata idzie u Girarda w parze z radykalną nadzieją na drugie przyjście Chrystusa. I ostateczne wyrwanie się spod władzy mimetycznej przemocy, którą – nietrudno zgadnąć – utożsamia z figurą szatana.

Polityka rewolweru i miłosierdzia

Wróćmy zatem do wyjściowego pytania o fascynację, jaką teorie Girarda budzą wśród współczesnych przedstawicieli amerykańskiej altprawicy, w szczególności J.D. Vance'a i Petera Thiela.

Otóż rzuca się najpierw w oczy – na co zwrócił niedawno uwagę m.in. szkocki filozof Alexander Douglas, profesor Uniwersytetu St. Andrews – że zarówno Thiel, jak i Vance posługują się Girardem, mówiąc delikatnie, nader selektywnie. Przede wszystkim, jak już wspomniałem na początku, akcentują mimetyzm, podkreślając, że punktem zwrotnym w ich doświadczeniu było porzucenie naśladownictwa i szczere postanowienie, żeby wreszcie zrobić coś samodzielnego.

W ten sposób czynią z girardiańskiej teorii jeszcze jedno poręczne narzędzie wspierające typowo neoliberalną, indywidualistyczną opowieść o heroicznej jednostce. Tymczasem Girard jest od niej jak najdalszy. Przeciwnie, za ojcami Kościoła i tekstami Ewangelii – a także za Janem Pawłem II – zwraca nieustannie uwagę na fundamentalne braterstwo i wspólnotę łączące wszystkich ludzi bez wyjątku.

Druga rzecz to wprzęgnięcie apokaliptycznej narracji autora „Kozła ofiarnego" – oraz w ogóle całej jego koncepcji – w opowieść o wielkim polityczno-cywilizacyjnym konflikcie i wojnie

PRAWDA POWIEŚCIOWA I KŁAMSTWO ROMANTYCZNE
W swej pierwszej książce Girard stawia prostą, ale brzemienną w skutki tezę: ludzkie pragnienia nie rodzą się samoistnie, lecz zawsze za pośrednictwem innego, co siłą rzeczy prowadzi do konfliktów i przemocy.

SACRUM I PRZEMOC
Wytypowanie i zabicie „kozła ofiarnego", którego obarcza się winą za sprowadzenie na społeczność śmiertelnego zagrożenia, kieruje agresję poza wspólnotę i przynosi zjednoczenie w akcie zbiorowego mordu. Konflikt wygasa, powraca pokój.

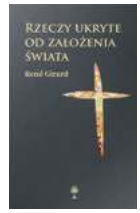

RZECZY UKRYTE OD ZAŁOŻENIA ŚWIATA,

KOZIOŁ OFIARNY,
DAWNA DROGA, KTÓRĄ KROCZYLI LUDZIE NIEGODZIWI
Trzy kolejne prace, w których Girard rozwija koncepcję przemocy kolektywnej jako mechanizmu kształtującego religie, kultury i cywilizacje, a także omawia przedstawienia kozła ofiarnego w mitach i tekstach biblijnych.

APOKALIPSA TU I TERAZ
O wyjątkowości chrześcijaństwa, jedynej religii, która otwarcie przepowiada własną klęskę: apokaliptyczne wizje realizują się dziś – nieprzyjęcie ujawnionej przez Chrystusa prawdy o źródłach kultury wprowadziło nas na ścieżkę samozniszczenia.

kulturowej. O ile Girard istotnie przestrzegał przed procesami nieuchronnie rozsadzającymi Zachód od środka i z ogromnym niepokojem przyglądał się choćby ekspansji radykalnego islamu, o tyle zasadniczym przesłaniem jego teorii było zawsze bezwarunkowe przyjęcie chrześcijańskiej nowiny. Całkowite odrzucenie przemocy, odejście od mimetyzmu – choć, jak podkreślał, wszystko, co mówimy i robimy, jest nim nieuchronnie skażone.

W myśleniu Girarda wszyscy, bez wyjątku, jesteśmy potencjalnie narażeni na zakaźne działanie przemocy. Wszyscy także, siłą podobną sile grawitacji, podlegamy fundamentalnemu prawu, wedle którego zwaśnione strony każdego konfliktu nieuchronnie się do siebie upodabniają. Jednym słowem, przekonanie o własnej bezwzględnej racji, logika banknotu i rewolweru, zasobów militarnych i finansowych, zademonstrowana Wołodymyrowi Zełenskiemu przez Donalda Trumpa i J.D. Vance'a podczas pamiętnej rozmowy w Gabinecie Owalnym – wyznawana przez Petera Thiela, głoszona przez Johna Mearsheimera, stosowana w praktyce m.in. także przez Władimira Putina – stoi na absolutnych antypodach wszystkiego, co postulował René Girard.

Radykalne przesłanie

Ale ostatecznie – myślę – to jednak dobrze, że za sprawą Thiela czy Vance'a Girard zaczął nagle trafiać do szerokiej publiczności. Jego radykalne antyprzemocowe przesłanie – a nade wszystko przenikliwe analizy ludzkiej skłonności do przemocy, kłamstwa i cedowania winy na niewinnych – z całą pewnością okaże się silniejsze aniżeli wszelkie doraźne próby przykrojenia go do takiego czy innego politycznego interesu.

Podobnie jak silniejsze od takich prób okazały się – i okazują – teksty Ewangelii, których błyskotliwej, pełnej pasji analizie Girard poświęcił przecież całe swoje życie. © TOMASZ STAWISZYŃSKI

FRANCESCO SFORZA / VATICAN MEDIA / GETTY IMAGES

Papież Leon XIV podczas Jubileuszu Młodych w Rzymie. Watykan, 29 lipca 2025 r.

Studniówka Leona

EDWARD AUGUSTYN

WATYKAN | Papież Prevost przywraca „absolutny prymat Chrystusa" zarówno wewnątrz Kościoła, jak i w jego misji na zewnątrz. W przeciwieństwie do Franciszka, dla którego ważniejsze były kwestie społeczne.

Sto dni pontyfikatu Leona XIV, zainaugurowanego 18 maja, jest okazją do postawienia pytań o najważniejsze decyzje podjęte w tym okresie, największe zaskoczenie lub rozczarowanie, a także mocne i słabe strony amerykańskiego papieża. Na poważne analizy i oceny jest oczywiście jeszcze za wcześnie. Papież to nie prezydent czy premier, których można po trzech miesiącach rozliczać z realizacji przedwyborczych obietnic.

Pontyfikat nie jest kadencyjny, nie trwa cztery lata. A ten rozpoczęty 100 dni temu może być wręcz wyjątkowo długi, nawet ponad dwudziestoletni – Robert Prevost jest „młodym papieżem" (za miesiąc skończy 70 lat).

Spokój i normalność

– Myślę, że jest nawet zbyt wcześnie, by mówić o niespodziankach i rozczarowaniach – pisze mi Andrea Gagliarducci z Catholic News Agency, któremu przesłałem pytania. – Zresztą, sam wybór papieża z USA był już zaskoczeniem.

Watykanista przypomina pierwsze drobne, ale symboliczne kroki papieża: założenie „stroju chórowego" z czerwonym mucetem, plan zamieszkania w Pałacu Apostolskim, wyjazd na urlop do Castel Gandolfo.

– Ciekawie było patrzeć, jak Leon XIV wraca do tradycji, których jego poprzednik nie lubił. Choć przecież wcale się od Franciszka nie odciął – dodaje ↦

↦ dziennikarz. Ale, jak zauważa, różnią się nie tylko stylem.

– Przemówienia Leona są bardziej przemyślane i rozważne. Papież Prevost nie improwizuje, rzadko dodaje coś spoza wcześniej przygotowanego tekstu. Jego siłą jest spokój i normalność – zauważa. – A słabością brak zdecydowanych decyzji w kwestii zarządzania kurią. W niektórych jej organizmach wciąż panuje stan zawieszenia między starym a nowym pontyfikatem.

Niedecyzyjność papieża może być co prawda pozorna – o wielu już podjętych krokach (jak choćby w kwestii nieprawidłowości w episkopacie peruwiańskim, którego przez ostatnią dekadę był częścią) opinia publiczna nie jest informowana. Ale nawet gdyby była faktem – niepodejmowanie istotnych decyzji w pierwszych miesiącach wcale nie musi obciążać konta Leona.

– Prevost nie chce działać w pośpiechu – mówi mi Iacopo Scaramuzzi z dziennika „La Repubblica". – Jest człowiekiem ostrożnym, działa metodycznie. Przez pierwsze trzy miesiące spotykał się kolejno ze wszystkimi współpracownikami, zbierał informacje, jak działa kuria. Najpierw uważnie obserwuje i rozważa, potem podejmuje decyzje.

Scaramuzzi nie uważa też, by pontyfikat Franciszka miał bardziej spektakularny początek. – Może w sferze słów i gestów, ale nie w kwestii decyzji i nominacji – mówi, podając przykłady: – Franciszek zmienił sekretarza stanu pięć miesięcy po konklawe, radę kardynałów C9 stworzył po pół roku, przez trzy lata miał rzecznika prasowego odziedziczonego po Benedykcie XVI, przez cztery lata tego samego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, przez pięć lat dyrektora „L'Osservatore Romano".

Scaramuzzi przestrzega jednak, by nie dać się zmylić takim cechom nowego papieża, jak umiarkowanie czy łagodność. – Leon XIV jest człowiekiem spokojnym, nie tak wybuchowym jak Franciszek. Dla nas, dziennikarzy, może nawet „nudnym". Ale dzięki tym cechom, a także dzięki wykształceniu (prawnik i matematyk) oraz zakonnej proweniencji (augustianin) może okazać się nawet bardziej radykalny niż Franciszek.

Wejście w rolę

Obaj moi rozmówcy przyznają, że oczekiwania wobec papieża Prevosta są spore. Scaramuzzi wymienia kilka najważniejszych: opanowanie deficytu strukturalnego Watykanu, zatrzymanie spadku powołań, dokończenie procesów kard. Becciu (druga instancja) i o. Rupnika, rewizja stanowiska wobec „mszy łacińskiej" i błogosławieństwa par homoseksualnych, rozstrzygnięcie kwestii otwartych na synodzie (diakonat kobiet, formacja seminarzystów, rola świeckich w parafiach i diecezjach), odzyskanie autorytetu na arenie międzynarodowej.

Franciszek dostosowywał urząd do swojej osoby.
Leon wydaje się dostosowywać siebie samego do urzędu, który objął.

Ale gdy te same pytania zadaję dwóm kardynałom, uważanym za najpoważniejszych rywali Roberta Prevosta na konklawe, koncentrują się nie na podjętych lub nie decyzjach, ale na nauczaniu i ewangelizacji.

– Ostatnie wydarzenia pokazały, że papież potrafi przyciągnąć młodych ludzi i zasiać w ich sercach głębokie pragnienie wiary – odpisuje kard. Charles Bo z Mjanmy, nawiązując do Jubileuszu Młodych, na który przyjechało do Rzymu prawie milion osób. – Doceniam też bardzo regularnie powtarzane apele o pokój w świecie i ograniczenie zbrojeń. I to, że papież zdecydowanie wzywa do zaprzestania barbarzyństwa w Strefie Gazy. Jest odważny, nie boi się mówić tego, co myśli, gdy to jest konieczne.

Z kolei kard. Anders Arborelius ze Sztokholmu przyznaje, że zaskoczyło go szybkie „wejście w rolę" Roberta Prevosta.

– Znałem go jako prefekta Dykasterii ds. Biskupów – pisze w odpowiedzi na mojego maila. – A potem zobaczyłem, jak wchodzi od razu w rolę papieża, tak jakby nim był od dawna. Jest człowiekiem skromnym i pokornym, a mimo to potrafił od razu przemawiać i działać z duchową mocą Namiestnika Chrystusa. Umiejętność łączenia tych aspektów to jego siła. A największa słabość? Być może to, czego doświadczają wszyscy biskupi: że nie potrafimy dotrzeć z Ewangelią do większej liczby ludzi.

Prymat Chrystusa

Na nowy styl wypowiedzi – prosty, pozbawiony retorycznych ozdobników – zwraca uwagę ks. Robert Imbelli z Nowego Jorku, emerytowany profesor teologii w Boston College. Na łamach „The Journal of the Witherspoon Institute" pisze: „Franciszek dostosowywał urząd do swojej osoby. Leon wydaje się dostosowywać siebie samego do urzędu, który objął". Imbelli widzi w tym realizację programowej deklaracji, złożonej podczas inauguracji pontyfikatu: „mam znikać, aby Chrystus pozostał, pomniejszać się, by Jego poznano i uwielbiono".

Analiza Imbellego jest jedną z ciekawszych, jakie ukazały się z okazji papieskiej studniówki. Teolog zauważa, że amerykańskiego papieża odróżnia od poprzednika także konsekwentny chrystocentryzm. W przemówieniach i homiliach Leona XIV odniesienia do Chrystusa nie są „mechanicznie powielaną kościelną retoryką", ale autentycznym *cantus firmus* (melodią przewodnią) nauczania. Co zresztą wyraża też motto pontyfikatu, zaczerpnięte z pism św. Augustyna: „W Nim jednym jesteśmy jedno".

Imbelli widzi w tym reakcję na „chrystologiczną amnezję" współczesnego Kościoła i na liberalizm teologiczny, próbujący wyjść „ponad Chrystusa". Papież Prevost przywraca – zdaniem teologa – „absolutny prymat Chrystusa" zarówno wewnątrz Kościoła, jak i w jego misji na zewnątrz. W przeciwieństwie do Franciszka, dla którego ważniejsze były kwestie społeczne (choćby i rozumiane jako konsekwencja głoszenia Chrystusowej ewangelii).

Papież argentyński dużo częściej odwoływał się do Ducha Świętego, co można rozpatrywać w kontekście wielowiekowego sporu chrystologicznego i trynitarnego: kto z kogo pochodzi (czy Duch Święty ma być rozumiany jako „funkcja" Chrystusa, czy odwrotnie). Papież z USA odwołuje się do tradycyjnego nauczania, że to Chrystus jest „najwyższą nowością, której nie da się przewyższyć". A to przecież doktryna sięgająca Soboru Nicejskiego, którego jubileusz (1700-lecie) będzie najprawdopodobniej okazją do pierwszej zagranicznej wizyty Leona XIV.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

„TP" 30/2025

Brońmy Jasnej Góry

Dziękuję Arturowi Sporniakowi, że broni Jasnej Góry przed politykującymi biskupami. Nie mogę zrozumieć, jak osoby konsekrowane, wykształcone mogą tak profanować to święte miejsce. Dla mnie osobiście najświętsze. Dlaczego Ojcowie Paulini na to pozwalają? Nie dosyć złości i nienawiści? Jestem osobą wierzącą i praktykującą. W czasach studenckich co roku w maju uczestniczyłam w pielgrzymkach pod przewodnictwem ojca Achillesa z Wrocławia, właśnie na Jasną Górę. Nigdy wcześniej ani później tak żarliwie się nie modliłam, jak wówczas, w tamtym miejscu. Tam też wypraszałam zdrowie i życie dla mojego chorego siostrzeńca.
Na Jasną Górę jeździliśmy nieraz, zabierając swoją trójkę dzieci, by Matka Boska otoczyła je swoją opieką.
W 2000 r. szłam w pieszej pielgrzymce sierpniowej nauczycieli, aby podziękować Bogu „za zwrócone życie" mego syna. Właśnie wtedy, podczas różnych odczytów i wykładów powstała w mojej głowie myśl, by ocalić od zapomnienia historię moich bliskich, sąsiadów, znajomych, którzy zostali wywiezieni na Sybir, a także zmuszeni do migracji z Kresów. Do dziś organizowane są coroczne spotkania Kresowiaków w naszej gminie. Ponadto ufundowany został obelisk poświęcony pamięci tych, których prochy spoczywają na Kresach.
Dlatego czuję się zobowiązana, by w imieniu tych, którym udało się opuścić „nieludzką ziemię", napisać do biskupów występujących w sprawie „obrońców granic" i modlących się za nich. W miejscach takich jak Iran, Irak, Palestyna, a nawet Indie, czyli krajach znanych z innych wyznań niż chrześcijańskie, Sybiracy znajdowali schronienie i pomoc. Byli uchodźcami, migrantami, a jednak zostali tam przyjęci!
Czas leci i często nachodzi mnie chęć, aby znowu odwiedzić Matkę Boską z Jasnej Góry. Przeprosić, podziękować, poprosić o to i o tamto. Ale nie mam odwagi. Obawiam się, że spotkam tam osoby, od których usłyszę nikczemne oskarżenia i podłą propagandę. Nienawiść przyniosła już tyle złego, że ja mówię: dość!
ZOFIA

Pokój jako luksus

Dariusz Rosiak i Karolina Przewrocka-Aderet pisali ostatnio o tragicznej sytuacji w Strefie Gazy i o trwającym przecież nie dopiero od października 2023 r. konflikcie izraelsko-palestyńskim, który my, Europejczycy i ogólnie świat zachodni, często postrzegamy zero-jedynkowo, a tymczasem, jak zaznaczają autorzy, jest on o wiele bardziej skomplikowany, niż prezentują go media i wpisy licznych komentatorów na platformach społecznościowych.
Z kolei Antonina Palarczyk poświęciła swój tekst młodym Ukraińcom, którzy mimo bestialskiej wojny wychodzą na ulice i protestują, ponieważ chcą żyć w kraju wolnym od korupcji, niesprawiedliwości i plutokracji. A Stanisław Zasada napisał o polskich misjonarzach i muzykach, dzięki którym dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej zamiast po broń, sięgają po instrumenty muzyczne.
Lektura tych artykułów uświadomiła mi, jak wiele mam szczęścia. Od lat zmagam się z ciężką chorobą i niedawno straciłam najbliższą memu sercu osobę.
Ale nie budzi mnie co noc sygnał alarmu bombowego. Nie przedzieram się pod ostrzałem do punktów dystrybuujących żywność, aby zdobyć niezbędne minimum konieczne do uniknięcia śmierci głodowej.
Nie kulę się pod wpływem każdego huku i odgłosu obawiając się, że nadciągają czołgi lub nadlatują bomby.
Śp. papież Franciszek mówił o tzw. wojnie w kawałkach, czyli o konfliktach toczących się w niektórych częściach globu, a mogących w każdej chwili „rozlać się" na cały świat. Wydawać się mogło, że po hekatombie II wojny światowej, Holokauście, ludobójstwie w Rwandzie, masakrze w Srebrenicy, wojnach w Czeczenii, eskalujących cyklicznie sporach terytorialnych między Azerbejdżanem i Armenią o Górski Karabach czy Indiami i Pakistanem o Kaszmir, nastanie w końcu czas pokoju. Że wszyscy ludzie, w każdym zakątku ziemi o nim marzą. Że mają już dość przelanej krwi swoich najbliższych.
Okazało się, że jest inaczej.
W dzisiejszych realiach pokój przestaje być oczywistością i staje się luksusem. W Polsce nie toczy się wojna, nikt na nas nie najechał, nie znaleźliśmy się pod okupacją (choć są politycy, którzy twierdzą inaczej).
Doceńmy to, co mamy, i nie niszczmy tego wojną polsko-polską, językiem nienawiści i szczuciem na innych. Każdy pogrom, każda wojna, każdy genocyd zaczynały się od słów – bez nich nie byłoby czynów.
MARIA

TP JUŻ W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek **Nagroda Literacka GDYNIA**

Spotkajcie się i wymieńcie książkami, które zrobiły z was czytelniczki i czytelników. Spróbujcie od siebie nawzajem ulubionych historii. To pracochłonne, ale warte wysiłku zadanie.

Rozmowa **DOROTY KOZICKIEJ** z **PRZEMYSŁAWEM CZAPLIŃSKIM, INGĄ IWASIÓW, GRZEGORZEM JANKOWICZEM** i **RYSZARDEM KOZIOŁKIEM**.

PARTNERZY DODATKU

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

miasto słowa.

GDYNIA MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

BIBLIOTEKA GDYNIA

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 27 SIERPNIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik: *Naszość*

Spieszyliśmy się, by zająć wolną ławkę przy bramce na lotnisku, gdy z prawej usłyszałam teatralny szept: „Jebać Żydów!". Kątem prawego oka dostrzegam dwóch nastolatków. Ubrani zwyczajnie, na sportowo, niezbyt rośli. Nie z tych napakowanych ani z tych modnych. Kątem lewego oka widzę ich cel: żydowską rodzinę. Rodzice lekko po pięćdziesiątce, troje nastoletnich dzieci, ojciec z synami w małych czarnych kipach. Nowocześni ortodoksi. Pewnie wracają do Antwerpii. Możliwe, że z wizyty w rodzinnych miasteczkach, na pewno w miejscach Zagłady.

Zdobywam ławkę, parkuję wózek, zrzucam bagaż podręczny i wracam. Ten szept to nie była pełna słowna agresja, ale badanie, co się stanie. Próba. Idę zatem reprezentować świat, w którym po takich słowach coś się stanie. „Jeśli myślicie, że tak wolno mówić, to nie wolno" – mówię stanowczo, ale oględnie. „Ale, że co? Ale nic nie mówiliśmy" – odpierają zarzut. „Słyszałam dobrze. Nie wolno tak mówić" – dodaję, przewijając w głowie, co się mówi, jeśli się postawią. Czy już wtedy sięgać po argument z Zagłady, czy bardziej z kodeksu karnego? Łagodnie i tłumacząc czy raczej kategorycznie i ostro? Co działa lepiej? Ale nie pyskują. Nie muszę sprawdzać.

W zasadzie cała interakcja była dość dyskretna. Mam nadzieję, że rodzina, w którą skierowali szept, ani nie usłyszała, ani się nie domyśliła, co się dzieje. Wracając słyszę ciche „merci", ale wciąż liczę, że nie do mnie, że to fragment rozmowy między sobą.

Jak na ćwierć wieku zajmowania się relacjami polsko-żydowskimi miałam zaskakująco mało takich sytuacji i interwencji. Owszem, w liceum walczyłam z antysemicką księgarnią pod kościołem, ale wtedy głównie było to starcie na piśmie i bardziej z migającymi się od reakcji kurialistami i biskupami. Nikt jednak nie rzucał antysemickich tekstów wprost. Owszem, regularnie natykam się na aluzje i kody. Na przepisywanie historii tak, żeby Polacy w niej dobrze wypadli kosztem prawdy i Żydów. Ale to inny rodzaj spotkania.

Tylko raz musiałam ostro zareagować, ale w obrębie prywatnej przestrzeni. Takie badanie, jak teraz – jak daleko można się posunąć – to coś nowego. To, że był to głośny szept, a nie otwarty tekst, widzę jako testowanie granic. Choć może się mylę, bo szept, gdy jest czytany, też osacza.

W samolocie przypomni mi się widziana kiedyś zasada reakcji w podobnych sytuacjach: nie wdawać się w interakcje z napastującym, lecz przysiąść się do atakowanego – zagadać, towarzyszyć, ale nie eskalować. Ale tu chyba jednak można było jeszcze po prostu zbeształ. Myślę o tym, jak należało zareagować, nie dlatego, że czuję, iż postąpiłam nieadekwatnie, ale dlatego, że spodziewam się, że to nie ostatni raz. Jakaś przykra intuicja podpowiada, że jest rosnące przyzwolenie i na antysemityzm, i na wrogość wobec rozmaitych obcych.

Zbiega mi się ten poranek na lotnisku z szeregiem innych historii. Tego samego dnia czytam, że Adam Wajrak zareagował w Bydgoszczy na młodzieńców wyzywających ukraińskie dzieci od banderowców. Czytam, jak rząd pręży muskuły, jednocześnie mizdrząc się do prawicy, i chce deportować kilkudziesięciu Ukraińców i Białorusinów. A koleżanki wracające z wakacji wspominają rozmowy przy stole innych wypoczywających, pełne niechęci do „kolorowych".

Mija też dziesięć lat od pamiętnego lata 2015, gdy przez Europę szła fala uchodźców, a wraz z nią konwulsja niechęci wobec szukających pomocy ludzi. Dekada udawania, że migracja to nie nasz polski problem, że zawieszamy swój udział w europejskiej solidarności wobec niej. I swoje chrześcijaństwo, które solidarności wobec bliźniego wymaga. Wtedy, w 2015 roku, Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW pytało, jak wobec przekazu medialnego rozwijają się uprzedzenia wśród młodych. Było wyraźnie widać, że to nie telewizja, a internet jest dla nich miejscem spotkania z antymigrancką nienawiścią i stereotypami. Choć wtedy tego internetu było jakby mniej. Było też widać, że nastroje antyimigranckie i antyislamskie podbiły w górę antysemityzm, bo te zarazy chodzą w hordzie. Napędzając jedna drugą.

Jeśli można na lotnisku syknąć „Jebać Żydów", to i pedałów, ciapatych, czarnych... Kobiety też dostaną rykoszetem.

Całe to rozróżnianie, na swoich i obcych, to proces zarówno tożsamościowy, jak i polityczny. Obie strony tego równania są od siebie zależne. Jeśli poza nawiasem swojskości umieszczamy grupy i cechy, to wykluczając określamy siebie, kim chcemy być. Cóż to więc za naszość się wyłania? I czy jesteśmy pewni, że w niej wytrzymamy, że da się w niej żyć i patrzeć sobie w twarz? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Prośmy o dar rozumu

„Synu mój, nie lekceważ Pańskich pouczeń ani się nie zniechęcaj, gdy On wytyka ci błędy; bo kogo Pan kocha, tego poucza (...) Wprawdzie żadne [surowe] pouczenie w chwili, gdy [nas] dosięga, nie sprawia [nam] radości, lecz łączy się z bólem, później jednak (...) przynosi [pełen] pokoju owoc sprawiedliwości".

Na czym to pouczanie polega, dowiadujemy się patrząc na Jezusa, jak on zachowuje się w sytuacjach, które jego samego i innych wprowadzały w zakłopotanie, jeśli nie w oburzenie. Na przykład wtedy, gdy przepędza świątynnych kramarzy, albo gdy mówi, że na nic się zda „jedzenie i picie z Nim", jeśli nadal człowiek „dopuszcza się niesprawiedliwości". Takie opisy, w których Jezus nie zachowuje się tak, jak byśmy chcieli, próbujemy wygładzić. Na przykład opis spotkania z mieszkankami Jerozolimy i ich dziećmi tytułujemy „Jezus błogosławi dzieci", choć chodzi w nim o „pouczenie" uczniów, którzy „poczuli się ważni – jak mówi Jakub Kołacz SJ – byli panami sytuacji i to oni decydowali, kto może dostać się przed Jezusa, kto może spotkać się z tym »ważnym człowiekiem«", a Jezus „nie dość, że ich ostro zrugał, to jeszcze udowodnił im, że nic nie rozumieją ze spraw Bożych. Sami będąc głupi, głupotą tą blokowali innym dostęp do Boga". Niestety głupota w Kościele wciąż jest w cenie.

Tysiące ludzi wciąż ugania się za różnymi kaznodziejami, egzorcystami, cudotwórcami, świeckimi i duchownymi, mającymi z własnego nadania dar uzdrawiania, wskrzeszania umarłych, nauczania, prorokowania, upominania – oczekując od nich cudów, które da się najspokojniej w świecie wyjaśnić bez uciekania się do „mocy nadprzyrodzonych". Tym samym ośmieszają Kościół. Dlatego hasło „Chrystus tak, Kościół nie" powinno dać nam do myślenia. Wynika z niego, że nadal istnieje „zapotrzebowanie" na Chrystusa, ale coraz słabsze na Kościół. Potrzebujemy więc nawrócenia, które według Pawła polega na zmianie „sposobu myślenia". To co głupie nie może być pobożne. Owszem, różnorakie cudowności potrafią wprowadzić człowieka w stan niesamowitej euforii, ale to jeszcze nie jest „jedzeniem i piciem" z Chrystusem. To nie cuda przekonują nas do Jezusa i nie one świadczą o boskości Jezusa, tylko Jego codzienne, świeckie przecież, życie. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Ryba św. Piotra

„Przystąpili do Piotra poborcy didrachmy z zapytaniem: Wasz Nauczyciel nie płaci didrachmy? (...) Gdy wszedł do domu, Jezus uprzedził go, mówiąc: Szymonie, jak ci się zdaje, od kogo królowie ziemscy pobierają daniny lub podatki? Od synów swoich czy od obcych? Gdy Piotr odpowiedział: Od obcych, Jezus mu rzekł: A zatem synowie są wolni. Żebyśmy jednak nie dawali im powodu do zgorszenia, idź nad jezioro i zarzuć wędkę. Weź pierwszą złowioną rybę, a gdy otworzysz jej pyszczek, znajdziesz statera. Weź go i daj im za Mnie i za siebie" (Mt 17, 24-27).

To Ewangelia, którą chętnie wspomina się w Ziemi Świętej, gdy na zakończenie przejażdżki po Jeziorze Galilejskim pielgrzymi zamawiają na lunch „rybę św. Piotra". Smakuje wybornie. Ale czy równie łatwo jest nam „spożyć" Słowo tej perykopy? Mówi ona, że godność synowska nie zwalnia z ofiarności. To nie jest tak, że synowi czy córce wolno więcej niż „obcym". Bo Tata przymknie oko i sam wszystko uzupełni. Syn Boży uiszcza podatek, z którego jest zwolniony. Więcej, jest to podatek, który w ostatecznym rachunku należy się Jemu. Didrachma była ofiarą składaną przez Żydów w duchu wdzięczności za wyzwolenie z Egiptu. Tymczasem On sam ją składa , bo godność Syna odczytuje nie jako zwolnienie i usprawiedliwienie, lecz jako wezwanie i zobowiązanie.

I pouczenie drugie: ostatecznie zawsze składamy ofiarę z tego, cośmy otrzymali. Piotr zostaje wezwany do złożenia w ofierze pieniądza, który otrzymał od Jezusa wskutek cudownego połowu. Tak uczyli o ofiarności Ojcowie Kościoła: zawsze dajemy innym z tego, co wcześniej otrzymaliśmy od Pana. Od Pana otrzymujemy pożywienie i nic nam tego nie uświadamia lepiej niż dziękczynna modlitwa przed posiłkiem. Kiedy więc Pan staje przed Tobą w osobie głodnego człowieka, nie dasz Mu chleba? Skąd weźmiesz potem odwagę, aby prosić Go o pokarm dla siebie? Ta sama logika dotyczy innych obszarów miłosierdzia: ubrania, gościny i miejsca do życia, czasu, uwagi, przebaczenia... Wszystko to masz od Niego. Czy masz prawo Mu odmówić, gdy prosi, byś Mu udzielił z tego, co ci dał?

A przecież na co dzień odmawiamy. Potrafimy to w dodatku uzasadnić – najlepiej pseudo-teologicznie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

NAUKA

CZĄSTKA ŻYCIA

PROF. MARCIN NOWOTNY, BIOLOG:

W jądrze komórkowym zachodzi kocioł reakcji. Białka nieustannie patrolują materiał genetyczny. Sprawdzają jego elastyczność, szukają pęknięć i mutacji. Gdy mechanizmy naprawcze zawiodą, powstają nowotwory.

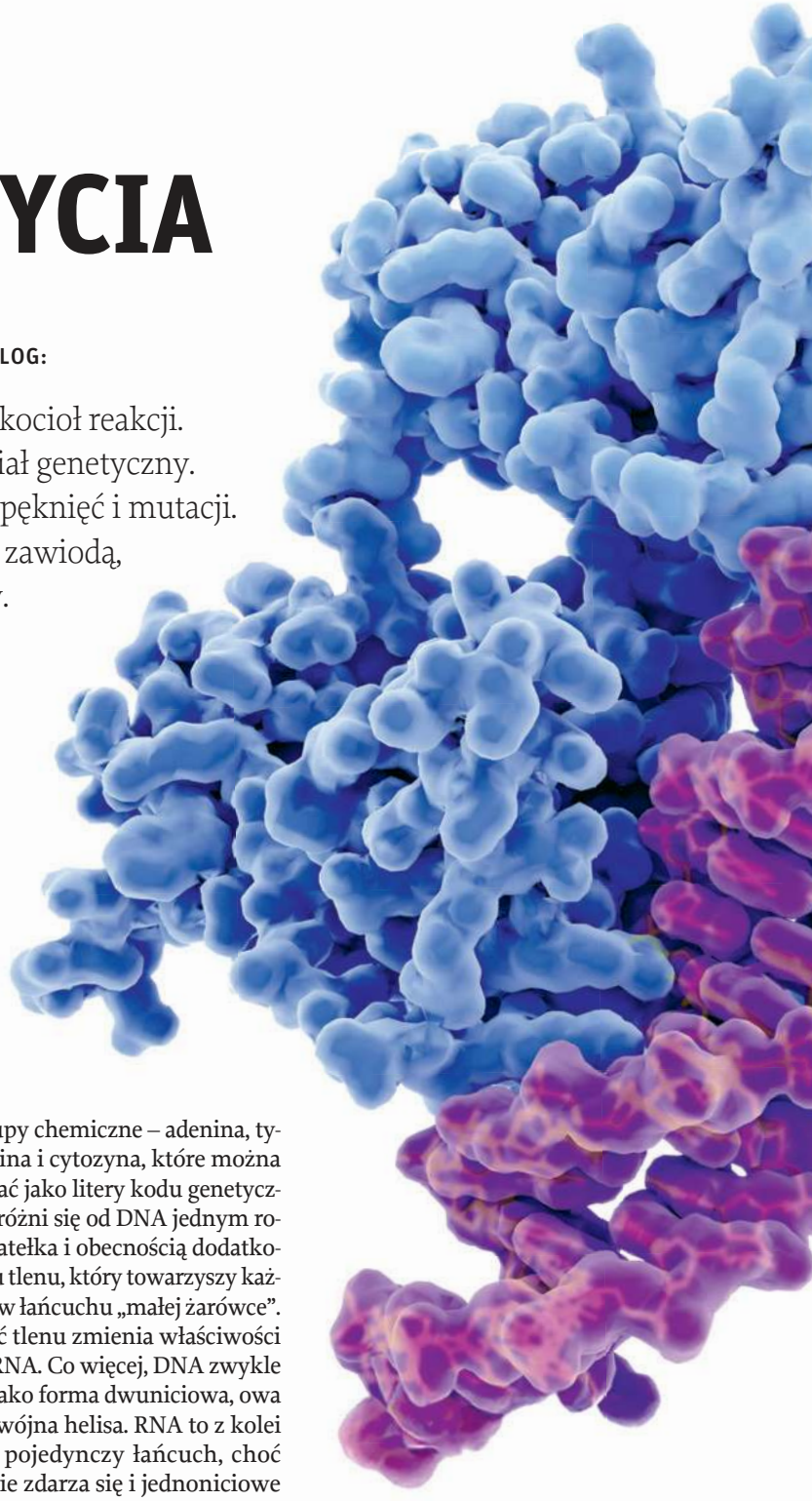

MARIUSZ GOGÓL: Nie ma chyba ważniejszej cząsteczki w biologii niż DNA. Mówimy: DNA, myślimy: życie. Ta cząsteczka wciąż znajduje się w sercu największych tajemnic biologii?

PROF. MARCIN NOWOTNY: Z pewnością jednym z największych pytań, przed którymi stoi nauka, jest to, w jaki sposób powstało życie – w całej swojej złożoności i różnorodności. To trudne pytanie, bo pierwotne formy życia nie przetrwały. Gdzieniegdzie odnajdujemy jakieś okruchy pradawnych form we współczesnych organizmach i próbujemy na ich podstawie wnioskować o historii życia. To dość trudne zadanie. Aktualnie życie oparte jest na cząsteczce DNA, ale jedna z najpopularniejszych hipotez mówi, że u pierwszych form życia nośnikiem informacji genetycznej było RNA.

Czym właściwie te dwie cząsteczki się różnią?

Chemicznie RNA i DNA są bardzo podobne. Wyobraźmy sobie DNA jako dwa łańcuchy światełek choinkowych, które biegną w przeciwnych kierunkach. Każda żarówka odpowiada cegiełce budującej pojedynczy łańcuch DNA. Światełka obu łańcuchów, a są ich cztery rodzaje, „kleją się do siebie" – zielone światełko zawsze łączy się z niebieskim, a czerwone zawsze z pomarańczowym. Światełkami są oczywiście odpowiednie grupy chemiczne – adenina, tymina, guanina i cytozyna, które można też traktować jako litery kodu genetycznego. RNA różni się od DNA jednym rodzajem światełka i obecnością dodatkowego atomu tlenu, który towarzyszy każdej obecnej w łańcuchu „małej żarówce". Ta obecność tlenu zmienia właściwości cząsteczki RNA. Co więcej, DNA zwykle występuje jako forma dwuniciowa, owa słynna podwójna helisa. RNA to z kolei najczęściej pojedynczy łańcuch, choć w przyrodzie zdarza się i jednoniciowe DNA, i dwuniciowe RNA.

Cząsteczki RNA potrafią katalizować reakcje chemiczne, tak jak robią to białka, czyli podstawowy trybik żywej komórki. Wydaje się, że pierwsze cząsteczki RNA nie tylko kodowały informację genetyczną, ale również prowadziły reakcje chemiczne w pierwszych organizmach. Później ta informacja została przepisana na DNA i tak jest kodowana w większości obecnych form życia.

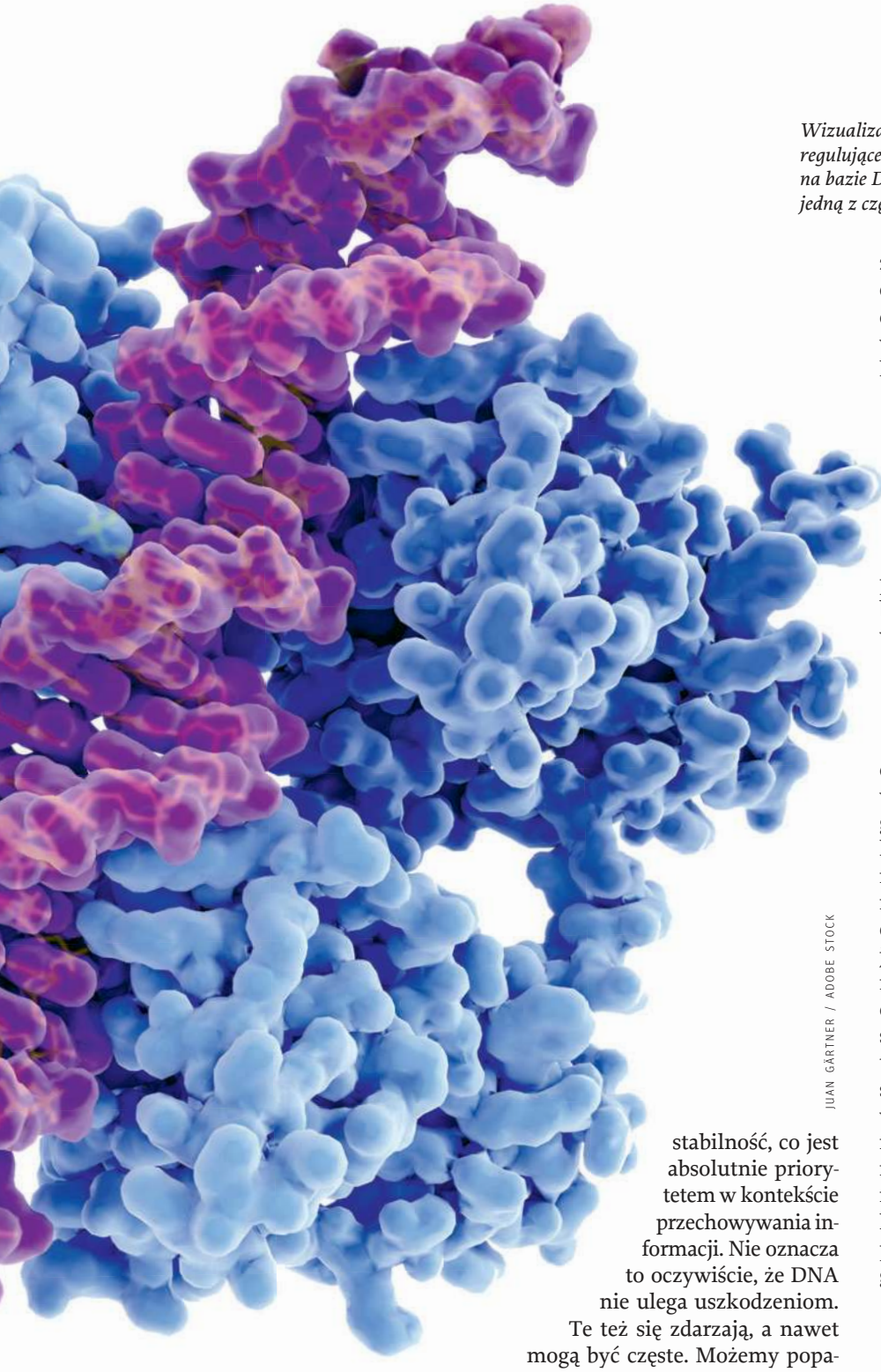

JUAN GÄRTNER / ADOBE STOCK

Wizualizacja wiązania się DNA do białka P53, regulującego proces transkrypcji (syntezowania RNA na bazie DNA). Zaburzenia działania tego białka są jedną z częstych przyczyn nowotworów

Dlaczego zatem życie „wybrało" DNA, a nie RNA? Czy chodzi właśnie o te wspomniane drobne różnice chemiczne?

Przez swoją budowę RNA jest cząsteczką bardziej sztywną niż DNA. Łatwiej też ulega degradacji. To za sprawą tego jednego dodatkowego atomu tlenu w łańcuchu. Może on brać udział w reakcji, na skutek której cząsteczka pęka. Kluczową cechą DNA jest więc jej większa stabilność, co jest absolutnie priorytetem w kontekście przechowywania informacji. Nie oznacza to oczywiście, że DNA nie ulega uszkodzeniom. Te też się zdarzają, a nawet mogą być częste. Możemy popatrzyć na DNA jak na program komputerowy, który potrafi zakodować każdy organizm – wówczas zrozumiemy, że zmiany w budowie chemicznej DNA są dla komórki dużym zagrożeniem. To trochę jak z odczytywaniem taśmy magnetycznej przez magnetofon. Jest on w stanie odczytywać zapisaną informację, dopóki taśma jest cała. Gdy ona pęknie czy jest zagięta, przestaje to być możliwe. Podobnie jeśli pojawią się w nim zmiany kolorów światełek, „literówki", czyli mutacje. Może powstać wtedy wadliwe białko, co może prowadzić do poważnych konsekwencji, w tym śmierci komórki lub powstania nowotworu.

Pojawiło się nam to złowieszcze słowo: mutacje.

Mutacje to zmiany w sekwencji DNA, czyli literówki w kodzie genetycznym. Tylko ok. 1-2 proc. naszego DNA to regiony będące konkretnymi przepisami mówiącymi, jak ma wyglądać białko. Mowa tutaj o genach. Mamy ich w materiale genetycznym około 20 tys. Reszta to fragmenty regulacyjne lub tzw. szum genetyczny. Jeśli mutacja powstanie w rejonie nieistotnym, to będzie neutralna, nie ma większego znaczenia dla życia komórki czy organizmu. Takich jest większość. Z kolei jeśli zmiana dotyczy genów, może prowadzić do poważnych konsekwencji. Zmiana w budowie białek może pociągać za sobą zmianę w funkcjonowaniu komórki. Można powiedzieć, że efekt mutacji zależy od tego, jak istotny jest zmieniony fragment materiału genetycznego. Jeśli kodowana przez niego cząsteczka białka bierze udział w podstawowych reakcjach biochemicznych, to jej mutacja może prowadzić nawet do śmierci komórki. W przypadku zmiany w białku regulującym podziały komórek może skończyć się na ich niekontrolowanym mnożeniu się – a to cecha nowotworów. Mówi się, że aby komórka stała się komórką nowotworową, konieczne jest pojawienie się od 4-7 mutacji, które rozregulowują fizjologię komórki.

Ma Pan na myśli jakieś konkretne białka związane z nowotworami?

Jednym z przykładów jest mutacja cząsteczki zwanej „strażnikiem genomu". Chodzi o białko o mało kreatywnej nazwie – p53. Wyczuwa ono uszkodzenia DNA i jeśli takie nastąpią, to zatrzymuje cykl komórkowy. Komórka ma czas naprawić zaistniałe szkody. Kiedy uszkodzenia są poważne i nie można nic z nimi zrobić – uruchamiana jest śmierć komórki. Mutacje w genie p53 uniemożliwiają tego typu regulację, co prowadzi ↦

↦ do rozwoju nowotworów. Mutacje tego białka występują w ok. 50 proc. nowotworów. Inne ważne białko to K-RAS, które odgrywa kluczową rolę w regulacji wzrostu, podziału i przeżyciu komórek. Jeśli jest ono uszkodzone, daje sygnał komórkom, żeby nieustannie się dzieliły. Ich mutacje występują w ok. 90 proc. nowotworów trzustki oraz w 30-50 proc. przypadków nowotworów jelita grubego. Kolejne to BRCA1 i BRCA2, o których stało się głośno za sprawą aktorki Angeliny Jolie. Ich mutacje zwiększają ryzyko zachorowania na nowotwory piersi i jajnika.

Skąd biorą się mutacje? Czy to tylko efekt działania czynników zewnętrznych?

Mutacje powstają nie tylko w wyniku działania czynników takich jak dym papierosowy czy promieniowanie jonizujące. W każdej naszej komórce zachodzą naturalne procesy, które prowadzą do pojawiania się błędów w cząsteczkach materiału genetycznego. Dobrym przykładem jest powielanie DNA, podczas którego tworzone są nowe cząsteczki na bazie starej. Ma to miejsce przed podziałem komórki. Dwa łańcuchy helisy DNA zostają rozdzielone i stają się wzorcem do dobudowania nowych nici materiału genetycznego. Powstają dwie kopie, które znajdą się w komórkach potomnych. Czasem się zdarzy, że podczas tego kopiowania cząsteczek DNA przez pomyłkę zostanie wstawione „światełko" niewłaściwego koloru. Np. naprzeciw światełka zielonego zostanie wstawione czerwone zamiast niebieskiego. W ten sposób w każdym podziale komórki powstają 1-3 nowe mutacje, czasem neutralne, a czasem szkodliwe dla komórki.

Mutacje mogą powstawać też na skutek działania bardzo reaktywnych cząsteczek zwanych wolnymi rodnikami, które tworzone są m.in. w mitochondriach przy produkcji energii w komórce. Ich problematyczna natura dotyczy tego, że „atakują" inne cząsteczki budujące komórki, wchodzą z nimi w reakcje chemiczne. Ofiarą padają białka i DNA. Dodatkowo należy pamiętać, że każda substancja chemiczna spontanicznie się rozkłada. DNA także ulega takim reakcjom. W sumie duża część mutacji w naszych komórkach to efekt naturalnych procesów, które związane są z prawidłową fizjologią.

Skoro DNA jest tak ważne, to muszą chyba istnieć jakieś mechanizmy chroniące je przed powstawaniem mutacji?

To prawda, ewolucja wykształciła różnorakie mechanizmy chroniące cząsteczkę DNA. Ważnymi mechanizmami chroniącym przed nieprawidłowościami w materiale genetycznym są te, dzięki którym możliwa jest naprawa uszkodzeń. Utrzymanie materiału genetycznego we właściwej formie to niesamowity wysiłek dla komórki. Można sobie to prosto uzmysłowić, kiedy zobaczymy, jak wiele DNA mieści się w jednym jądrze komórkowym. Szacuje się, że w jednej naszej komórce mamy ok. dwóch metrów DNA, a w całym organizmie – długość ta odpowiada nawet kilkusetkrotnej odległości między Ziemią a Słońcem.

Wróćmy do konsekwencji mutacji – co się dzieje, jeśli komórka nie naprawi uszkodzeń DNA?

Mówiłem już o śmierci komórki i nowotworach. Posłużę się jeszcze przykładem szkodliwego działania promieni ultrafioletowych będących składową światła słonecznego. Ekspozycja na światło ultrafioletowe powoduje uszkodzenia DNA, wskutek czego każda komórka skóry wystawiona na promieniowanie słoneczne w ciągu dnia może zakumulować kilkadziesiąt mutacji. To główny powód, dla którego lekarze zalecają unikanie nadmiernej ekspozycji na słońce.

Istnieją choroby genetyczne, których źródłem są defekty naprawy uszkodzeń w DNA powodowanych przez światło ultrafioletowe. Jedna z nich to tzw. skóra pergaminowa. Uszkodzenia nie są naprawiane, co prowadzi do licznych mutacji i szybkiego rozwoju nowotworów. Dlatego osoby chore żyją raczej w ciemności, noszą też specjalne ubrania chroniące przed promieniowaniem słonecznym. To pokazuje, jak kluczowa jest sprawna naprawa DNA dla naszego zdrowia i długości życia. Inne choroby genetyczne pokazują, że istnieje też ścisły związek między defektami w naprawie DNA a przyspieszonym starzeniem.

A jak komórka rozpoznaje, że coś jest nie tak z DNA?

Znanych jest kilkanaście mechanizmów wykrywania i naprawy uszkodzonego DNA. W jądrze komórkowym cały czas zachodzi „kocioł" reakcji – białka nieustannie patrolują materiał genetyczny. Niektóre z nich skanują DNA, sprawdzając jego elastyczność. Jeśli jest on uszkodzony, cząsteczka staje się bardziej giętka, łatwiej ją ugiąć. Inne wykrywają wolne końce DNA, które powstają w wyniku pęknięć materiału genetycznego. Jeszcze inne szukają nieprawidłowych par „światełek" budujących oba łańcuchy DNA. Te systemy są niezwykle wysublimowane i ewoluowały przez miliardy lat. Za ich poznanie przyznano w 2015 r. Nagrodę Nobla.

Jak zatem wygląda naprawa DNA w praktyce?

Istnieją różne ścieżki naprawy, w zależności od rodzaju uszkodzeń. Jeśli doszło do modyfikacji chemicznej, to znaczy do cegiełki budującej łańcuch DNA została dodana jakaś grupa chemiczna, to wycinany jest fragment tego łańcucha i zastępowany nowym DNA. Wiadomo, w jaki sposób uzupełnić ubytek, ponie-

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 734/24/P z wniosku Davida George'a Tillesa, przy uczestnictwie Gminy Miejskiej Kraków, o stwierdzenie nabycia spadku po Blumie Schenker (vel. Bronisławie z Wiesenbergerów), urodzonej 29 marca 1889 roku w miejscowości Brezewice, zmarłej w dniu 31 grudnia 1952 r. w Tel Awiwie-Jaffie (Izrael), ostatnio stale zamieszkałej w Krakowie przy ul. Płaszowskiej 7/3.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane (w szczególności spadkobierców brata spadkodawczyni, tj. Izaka Wiesenbergera aka Ignaza Porebskiego, urodzonego 11 lutego 1891 r. w Grybowie), aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

waż „światełka” z sąsiedniej nici DNA parują się tylko z konkretnymi kolorami. W chorobie skóra pergaminowa, o której mówiłem, właśnie ta droga naprawy jest uszkodzona. Innym mechanizmem jest odnalezienie i wykorzystanie identycznej albo prawie identycznej sekwencji DNA. To jest fascynujący proces, bo jak odnaleźć pasującą sekwencję „światełek” w tych 2 metrach DNA? Odnaleziony fragment staje się matrycą do naprawy. Tak działa np. naprawa pęknięć obu nici materiału genetycznego, obu łańcuchów choinkowych naraz. Wspomniane wcześniej geny BRCA1 i BRCA2 biorą udział w tej ścieżce naprawy. U człowieka pomaga w tym fakt, że większość chromosomów występuje w dwóch kopiach.

Jednak nawet te mechanizmy nie są nieomylne i czasem same stają się źródłem mutacji. Niektóre z tych ścieżek zostawiają ślady po naprawie, które można wykryć podczas analizy genomów – pozwala to stwierdzić, że dana mutacja powstała w wyniku błędu naprawy DNA.

Mamy pod kątem mechanizmów naprawiania DNA czego zazdrościć innym istotom – innym zwierzętom, bakteriom i wirusom?

Kluczowe sposoby naprawy DNA są bardzo podobne u ludzi, zwierząt, a nawet roślin czy grzybów. Niektóre organizmy naprawiają DNA bardzo skutecznie, na przykład niesporczaki, ale jak to osiągają, nie jest do końca jasne.

Bakterie też mają bardzo sprawne mechanizmy naprawy DNA, niektóre – jak *Deinococcus radiodurans* – są dzięki temu w stanie przetrwać wysychanie swoich komórek, co bardzo uszkadza DNA. Okazało się, że dzięki tym samym mechanizmom znoszą także ekstremalne dawki promieniowania. Co ciekawe, mechanizmy naprawy DNA u zwierząt i bakterii opierają się na podobnych zasadach. Także u tych prostych organizmów istnieje mechanizm poszukiwania identycznej sekwencji, żeby użyć jej jako matrycy do naprawy, czy testowana jest elastyczność DNA, żeby wyciąć uszkodzony fragment. Mimo podobieństw są też ogromne różnice w maszyneriach białkowych wykonujących tę pracę u zwierząt i bakterii. Nie wiemy, jak te różne maszynerie wyewoluowały.

Wirusy natomiast w większości nie naprawiają swojego materiału genetycznego, co sprawia, że szybko mutują. To dla nich korzystne, bo zwiększa szanse na „ucieczkę” przed układem odpornościowym gospodarza. Po mutacji mogą być trudniej rozpoznawalne.

ADAM WALANUS / COPERNICUS FESTIWAL

PROF. MARCIN NOWOTNY jest biochemikiem. Od 2008 r. kieruje Laboratorium Struktury Białka w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. W latach 2003-2008 pracował w Narodowych Instytutach Zdrowia w Bethesdzie (USA). W 2022 r. za swoje osiągnięcia naukowe w badaniach nad mechanizmami naprawczymi DNA otrzymał najbardziej prestiżowe krajowe wyróżnienie naukowe – Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Zajmuje się Pan badaniem tych wszystkich procesów. Jak to w praktyce wygląda?

Możemy badać naprawę DNA na poziomie całych organizmów, poszczególnych komórek, a nawet pojedynczych cząsteczek. Na poziomie organizmów możemy np. w bakterii, u drożdży czy myszy usunąć konkretne białko i obserwować konsekwencje naszego działania. U ludzi głównym źródłem informacji są badania pacjentów z defektami naprawy DNA. Na poziomie pojedynczych cząsteczek istnieją zaawansowane techniki pozwalające wizualizować białka z precyzją pojedynczych atomów. Jesteśmy w stanie zbadać ich budowę przestrzenną. To jest bardzo istotne, ponieważ właśnie trójwymiarowy kształt białka odpowiada za jego funkcje. Dlatego próbujemy dowiedzieć się, jak białko wygląda w momencie oddziaływania z uszkodzonym DNA. Dzięki temu możemy poznać, jak białka rozpoznają uszkodzenia w DNA i jak zmieniają swój kształt podczas tego procesu.

Czy znajomość tych wszystkich mechanizmów można wykorzystać w medycynie?

Już to robimy – wiele leków przeciwnowotworowych, jak cisplatyna, działa przez uszkadzanie DNA w komórkach nowotworowych. Stosuje się ją już ok. 60 lat i w przypadku niektórych nowotworów z powodzeniem. To paradoks, że cząsteczka, która sama uszkadza DNA i powoduje mutacje, zabija komórki nowotworowe, jednak można to wyjaśnić. Proces nowotworzenia może zacząć się od defektów w procesach wykrywania i naprawy uszkodzeń DNA. Jeśli taką komórkę, która jest szczególnie wrażliwa na uszkodzenia DNA, przeładuje się ich liczbą, to ona umrze.

A nad czym Pan aktualnie pracuje?

Nasz zespół bada od lat wybrane elementy naprawy DNA na poziomie pojedynczych cząsteczek białka działającego na DNA. Interesują nas na przykład specjalne białka, które jak mikroskopijne nożyczki przecinają DNA. To jest potrzebne na pewnych etapach jego naprawy.

Ostatnio nasze projekty skupiają się na naprawie DNA w bakteriach. Jest tu jeszcze wiele do odkrycia. W ostatnich latach pojawiły się jeszcze bardziej zaawansowane metody, które można w badaniach takich jak nasze wykorzystywać. To przede wszystkim rewolucyjna mikroskopia elektronowa w reżimie kriogenicznym, czyli mówiąc prościej: z wykorzystaniem zamrożonych próbek białek, które badamy. Za opracowanie tej metody w roku 2017 przyznano Nagrodę Nobla. Pozwala przy ogromnych powiększeniach i z ogromną precyzją wizualizować cząsteczki, których do tej pory nie mogliśmy zobaczyć. To w tej chwili nasze główne podejście badawcze. Mamy nadzieję, że z naszym udziałem niebawem będziemy mieć dokładną wiedzę o tym, jak maszynerie komórkowe naprawiają DNA.

© Rozmawiał MARIUSZ GOGÓL

RYBKA I WYPOCZYNEK

IGA LIS, REŻYSERKA:

Bardzo chciałam nakręcić dokument o Bałtyku. Kiedy zobaczyłam kolejkę do blaszanej budki, gdzie wędzone ryby sprzedawała dynamiczna kobieta z rozwianymi włosami, poczułam w żołądku, że to jest „to".

EWELINA BURDA: Jak się wędzi rybę nad Bałtykiem?

IGA LIS: To bardzo czasochłonny proces, trzeba być cierpliwym, ale też szybko odhaczać kolejne etapy: czyszczenie, patroszenie, solenie, osuszenie, wędzenie, studzenie.

W wędzarni U Mieci jest na to sekretny przepis, który znają nieliczni wtajemniczeni; oni wiedzą, jak oporządzić rybę, by była najsmaczniejsza. A ja nie podejmuję się opowiadania o nim; gdybym coś źle wytłumaczyła, pani Miecia byłaby na mnie naprawdę zła.

Pani Miecia to bohaterka Twojego dokumentalnego debiutu, filmu „Bałtyk". Nazywana „Królową Łeby", od czterdziestu lat prowadzi tam kultową wędzarnię ryb. Jak na siebie trafiłyście?

Chciałam nakręcić film dokumentalny o Bałtyku, pojechałam z otwartą głową szukać historii. To było trzy lata temu. Trafiłam m.in. na 80-letniego rybaka, który organizuje pielgrzymki kutrami rybackimi na morzu. Urzekła mnie też historia ośrodka wypoczynkowego w Dźwirzynie, który też nazywa się „Bałtyk", a w nim historie miłosne i rodzinne ludzi, którzy wracają tam od lat.

Ale szukałam dalej. I pod sam koniec wyjazdu trafiłam do Łeby. Był weekendowy poranek, wyszłam na spacer i zobaczyłam, jak do małej blaszanej budki ustawia się solidna kolejka. Wędzone ryby sprzedawała tam dynamiczna, starsza już kobieta, w roboczym podkoszulku, z rozwianymi włosami i odpalonym papierosem w dłoni. Było głośno, wesoło, swojsko.

Naprawdę poczułam w żołądku, że to jest „to". Może to był instynkt?

MATERIAŁY DYSTRYBUTORA SO FILMSX2

Po lewej: przed wędzarnią „U Mieci"; powyżej pani Miecia przygotowuje ryby do wędzenia

Pani Miecia daje się poznać jako konkretna kobieta interesu, wędzarnia jest jej centrum wszechświata, ona sama lubi poszefować. I do tego zadymionego otoczenia, gdzie roboty w sezonie jest ciągle za dużo, przyjeżdżasz Ty: młoda dziewczyna z Warszawy, która chce zrobić film. Nawiązując do memów z Igą Światek można powiedzieć, że do Mieci przyjechała jakaś „gówniara z kamerą".

O, podoba mi się ta „gówniara z kamerą".

A pani Mieci się spodobała?

Na początku w wędzarni myśleli, że mam takie zadanie szkolne: że jestem z filmówki i muszę coś zrobić na zaliczenie.

Przygarnęli mnie chyba trochę z litości, pozwolili kręcić, a z czasem zobaczyli, że traktuję to bardzo serio, z pasją. Od początku podchodzili z szacunkiem do mojego pomysłu: zarówno pani Miecia, jej zięć Dawid, który jest tam bardzo ważną postacią, i cała różnorodna ekipa współpracowników.

W wędzarni i w życiu pani Mieci spędziliście dwa lata.

Ale dużo czasu spędzaliśmy bez kamery, bo nie chodziło nam o nagrywanie wszystkiego, a o poznanie się.

Wchodząc w to prawdziwe życie, słuchając rozmów – czułaś się podglądaczką?

To jest czasami naprawdę dziwna rola, autorki takiego filmu. I ma wiele wymiarów. Na początku jesteś kimś z zewnątrz i widzisz wszystko powierzchownie. Jest ci trudniej, bo musisz poznać tych ludzi, ale i łatwiej, właśnie dlatego, że jeszcze się dobrze nie znacie. Potem, gdy relacja się buduje, to już nie tylko widzisz to czyjeś życie, ale jesteś jego częścią. Gdy pojawiają się zmiany w wędzarni, gdy życie miłosne kogoś z ekipy się komplikuje, zdrowie szwankuje, współodczuwacie te rzeczy. Nie da się być tak długo tylko „obok".

To jak opowiedzieć prawdę o kimś, kto staje się bliski, bez pokazywania go tylko w dobrym świetle? Kiedy opuszcza się kamerę?

Wyłączaliśmy kamerę często, ale nie wtedy, kiedy stwierdzałam, że bohaterka wypada niekorzystnie, tylko wtedy, kiedy uważałam, że film idzie w kierunku sensacyjnym. To zawsze była nasza wspólna decyzja z operatorem. Bardzo ważny był późniejszy montaż, bo na tym etapie zaangażowały się w pracę nad „Bałtykiem" osoby, które nie znały bohaterów, miały dystans. I mogły pomóc wyważyć tę historię, bo film dokumentalny to nie jest laurka. A na pewno nie powinien nią być.

A czym powinien być?

Chcieliśmy, żeby to było zderzenie naszej wizji i wrażliwości z bardzo bliską perspektywą głównej bohaterki. „Bałtyk" jest portretem kobiety, ale też ludzi wokół niej, całego uniwersum. Dla mnie najlepszym dowodem na to, że zrobiliśmy to odpowiedzialnie, był pokaz „Bałtyku", który otwierał Krakowski Festiwal Filmowy. Wtedy wszyscy, bohaterowie i cała ekipa filmowa, mogliśmy siedzieć koło siebie w jednym kinowym rzędzie, razem to celebrować. Dla wszystkich to, co pokazywano na ekranie, było w porządku.

Mówisz, że to portret kobiety: a w waszym budowaniu relacji z Miecią pomógł aspekt płci? Mimo że byłaś „gówniarą", to jednak też babą.

Bardzo pomógł i na pewno wpłynął na moje patrzenie na bohaterkę. Miecia jest ↦

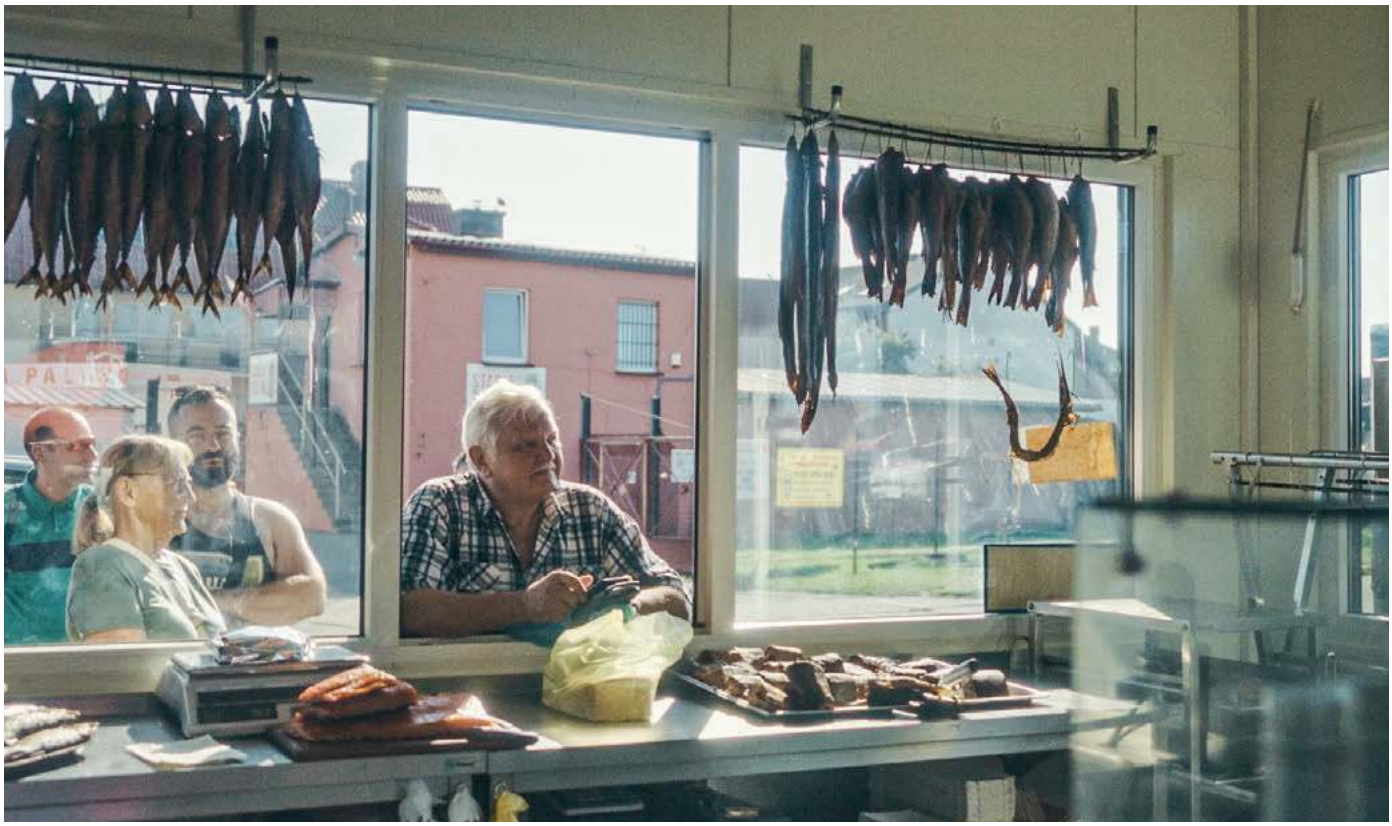

imponującą kobietą. I nie chodzi tu o jakieś wielkie słowa i czyny, ale codzienną postawę, wytrwałość w pracy, wiarę w to, co robi. Patrzyłam na nią od początku nie tylko z szacunkiem, ale też z chęcią zrozumienia i poznania recepty na to wszystko, co przede mną.

W opowieści o silnej kobiecie jest też fragment o tym, jak dać się sobie zaopiekować i odpocząć, po raz pierwszy w życiu.

Lekarz skierował Miecię do sanatorium, mogła wybrać lokalizacje. I wybrała sanatorium położone bardzo daleko od Łeby. Zapytałam ją: „Czemu? Przecież to logistycznie nie ma sensu". A pani Miecia powiedziała, że tylko duża odległość sprawi, że nie będzie wsiadać nocą do samochodu, żeby doglądać interesu.

Ostatnio podczas jednego z pokazów ktoś zadał Mieci pytanie, co ona sama wyciągnęła z filmu. Powiedziała wtedy, że zrozumiała, jak ważne jest zwolnienie i wypoczynek. Więc jeżeli mogę tutaj mówić o jakimś swoim osobistym sukcesie, to są nim te słowa.

IGA LIS:

Potrzeba powrotu do prawdziwych historii staje się coraz mocniejsza. Chropowate, zadymione filmy dobrze rezonują w świecie idealnego piękna.

Z „Bałtykiem" zrobiliście tournée po festiwalach i kinach studyjnych, przeglądach, sale były pełne. Teraz film ma oficjalną premierę kinową. Jak myślisz, skąd popularność dokumentu?

To jest po prostu bardzo ciekawe, że można zajrzeć głęboko w czyjeś życie. Ciągnie nas do tego. Ale to słowo „głęboko" jest kluczowe. Bo to nie jest podglądanie plotkarskie, sensacyjne, celebryckie, tylko forma, która pozwala zrozumieć, jakie intencje kierują ludźmi, co sprawiło, że funkcjonują na świecie tak, jak funkcjonują, dlaczego ich życie jest właśnie takie. I taką pełną opowieść, która pozwala ułożyć sobie ten świat, chcieliśmy w „Bałtyku" pokazać.

A jakie dokumenty Tobie układają świat?

Oglądam dokumenty od dziecka, co roku wyczekuję festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Mamy absolutnie niesamowitą polską szkołę dokumentu: Hanna Polak, Jacek Bławut, Marcel Łoziński, Lidia Duda, Marcin Koszałka, Wojtek Staroń – filmy tych twórców uwielbiam. Z młodszego pokolenia „Pianoforte" Kuby Piątka i „Lombard" Łukasza Kowalskiego zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Jestem też oczywiście ogromną fanką filmów Maćka Cuske i było dla mnie ważne, żeby to Maciek, ze swoim empatycznym podejściem do dokumentu i świata wokół, był opiekunem artystycznym „Bałtyku".

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

MATERIAŁY DYSTRYBUTORA SO FILMSX2

ZUZANNA WOIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Po lewej: kolejka do wędzarni pani Mieci; powyżej plaża w Łebie. Zdjęcia pochodzą z filmu dokumentalnego „Bałtyk”

IGA LIS (ur. 2000) jest reżyserką filmową, absolwentką historii na London School of Economics. Wcześniej realizowała teledyski i inne krótkie formy filmowe, a jej pierwszy pełnometrażowy film dokumentalny „Bałtyk”, wyprodukowany przez Studio Munka, otworzył Krakowski Festiwal Filmowy i 22 sierpnia wchodzi do szerokiej dystrybucji kinowej.

A ostatnio przypomniałam sobie jeden z pierwszych dokumentów, który zobaczyłam, kiedy byłam dziewczynką. To była „Zatoka delfinów” z 2009 r., opowiadająca o polowaniu na delfiny w pewnym japońskim miasteczku. Bardzo drastyczny film. Mocno zapamiętałam tę historię, pamiętam też, jak się czułam, że wzbudził we mnie złość i niezgodę na to, co widzę. Wzbudzanie emocji także powinno być zadaniem dokumentu. Obok budowania świata bardziej empatycznego, w którym jest więcej zrozumienia, a mniej oceniania.

Dokument jako odtrutka na wygładzoną filtrem rzeczywistość?

Budujące jest dla mnie, jako twórczyni na początku drogi, że takie historie: chropowate, zadymione, w dalszym ciągu rezonują w świecie idealnego piękna. A nawet rezonują bardziej. I nie chcę demonizować Instagrama czy innych platform, bo można na nich znaleźć różne formy ekspresji, ale może potrzeba resetu i powrotu do prawdziwych historii staje się mocniejsza? Każdy to teraz powtarza, że bombarduje nas przeidealizowany świat filtrów, zgadzam się z tym. Ale mimo wszystko w nim siedzimy. Ja też w nim jestem, jako użytkowniczka. Staram się być użytkowniczką odpowiedzialną, pokazywać sensowne, prawdziwe rzeczy. Ostatnio usłyszałam, że muszę mniej wrzucać do sieci informacji o filmie, a więcej lifestyle’u, bo już nikogo nie będę interesować. Więc już sama nie wiem (*śmiech*).

Portretujesz panią Miecię i to ona jest główną bohaterką Twojego filmu. Ale jest też bohater: Bałtyk.

Mój Bałtyk jest owiany nostalgią, pozytywnymi wspomnieniami, ciepłymi uczuciami.

Pamiętam, kiedy przyjeżdżałam tu jako mała dziewczynka z dziadkami do ośrodka wypoczynkowego, bawiłam się z siostrą na wietrznej plaży. Potem przyjeżdżałam z przyjaciółmi. Odwiedziłam Lubiatowo, Słajszewo, Sasino. I wtedy zafascynował mnie cykl sezonowości tych miejsc. Poznawałam je tylko w tym konkretnym czasie: tłoczne, barwne, głośne. A chciałam się dowiedzieć, jakie są pod spodem, dzięki czemu funkcjonują, kto je naprawdę tworzy.

W filmie pokazujesz dużo nadbałtyckiego folkloru.

On budzi różne emocje, chciałam go pokazać z humorem, ale nie wyśmiewać, nie szydzić. Ja sama te stragany, rejsy pirackimi statkami czy świecące, głośne karuzele szczerze kocham. Uważam, że bez nich polski Bałtyk nie byłby polskim Bałtykiem. I kiedy może to funkcjonować razem z naturą, która jest zaopiekowana, jak Słowiński Park Narodowy, to w tych kontrastach widzę siłę i autentyczność.

A co w tym sezonie słychać w wędzarni?

W Łebie jest bardzo intensywnie. Są i trudniejsze rzeczy na horyzoncie, zdrowotne, ale Miecia jest silna. Dużo też jeździła z nami po pokazach filmowych, choć nie wszędzie udało się ją wyciągnąć, a szkoda, bo gdzie tylko się pojawiała, kradła show. I mi to pasowało, być obok jej charyzmy.

Czasem ktoś pyta, jak teraz radzi sobie ze sławą wędzarni. Tłumaczę wtedy, że przecież ona jest sławną „Królową Łeby”, z którą ludzie robią sobie zdjęcia, a do wędzarni ustawiają się kolejki już od dawna. Może dziś tylko odrobinę dłuższe. A najwspanialsze jest chyba przeżycie, które przypada tym, którzy idą na „Bałtyk” do łebskiego kina Rybak. A potem mogą iść na rybę do Mieci, poczuć smak, dym i ten klimat.

A Ty na jaką rybę najchętniej wracasz?

Na makrelę oczywiście. Pani Miecia nawet wczoraj mówiła mi: „Słuchaj Iga, my to razem tak wylansowałyśmy tę makrelę”. Oczywiście ona zawsze świetnie szła w wędzarni, jak wszystko, ale teraz jest najpopularniejszą rybą sezonu. I to mnie bardzo cieszy.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

Wyrolowani

MICHAŁ WALKIEWICZ

TRENDY | Sceny filmowe pisze i kręci się tak, by skorzystali z nich twórcy rolek. Montaż stał się sztuką antycypacji naszych potrzeb. Media społecznościowe bardzo szybko zmieniają kino i widzów.

Głowę należy położyć na chłodniejszej stronie poduszki – niby oczywistość, ale często o niej zapominamy. Jeśli zasypiamy na boku, brzeg kołdry warto zagnieść w podpórkę dla smartfonu, dedykowane stojaki są drogie i nie najlepszej jakości. Odradzałbym natomiast trzymanie telefonu nad twarzą drugiej połówki. Można nabić ukochanej osobie guza albo zalać ją niebieskim światłem. Nie wiadomo, co gorsze.

Jeśli zaczniecie całą operację trzy kwadranse przed północą, jeszcze tego samego dnia zaliczycie dwa filmy Tarantino, przeczytacie i zrozumiecie „Ulissesa", weźmiecie udział w kursie czyszczenia końskich kopyt i dowiecie się, w jakiej temperaturze topnieje aluminium. Nie musicie iść do kina, szeleścić papierem, konfrontować opinii, układać sobie niczego w głowie. Po co myśleć o całości, skoro można zadowolić się cząstką.

Nasz codzienny kontakt z kulturą coraz częściej przypomina tradycyjnie definiowaną „konsumpcję", którą straszymy się w pokoleniowej sztafecie od czasów króla Ćwieczka. Najważniejsze jest tempo pochłaniania treści, porcjowanie tekstów na lekkostrawne kąski oraz ciągły dopływ nowych bodźców. Nic zatem dziwnego, że dorobek rozmaitych dziedzin sztuki jest dziś rozsmarowany po internecie tak cieniutko, że już go prawie nie widać.

Kliknij tutaj

Gdybym trzymał się zasady *decorum*, zakończyłbym tekst właśnie teraz. To, co najważniejsze, już przecież wiecie: oglądamy coraz więcej i szybciej, zaś media społecznościowe zawężają naszą optykę do tego stopnia, że wszelkie tradycyjne teksty narracyjne, jak książki czy filmy, mieszczą się w rolce, bryku, pojedynczym żarcie albo przeformatowanej na potrzeby błyskawicznego odbioru impresji. Obcowanie z kulturą zaczyna przypominać sen na jawie; to szereg mglistych wspomnień z nieprzeczytanych lektur oraz powidoków z nieobejrzanych filmów.

Jeśli jednak wciąż tu jesteście, to pewnie dlatego, że macie tak samo; że ów fragmentaryczny i chaotyczny odbiór treści trochę was uwiera, a TikTok, Instagram, X czy YouTube Shorts to (jeszcze) narzędzia oswajania codzienności, a nie czipy w korze mózgowej. Scrollowanie rolek jest w końcu formą dialogu z beznamiętnym algorytmem lub, jak stwierdziłby wasz przyjazny komputer z sąsiedztwa, wymianą danych. W nadziei na korzystny interes dzielimy się własnymi preferencjami. W zamian liczymy na skrawki filmów, gier, książek i komiksów dostosowane do naszych potrzeb.

Czy zatem taka nielinearna recepcja kultury przynosi jakieś emocjonalne bądź intelektualne korzyści? Dlaczego mówimy o degradacji pierwotnego doświadczenia, a nie o zupełnie nowych, autonomicznych tekstach, które powstają w internetowej sokowirówce? Ile muśnięć palcem potrzeba, by doscrollować się do prawdy o sztuce filmowej, o konkretnym dziele, o najważniejszej sekwencji? Chcesz wiedzieć więcej? Kliknij tutaj.

Film w dwie minuty

Pamiętacie scenę z „Matrixa", w której Neo, wybraniec mający ocalić świat przed inwazją śmiercionośnych maszyn, uczy się nowych sztuk walk w postępie geometrycznym? Wystarczy mu do tego gniazdko w głowie oraz program komputerowy, ładujący wiedzę wprost do świadomości zsynchronizowanej z pamięcią mięśniową. „Znam kung fu" – oznajmia dumnie bohater, nieświadomie sypiąc ziarno pod uprawę memów.

Kilkanaście lat później w sieci roi się od Januszów Biznesu, którzy „znają ekonomię", korporacyjnych grafików, „potrafiących w Photoshopa" oraz krytyków filmowych „znających Bergmana" (choć akurat w przypadku tego ostatniego od kolejnej retrospektywy istotnie lepsza byłaby szpryca w potylicę). Lubię tę scenę, a jeszcze bardziej podoba mi się jej dalsza popkulturowa kariera. To elegancka metafora strategii pochłaniania cyfrowych treści – zarówno tych „zrolowanych", czyli wyłączonych z szerszego kontekstu scen filmowych, cytatów literackich bądź komiksowych kadrów, jak i skondensowanych imitacji „całości doświadczenia".

Jeszcze kilka lat temu tradycja tzw. mikrotreści służyła wyłącznie rozrywce. Pozwalała zapchać czas, przegnać nudę, zatomizować naszą uwagę w sytuacjach stresu. Dziś jednak, jak pokazują rozmaite badania i sondy, zaczyna pełnić funkcję edukacyjną i poznawczą. Oldskulowe „bryki", wydawane w formie książeczek streszczenia lektur (a także, do pewnego stopnia, ich adaptacje filmowe), pełniły kiedyś podobną funkcję. Tym, co je odróżnia, jest natomiast czysto utylitarna konwencja – w ich definicje wpisane jest ostrzeżenie o „niekompletności" doznania.

Recenzje filmowe oraz wideo-eseistyka coraz częściej ustępują miejsca uproszczonym produkcjom. Wystarczy lot przez węzłowe punkty fabuły, pobieżna analiza formy i krótki odautorski komentarz. Słowem: „oglądam filmy po to, abyś ty nie musiał”.

MATERIAŁY PROMOCYJNE NETFLIX, DISNEY, AMAZON I HBO MAX

Filmy w rodzaju „Lista Schindlera w dwie i pół minuty” na YouTubie trudno postawić obok poczciwych bryków. Podobnie zresztą jak scenę tańca z „Zapachu kobiety” ilustrowaną bollywoodzkim rapem, fragment „Oppenheimera” dowodzący paradoksalności kobiecej natury albo cytaty z „Małego Księcia”, ilustrujące trudy pracy w kopalni odkrywkowej. Wszystko to niezłe żarty, ale i symptomy niebezpiecznej tendencji. Kino dla przykładu coraz częściej dostosowuje swój język pod ten „alternatywny” obieg kultury. Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o marketing. Czyli o pieniądze.

Same sceny

Materiały wypełniające internetowe „rolkownice” są ściśle powiązane z nowymi formami krytyczno-rozrywkowymi, dominującymi na TikToku, Instagramie, Facebooku czy YouTubie. Kilkunastominutowe recenzje filmowe oraz wideo-eseistyka, które jeszcze niedawno utożsamialiśmy z kulturowym zwrotem przez rufę, coraz częściej ustępują miejsca jeszcze nowocześniejszym produkcjom. Lot przez węzłowe punkty fabuły, pobieżna analiza formy i krótki odautorski komentarz są owocem eksplikowanej wprost autorskiej filozofii: „oglądam filmy po to, abyś ty nie musiał”.

Pytania o to, w jakim stopniu kontakt z rzeczoną konwencją zastępuje cały seans, daje poczucie spełnienia albo wystarczająco ugruntowuje naszą wiedzę, są w zasadzie drugorzędne. Najważniejsze, że pozwala zminimalizować FOMO, czyli w wolnym tłumaczeniu „lęk przed wypadnięciem z obiegu”. W czasach generalnej nadprodukcji bodźców nie da się przecież obejrzeć i przeczytać wszystkiego. Z kolei „przemysł kulturalny” pracuje na pełnych obrotach, by ów strach podsycać.

Na gruncie niepokoju kiełkuje potrzeba doświadczenia, tyle że zazwyczaj jest to doświadczenie zapośredniczone. Dzięki popularnym *kill counts*, czyli streszczeniom filmów grozy w formie wydestylowanych scen zabójstw, możemy odpuścić sobie fabularne „siano”. Longplaye, czyli zapisy przejścia całych gier wideo, umożliwiają „nadrobienie” produkcji, na które nie mamy czasu bądź pieniędzy. Wreszcie – seanse z symultanicznym komentarzem albo audiodeskrypcją są iluzją współuczestnictwa w społecznym rytuale bliskim wizycie w sali kinowej lub na wieczorku filmowym.

Większość podobnych formatów przypomina rozmowę z kumplem, który właśnie wrócił z kina, albo podglądanie starszego brata, który przechodzi za nas trudną grę. Dość powiedzieć, że nostalgia jest niedocenionym katalizatorem podobnych pragnień. Choć, oczywiście, rzadko staje się udziałem najmłodszego pokolenia. To ostatnie wyrosło w przeświadczeniu, że rolki i mini-recenzje to w zasadzie nowa forma sztuki. Znajomość źródłowego tekstu kultury nie pomaga i nie szkodzi w konsumpcji.

Żeby była jasność: widzę w tym szansę dla krytyki filmowej. Choćby dlatego, że od kilku dekad ulega ona procesowi egalitaryzacji, co w dobie generalnego kryzysu zaufania do mediów jest dobrą wiadomością (tak, zdaję sobie sprawę, że strzelam do swojej bramki). Wolałbym natomiast, żeby nowa tiktokowa i youtube'owa krytyka wznosiła się na nieco solidniejszych filarach niż cynizm i lenistwo. Przeświadczenie, że ludzie cierpią na tak zaawansowane FOMO, że łykną wszystko, może i jest słuszne. Ale nie jest powodem, żeby ↦

↦ oferować pośledni produkt. Zaś póki co większość „mikrotreści" jest raczej świadectwem przedsiębiorczości niż pomysłowości.

Miejsce na oddech

Na pierwszy rzut oka zjawisko tzw. doomscrollingu wydaje się w tym kontekście odległe. To wirowanie w leju negatywnych informacji – w myśl zasady, że nie ma takiej tragedii, której nie dałoby się unieważnić większą tragedią. Klęski żywiołowe, doniesienia o politycznych turbulencjach, przestępstwa, napięcia rasowe, rozmaite społeczne fobie... Im częściej skupiamy na nich swoją uwagę, tym chętniej algorytm ciągnie nas za rękaw w stronę otchłani.

Rzeczona praktyka ugruntowuje nas w przekonaniu, że rzeczywistość jest nieprzenikniona; że rządzą nią siły, których nie jesteśmy w stanie pojąć; że nie ma w niej miejsca na oddech i spokój. Strach rodzi ciekawość, ta z kolei wzmacnia strach. Jedynym wyjściem są dalsze poszukiwania coraz gorszych wiadomości, które błyskawicznie zamieniają się w nawyk.

Mechanizm utrwalania tegoż nawyku łączy *doomscrolling* z dryfowaniem wśród pozbawionych kontekstu skrawków kultury. I jednej, i drugiej praktyce oddajemy się najczęściej w chwilach, gdy nasz organizm jest najmniej odporny na skondensowany strumień informacji. Wieczorami, tuż przed snem, w chwilach energetycznego zjazdu, gdy nasz detektor głupot pozostaje w trybie uśpienia. Dawka dopaminy jest niewielka, zaś wrażenie sytości, które kojarzymy z „analogowym" seansem, ustępuje miejsca zmęczeniu.

Nie bez powodu na alarm biją naukowcy i lekarze: nałogowa konsumpcja „rolek" – bez względu na ich charakter – może powodować zaburzenia snu i widzenia, prowadzić do napięć mięśniowych i pogłębienia stresu, a także całkowicie rozregulować zegar biologiczny. To już lepiej liczyć owce.

Uwaga to nowe złoto

W normalnych okolicznościach wrzuciłbym to wszystko do kuferka z totemami współczesności i odpalił rolkę z misiem, rzucającym szyszką w bohaterkę „La Strady". Utyskiwanie na coraz niższy poziom skupienia i uważności w społeczeństwie oraz na coraz bardziej skondensowane formy popkulturowe to przecież stara pieśń. Okoliczności nie są jednak normalne, skoro na naszych oczach powstaje popkulturowe sprzężenie zwrotne.

Pal licho rozmaite strategie producentów oraz dystrybutorów filmowych, którzy korzystają z dobrodziejstw mediów społecznościowych w celach promocji swoich towarów – marketing rządzi się swoimi prawami i jest z tej dyskusji w zasadzie wyłączony. Gorszą wiadomością jest natomiast artystyczny zwrot w stronę tego języka.

Dla przykładu średnio- i wysokobudżetowe hollywoodzkie kino coraz śmielej korzysta z technik tzw. engagement farmingu, czyli zaprzęgania środków artystycznych w służbę potencjalnej „interaktywności" w mediach społecznościowych. Sceny pisze i kręci się tak, by kiedyś skorzystali z nich twórcy rolek, a montaż stał się sztuką antycypacji trendów i potrzeb. Na przestrzeni ostatnich dwóch dekad da się również odnotować wyraźną tendencję do skracania ujęć (oczywiście z wyjątkami potwierdzającymi regułę), a także maksymalizacji wątków, popkulturowych referencji oraz meta-narracji.

„Jaki jest dziś najcenniejszy towar na świecie?" – pyta w tekście o znamiennym tytule „*Is the rise of reel-films killing or creating a new form of cinema?*" bollywoodzki scenarzysta Satyen K. Bordoloi. „Czy jest to złoto? A może diamenty? Ropa? Dane? Nie! Najbardziej pożądanym dobrem jest dziś twoja uwaga. Wejdź w ustawienia w swoim telefonie i zobacz, ile powiadomień pojawia się każdego dnia. Ile podmiotów walczy o twoją uwagę".

Skoro uwaga jest tak cenną walutą, to czy istnieje sposób, by wydawać ją mądrze i z korzyścią? Wydaje mi się, że jedynym sensownym wyjściem z tej sytuacji jest aktywne uczestnictwo w kulturze remiksu. Jeśli nie w charakterze twórcy, który żongluje elementami cudzej twórczości w celu stworzenia nowego tekstu, to przynajmniej jako jej świadomy odbiorca. Dobra wiadomość: sięganie po filmy bądź książki, które znacie z rolek, wytworzy naturalną barierę ochronną przed agresywną współczesnością. Zła: trzeba będzie trochę poczytać. I pooglądać.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Metale szlachetne

BARTEK DOBROCH

MUZYKA | W ostatnich latach wiele kapel zaczęło łączyć progresywny metal z ekoprzekazem. Także francuska Gojira muzyczne zaangażowanie przekłada na proekologiczny aktywizm.

Większość ludzi dowiedziała się o istnieniu Gojiry dopiero w ubiegłym roku. 26 lipca 2024 r. niebo nad Paryżem spowijały ciemnoszare chmury. Mimo że przypominały rewolucyjny dym, zapowiadały jedynie obfite strugi deszczu, w których – podczas odbywającej się na Se-

KATJA OGRIN / REDFERNS / GETTY IMAGES

Koncert Gojira.
Nottingham, 21 lutego 2023 r.

kwanie i jej brzegach ceremonii otwarcia XXXIII Letnich Igrzysk Olimpijskich – mokli artyści i sportowcy.

Szczęśliwie ulewa nie zdążyła zakłócić trzyminutowego muzycznego widowiska, do którego wprowadzała widzów makabrycznie ożywiona postać ściętej Marii Antoniny. A także słowa rewolucyjnej pieśni „Ah! Ça ira!", w utrwalonej w toku rewolucji agresywnej wersji i współczesnej kompozycji Victora Le Masne'a.

Dla sportu

Czwórka muzyków na platformach zawieszonych w oknach Conciergerie (dawnego pałacu królewskiego podczas rewolucji zamienionego w więzienie m.in. dla królowej) grała jej metalową interpretację. Ścianę gitar, perkusji i chropowatego głosu Joego Duplantiera przełamywał wyrazisty, kojący mezzosopran śpiewaczki Mariny Viotti.

Nie był to ani pierwszy, ani też najbardziej dobitny przykład mariażu muzyki metalowej z operową. Mają one ze sobą, wbrew pozorom, wiele wspólnego. Słychać to nie tylko w symfonicznych podgatunkach metalu wykorzystujących podobne struktury kompozycyjne, rozbudowane o orkiestrę i chór, a często nawet operowy kobiecy wokal. Także w pozamuzycznej warstwie: teatralności i koturnowości metalu, jego emocjonalnej intensywności i patosie oraz zakorzenionej w mitach i historii tematyce wielkich namiętności, śmierci i transcendencji.

Występ francuskiego zespołu będący debiutem metalu nie tylko na olimpijskich ceremoniach, ale w ogóle na tego typu imprezie o globalnym zasięgu (wyjątkiem był występ Black Sabbath podczas kilkunastogodzinnego koncertu Live Aid w 1985 r.), był nie tylko cezurą w historii zespołu, ale też historycznym momentem dla całej muzyki metalowej rzadko trafiającej poza stałe grono odbiorców.

Śmiało można powiedzieć, że francuskiej grupie i pomysłodawcom zaproszenia jej na otwarcie igrzysk metal zawdzięcza najszerszą ekspozycję tego gatunku i największą liczbę widzów i słuchaczy w jego nieco ponad półwiecznej historii. Trafił pod strzechy nie tylko metaforyczne, ale całkiem dosłownie, bo to jedna z nielicznych globalnych transmisji oglądanych także tam, gdzie domy nadal kryje się trzciną, słomą lub liśćmi.

Pod słońcem

Jednak, choć to igrzyska sprawiły, że Gojira osiągnęła rozpoznawalność na miarę zespołów z przypadającej na lata 80. złotej ery metalu, to nie krótka w formie, skrojona pod okazję, podniosła i okraszona operą „Mea culpa", nagrodzona później Grammy (w kategorii Best Metal Performance) i zagrana w towarzystwie Viotti także na pożegnalnym koncercie Ozzy'ego Osbourne'a i Black Sabbath w Birmingham, jest reprezentatywną próbką ich stylu muzycznego i manifestem wyrażanych w treściach utworów poglądów i zainteresowań.

Muzyczne początki Joego Duplantiera (właściwie Josepha), jego młodszego o pięć lat brata Mario oraz poznanego w szkole Christiana Andreu to powtarzalna historia setek nastoletnich zespołów zafascynowanych wpierw Metallicą, a z czasem porzucających thrashową miłość na skutek zauroczenia deathmetalowym ciężarem i mrokiem (w tym prekursorską grupą Death).

Do tego wszystkiego nie pasuje jedynie miejsce akcji: słoneczna Akwitania i spokojne, małomiasteczkowe Ondres, przedmieścia Bajonny, dla których porzucili Paryż rodzice braci: francuski artysta malarz, architekt i Amerykanka azorskiego pochodzenia, nauczycielka jogi.

Bracia dorastali zaledwie trzy kilometry od plaży i oceanu, którego pokaźne na tamtym wybrzeżu fale będą miały na twórczość przyszłego zespołu niebagatelny wpływ. Najlepsze we Francji miejsce, by zostać nie metalowcem, ale surferem, co zresztą muzycy, zwłaszcza młodszy z braci, Mario, starali się pasjami łączyć. W domu było pełno muzyki: Chopin i Mozart, Ravi Shankar i Edith Piaf, pop i blues.

Z natury

Z początku nazwali się Godzilla w nawiązaniu do japońskiego potwora z głębin, ucieleśnienia powojennych traum i lęków przed atomową zagładą. Gdy okazało się, że nazwa zamiast sukcesu zwiastuje procesy z wszechmogącymi właścicielami praw do monstrualnej globalnej marki, zmienili ją na zgodną z filmowym oryginałem japońską zbitkę dwóch słów: *gorira* (goryl) i *kujira* (wieloryb). Trudno o lepszą ↦

nazwę dla zespołu, który cechowały (nad)oceaniczna geneza, brutalna muzyczna siła z przypominającym ryki bestii growlem i dychotomiczna fascynacja tym, co zarówno pierwotne, jak popkulturowe.

Ten, nazwijmy go, „muzyczny brutalizm" – z riffami ciosanymi jak marmur z Carrary, konstrukcyjną precyzją, surową produkcją – dominował na pierwszych płytach zespołu. Od początku jednak ekstremalnej muzycznej formie towarzyszyło humanistyczne przesłanie. Choć potrzeba było kolejnego kroku, by wybrzmiało ono szerzej i wyraźniej. Monstrum musiało nieco złagodnieć, zostać oswojone, zacząć przemawiać nieco bardziej melodyjnym groovemetalowym dźwiękiem i ludzkim głosem, nie rezygnując jednak z krzyku wyrażającego gniew wobec ludzkości. Przełomowa płyta nie była jednak kompromisem, ale ewolucją. Już tytuł „From Mars to Sirius" (2005) mówił o potrzebie globalnej transformacji. „Mars jest bogiem wojny, Syriusz reprezentuje nadzieję, emanuje bardziej kobiecą energią", „Joe chciał rozwinąć ideę, że ludzkość mogłaby wyruszyć w podróż ku lepszej przyszłości, odchodząc od energii wojny i osiągając bardziej duchowy stan świadomości" – wyjaśniali bracia w jednym z wywiadów.

A przecież Mars jest też symbolem kosmicznych aspiracji ludzkości, podróży do „innego świata", często wobec wizji zniszczenia naszego. Niejako w opozycji do Syriusza, który jako najjaśniejsza z gwiazd bywał w wierzeniach ludzi kosmiczną kolebką ludzkości. W „Global Warming" pierwotne wierzenia i kosmiczne pochodzenie życia tworzą punkt wyjścia do refleksji nad losem Ziemi i człowieka, który niszczy naturę, ale sam jest poddanym zarówno twórczych, jak i niszczycielskich kosmicznych sił.

Pesymistyczna wizja z początków wydanej w 2005 r. płyty z „oceaniczną planetą w płomieniach", „tonącym ludzkim okrętem" pośród wymierających gatunków („Flying Whales") zostaje ugaszona finalną nutą optymizmu („miałem ten sen, nasza planeta przetrwała... będziemy patrzeć, jak nasze dzieci dorastają").

Do korzeni

Oczywiście Francuzi nie są prekursorami ekologicznego przekazu w muzyce, jakże niesłusznie wobec tych wątków nazywanej rozrywkową. Nie byli nimi nawet surferzy znad innego oceanu, czyli The Beach Boys, gdy w przekornym „Don't Go Near The Water" mówili o zanieczyszczeniu mórz. Przed nimi bowiem już w latach 50. Pete Seeger pisał piosenki o ochronie środowiska i zanieczyszczeniu rzeki Hudson, czym przyczynił się do powołania ruchu Clearwater.

PL GOULD / IMAGES / GETTY IMAGES)

Pete Seeger, 1965 r.

Już w latach 50. **Amerykanin Pete Seeger pisał piosenki o ochronie środowiska** i zanieczyszczeniu rzeki Hudson, czym przyczynił się do powołania ruchu Clearwater.

Praojciec heavy metalu Ozzy Osbourne z Black Sabbath snuł w „Into The Void" katastroficzną wizję zniszczenia Ziemi i wyobrażał sobie bojowników wysłanych w stronę gwiazd, by znaleźć „inny świat, gdzie czeka wolność". Czy „Another World" Gojiry nie jest tu bezpośrednią inspiracją? Z apokaliptycznym rysunkowym teledyskiem przywołującym z kolei na myśl ten z „Do The Evolution" Pearl Jamu, zespołu kolejnego ekosurfera, Eddiego Veddera.

Podobnie Tool antycypujący w 1996 r. w „Ænemie" katastrofę klimatyczną wizją Matki Natury spłukującej zepsuty świat niczym toaletę. Nie mówiąc już o brazylijskiej Sepulturze z jej wydanym w tym samym czasie – roku narodzin muzycznej Godzilli – organicznym powrotem do tytułowych korzeni na płycie „Roots", której główne wątki z protestem przeciw wycince lasów, ochroną amazońskiego środowiska i praw zamieszkujących je rdzennych mieszkańców Gojira kontynuowała m.in. w „Amazonii". Tematyka praw człowieka pojawia się na niej także w bezkompromisowym odniesieniu do poddanych kulturowemu apartheidowi i wygnanych ze swojej ziemi Tybetańczyków.

Na pożegnanie

Gojira nie jest jednak tematycznym epigonem swoich metalowych ojców chrzestnych. Dzięki umieszczeniu tematyki ekologiczno-społecznej w centralnym punkcie swoich zainteresowań zasługuje na miejsce w osobnym muzycznym zbiorze, który można nazwać enviromental metal – „metalem środowiskowym", w którego duchu w pierwszym ćwierćwieczu XXI w. wiele kapel zaczęło łączyć progresywny metal z ekoprzekazem. Ich muzyczne zaangażowanie przekłada się na aktywizm – choćby akcje charytatywne na rzecz Amazonii i jej mieszkańców czy wsparcie dla walczącej z kłusownictwem morskim Sea Shepherds.

Ale otwarta na przemiany Gojira potrafiła odłożyć też na bok lejtmotywy swojej twórczości. Nagrania płyty „Magma" (2016) przerwała śmierć matki Joego i Maria. Powrót do studia nosił piętno synowskiego bólu i wpłynął na powstanie najbardziej emocjonalnego, osobistego albumu. Nie byli zresztą pierwszymi metalowymi braćmi, którzy za sprawą muzyki przepracowywali śmierć.

W Polsce zespół ma duże grono fanów, o czym świadczy już szesnaście koncertów, granych zarówno w małych studenckich klubach, jak i po dużych festiwalach, jak Pol'and'Rock czy metalowy Mystic. We wtorek 19 sierpnia Gojira zagrała w krakowskiej Tauron Arenie. A za rok zobaczymy ją na Stadionie Śląskim przed nieodmiennie najpopularniejszą w muzycznej wadze ciężkiej grupą Metallica.

©℗ BARTEK DOBROCH

▪ *Ronald Firbank*
SMUTEK W TROPIKACH
tłum. Andrzej Sosnowski, Ossolineum

„Pierwszym obowiązkiem w życiu jest być tak bardzo sztucznym, jak to tylko możliwe" – napisał w „Upadku sztuki kłamstwa" Oscar Wilde. „Smutek w tropikach" Ronalda Firbanka potwierdza powyższą sentencję, przenosząc ją na grunt literatury. Epatowanie sztucznością jest w tej powieści nie tylko źródłem estetycznej przyjemności, ale też szkołą pisarskiej swobody.

Książkę można streścić w dwóch zdaniach: oto rodzina rdzennych mieszkańców tropikalnej wyspy wyrusza ze wsi Mediaville do feerycznej stolicy Cuna-Cuna, gdzie prym wiodą kręgi angielskich kolonizatorów. Fabuła osnuta jest wokół nieudolnych prób przebicia się bohaterów do wyższych sfer i ustanowienia swojej pozycji w hierarchicznym społeczeństwie. Kwestie społeczne niewiele jednak Firbanka interesują. Albo inaczej: autor przekonuje, że o rzeczach poważnych należy mówić frywolnie, pilnując świętej dla modernizmu autonomii literatury.

W tym formalnym szaleństwie jest metoda oraz dyscyplina. Wystarczy dać się ponieść wymyślnym konstelacjom estetyzowanych przedstawień i otworzyć na cukierkową nieważkość, aby dostrzec wyzwalający potencjał tej prozy. Firbank to pisarz orzeźwiającej nonszalancji i wielbiciel rubasznego humoru. Stylistyczna ekstrawagancja odsłania z kolei konwencjonalność form literackich i sieci kulturowych praktyk. Nietrudno umieścić angielskiego pisarza w konstelacji, której centrum stanowi gwiazda Wilde'a. Dalej można ją poszerzyć o innego estetę – Raymonda Roussela. Za to kokieteryjność i skłonność do hucpy mogą kojarzyć się z Robertem Walserem. Szwajcarski prozaik pokazał przecież, że literatura powinna być lekka za wszelką cenę (niezależnie od wagi tematu).

Bliska jest mi intuicja Andrzeja Sosnowskiego, ostrzegającego przed prostą klasyfikacją pisarstwa Firbanka (kamp, queer, postkolonializm). Poeta i tłumacz akcentuje samozwrotność tego projektu literackiego, który konsekwentnie stroni od powagi. Jeśli więc odrzucimy oficjalne powinności, konwencje i ideologie, pozostanie nam radość z prozy, która błyszczy „jak posadzka ze srebrnego szkła obsypana białymi żaglami". © OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

▪ *Paweł Mączewski*
WRELIGION
wyd. niezależne

CM Punk, jeden z najznamienitszych wrestlerów w historii, stwierdził niegdyś, że wrestling i komiks to nieliczne dziedziny sztuki, jakie Stany Zjednoczone dały światu. Zapewne dlatego organicznie się ze sobą łączą, czego kilka lat temu dowiódł Łukasz Kowalczuk we „Vreckless Vrestlers" i „Tylko wrestling jest prawdziwy". Paweł Mączewski, który przejął po nim schedę popularyzatora tejże „rozrywki sportowej", we „WREligion" złożył hołd wolnoamerykance oraz popkulturze lat 80. i 90., uosabianej przez hardych superbohaterów i zabijaków rodem z VHS. Debiutancki zeszyt Mączewskiego jest zapisem ostatniej walki zapaśniczej w historii ludzkości: wyrosły ze slumsów Pablito Ramon chwyta się za bary z zamaskowanym demonem Ripem Razorem; stawką jest nie tylko pas mistrzowski Violent World Wrestling, lecz także przyszłość dyscypliny. Mączewski z polotem obrazuje brutalne starcie, odwołując się do pulpowej estetyki – jego kreska rozpościera się między groteskowymi ilustracjami Simona Bisleya a estetyką produkcji firmowanych np. nazwiskiem Schwarzeneggera, takich jak film „Uciekinier". „WREligion" jest jednak nie tyle opowieścią o samym wrestlingu, ile świecie, w którym jedyną zasadą jest brak zasad. Debiutant przeplata krwawy pojedynek medialnymi doniesieniami, obrazującymi społeczeństwo pogrążone w anomii. Choć to komiks zasadzający się na przesadzie, trudno nie odnieść wrażenia, że rzeczywiście „innego końca świata nie będzie". © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ *Radosław Kobierski*
CZŁOWIEK MA CIENKIE ŚCIANY
Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej

Dobra książka poetycka jest jednym z najbardziej precyzyjnych przyrządów badania nieustającego kołowrotu myśli. W zderzeniu ze zwięzłością wersów i porządkiem strof to, co niezbornie lata nam po głowie, podczas lektury wiersza potrafi się nieznośnie rozszaleć, jak stado dzikich os. Moment zamętu dobrze jest po prostu przeczekać. Oszołomienie powoli mija, ustępując miejsca przyjemnej jasności. Osy odlatują. Tak działa przynajmniej najnowszy tom wierszy Radosława Kobierskiego – poety, prozaika, felietonisty miesięcznika „Śląsk". Wydany w Katowicach tomik ma wiele wspólnego z ostatnią książką prozatorską pisarza, zbiorem opowiadań „Na wulkanie": podejmuje bowiem wątek budowania, a właściwie urządzania się w krajobrazie i historii Dolnego Śląska. Pojawiają się tu zarówno przemyślenia związane z posiadaniem własnego kawałka ziemi (i związanych z tym wycieczek do Ikei), obserwacje nowych sąsiadów, a także liczne gry skojarzeń z tytułowymi „ścianami". Nie chodzi w tych tekstach wyłącznie o mury, płoty i zagrody, ale też o przeszkody, które pojawiają się w relacjach międzyludzkich. Znajdziemy tu wreszcie wiersze o ścianach najcieńszych, choć najistotniejszych, bo utrzymujących nas w jednym kawałku – ścianach komórkowych. Kobierski schodzi w swoich obserwacjach życia najgłębiej jak się da, pokazując, że ostatecznie jesteśmy tylko „wodą, przez którą przechodzi czas". ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

MATERIAŁY PRASOWE X3

Mąż na godziny

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Twórcy „Pawia zwyczajnego" nie idą tropem wielkich Austriaków. Ten film urzeka lekkością i płytko zaszytym ładunkiem humoru.

MATERIAŁY PRASOWE

MY GRAMY W PRAWDZIWYM ŻYCIU – tłumaczy nowemu kandydatowi Matthias podczas rekrutacji. Jego agencja wynajmuje klientom podstawianych partnerów życiowych czy bliskich krewnych i nie mniej od zdolności aktorskich liczą się tak zwane miękkie kompetencje. Bo żeby dobrze odegrać rolę, zwłaszcza na forum publicznym, trzeba właściwie rozpoznać potrzeby zleceniodawcy. Z wyczuciem wcielić się w wymarzonego tatę pilota przed szkolną klasą, wziąć udział w wyśrubowanym castingu, udając wzorowego sublokatora, albo wystąpić jako muzyczny erudyta podczas snobistycznego wieczorku melomana.

Tylko jak taki Matthias, zbierający dotąd najlepsze opinie wśród klientów, może choć przez chwilę poczuć się autentycznie w swoim własnym życiu? I jeszcze tak być odbierany? Komedia „Paw zwyczajny" niby nie mówi niczego nowego o naszych czasach, rządzonych przez jedną wielką ściemę, ale przynajmniej sama niczego więcej przed nami nie udaje.

Austriacki debiutant Bernhard Wenger jest wolny od złudzeń – nawet bez technologii deep fake'ów coraz trudniej będzie uwierzyć w to, co widzimy. I na odwrót: nawet mając świadomość, że prawie wszystko dziś można sfabrykować, i tak będziemy potrzebować iluzji. Przede wszystkim obrazów życia doskonałego kreowanych na użytek zewnętrzny, a media społecznościowe tego nie załatwią, bo kiedyś trzeba się pokazać w realu.

Właśnie wtedy wkracza do akcji wyspecjalizowana wiedeńska agencja, która oferuje coś więcej niż osoby do towarzystwa. Można tu zamówić doraźne wcielenie idealnego syna czy reprezentacyjnego kochanka, z którym nie da się co prawda pójść do łóżka, bo regulamin na to nie pozwala, lecz można przynajmniej, za grube pieniądze, zrobić wrażenie na gościach. Co poszło nie tak z tymi prawdziwymi dziećmi, rodzicami, kochankami, pozostaje w sferze domysłów.

A branża „usługi dla ludności", zwłaszcza w sektorze premium, nie znosi próżni. W „Alpach" (2011) Yórgosa Lánthimosa pracownicy tytułowej firmy wcielali się w osoby zmarłe, ażeby pomóc w przepracowaniu żałoby. Sam motyw udawania kogoś bliskiego przed czyjąś rodziną, zwłaszcza podczas uroczystych spędów, bywał wykorzystywany w wielu filmach. Tutaj uderza przede wszystkim totalne urynkowienie intymnych ludzkich potrzeb, wypełnienie każdej życiowej niszy profesjonalną ofertą, niczym luksusowy weekend z jogą czy chińska gimnastyka na golasa.

Jeśli czujesz się samotny, wypożycz z dostawą katalogowego psa (zawsze można go zamienić na inny model), a przed trudną rozmową opłać próbę generalną z udziałem superfachowca. Gra go zresztą Albrecht Schuch, niemiecki gwiazdor znany z iście kameleonowych przeistoczeń, by wymienić role w „Berlin Alexanderplatz", „Na Zachodzie bez mian" czy w „Błędzie systemu". Jego wymuskany bohater z modnym wąsikiem zrazu doskonale funkcjonuje w swoich udawanych życiach, w nowocześnie urządzonej willi i równie sterylnym związku. Aż któregoś dnia cały system po prostu się wykrzacza. Stoi za tym nieprzewidziany „czynnik ludzki": zniecierpliwiona ciągłą ustawką partnerka Matthiasa lub gniewny staruszek, który chciałby odzyskać żonę całkowicie odmienioną przez szkolenia z asertywności.

W „Pawiu zwyczajnym" wiele jest figur zbyt dosłownych, włącznie z tytułowym ptakiem, lecz austriacki reżyser porusza się z wdziękiem po tym groteskowym świecie atrap, przebieranek, gotowych tekstów i pokazowych zachowań. Płaskie, statyczne zdjęcia Albina Wildnera korespondują z płaskością tego świata. Wszystko to sprawia zrazu odpychające wrażenie, ale zarówno kreacja Schucha, jak i scenariusz Wengera skutecznie uczłowieczają postać „chorego na siebie" Matthiasa.

Nie znamy jego przeszłości (niedoszłego psychologa?, aktora?), widzimy jednak jak na dłoni wszystkie jego społeczne czy emocjonalne deficyty. Szczególnie obsesję kontroli i podejrzliwy stosunek do rzeczywistości. Bo przecież wszystko jest teatrem życia codziennego – zwykły podryw, pierwsza randka, seks, a każdy przejaw bohaterstwa może być zwyczajną pokazówką. Zwłaszcza dla kogoś, kto nieustannie coś performuje.

Urodzony w Salzburgu Bernhard Wenger nie próbuje być Thomasem Bernhardem kina ani tym bardziej filmowym Mozartem. Mimo krytycznego pazura nie stroi się w pawie pióra i nie idzie tropem innych wielkich Austriaków w rodzaju Ulricha Seidla czy Michaela Hanekego. Odróżnia go od nich, oczywiście poza skromniejszym doświadczeniem, przede wszystkim dużo większa lekkość i płycej zaszyty ładunek humoru.

Bez wątpienia z pierwszym łączy Wengera grająca klientkę Verę aktorka Maria

PAW ZWYCZAJNY
(Pfau – Bin ich echt?) – reż. Bernhard Wenger. Prod. Austria 2024. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 22 sierpnia.

Bernhard Wenger to młody austriacki reżyser i scenarzysta. Już tytuły jego filmów krótkich („Przepraszam, szukam stołu do ping-ponga oraz mojej dziewczyny", „Zarejestrowane przez kamerę pogodową") zdradzają zamiłowanie do absurdu i formalnych eksperymentów. Pełnometrażowy debiut „Paw zwyczajny" miał premierę podczas Tygodnia Krytyki na zeszłorocznym festiwalu w Wenecji.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Paw zwyczajny"

Hofstätter, znana z wielu filmów Seidla. A wnętrze podmiejskiego domu jej bohaterki, pełne ciężkich mebli i myśliwskich trofeów, jako żywo przypomina mroczne domy i piwnice z lubością odtwarzane przez reżysera „Safari". Tyle że Wenger nie jest w swoich diagnozach aż tak okrutny. Daje szansę i przykremu staruszkowi, który zbierał poroża i zdominował swoją żonę, i Matthiasowi, którego zaczęło niszczyć zbyt mechaniczne dopasowywanie się do czyichś oczekiwań (dwie jakże różne sceny w restauracji są świetną ilustracją zachodzącej w bohaterze przemiany). W pewnym momencie już nawet jego wirtualna asystentka głosowa przestaje go rozumieć. Błaha komedia o zawodowym udawaczu zamienia się w tragikomedię o kimś, kto nawet kiedy nie udaje, wypada nieprawdziwie.

Reżyser nie odpuszcza jedynie zepsutym bogaczom, jako że prawdę emocji, także tych gwałtownych, stawia wyżej niż fałszywą, sztucznie uładzoną grzeczność. Dlatego „Paw zwyczajny" bywa chętnie porównywany do kina Rubena Östlunda, przede wszystkim ze względu na kulminacyjną scenę przyjęcia wzorowaną prawdopodobnie na „The Square" (2008). Poza tym nie raz się tu dostaje wyrafinowanym konsumentom kultury wysokiej czy markowego dizajnu. Ale Wenger stara się ocieplić swoją satyrę i zamiast pogrążać bohatera, pozwala mu wejrzeć w samego siebie.

Rok temu na festiwalu w Wenecji film dostał pozaregulaminową nagrodę włoskiej fundacji FAI, promującą ukazywanie związków człowieka z jego pracą i środowiskiem. Choć przecież jest to film nie tylko o tym, że należy troszczyć się o psychiczną higienę podczas odgrywania codziennych ról służbowych. Również poza pracą, podobnie jak w omawianym tu niedawno „Życiu Chucka", warto wykonać czasem jakiś mniej oczywisty performens. ©

Lektor:
Jedno bogate życie

▪ *Edna O'Brien*
IRLANDZKA DZIEWCZYNA
Przełożyła Martyna Tomczak. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 396. Seria Nowa Klasyka.

Jej nazwisko pojawiało się na bukmacherskich listach kandydatów do Nobla. W Polsce nie miała dotąd szczęścia, choć wydano kilka jej książek – może dlatego, że wydane były wyjątkowo tandetnie?

W Irlandii Edna O'Brien (1930-2024) przeszła długą drogę: od gorszycielki potępianej z kazalnic, której pierwszą powieść zatrzymała cenzura z powodów obyczajowych, po członkinię Aosdána, akademii artystycznej pod państwowym patronatem, wyróżnioną dodatkowo honorowym tytułem Saoi. Jej twórczość miała wpływ na zmianę sytuacji kobiet w konserwatywnym społeczeństwie irlandzkim, choć ona sama większość życia spędziła, jak uwielbiany przez nią Joyce, poza krajem. A temat ostatniej swojej powieści, „Girl" (2019), zaczerpnęła z tragicznych wydarzeń w... Nigerii, gdzie terroryści islamscy z Boko Haram uprowadzili blisko 300 uczennic.

Autobiograficzną „Irlandzką dziewczynę" zaczęła pisać w siedemdziesiątym ósmym roku życia. To fascynująca podróż w czasie, od dzieciństwa na irlandzkiej prowincji, w wiejskiej scenerii niebywale sensualnie zapamiętanej i oddanej, po ostatnią wizytę w zrujnowanym domu rodzinnym w hrabstwie Clare. A po drodze – rodzinna psychomachia, szkoła zakonna, historia nieudanego małżeństwa i rozwodowej batalii, Dublin, Belfast i krwawy irlandzki konflikt, Londyn, Nowy Jork, życie międzynarodowej socjety (gęsto tu od sławnych nazwisk), romanse i kryzysy, terapia u R.D. Lainga i trip po LSD... O relacjach z rodzicami pisze O'Brien nie oszczędzając ani ich, ani siebie. O synach – z wyczuwalnym poczuciem winy. „Właściwe stanowisko pisarza oznacza pisanie prawdy bez względu na opinię publiczną czy zdanie jakiejś koterii" – mówiła O'Brien Philipowi Rothowi w rozmowie z 1984 r. Roth autorkę „Irlandzkiej dziewczyny" bardzo cenił i umieścił tę rozmowę w tomie, w którym są też m.in. Primo Levi, Icchok Baszewis Singer i Milan Kundera.

W epizodzie nowojorskim pojawia się zaprzyjaźniona z autorką Jacqueline Kennedy-Onassis. „Kiedyś – pisze O'Brien – wysłałam jej »Martwą naturę z wędzidłem« Zbigniewa Herberta (...) Tego samego wieczoru napisała trzystronicowy list pełen zachwytów nad polskim poetą". Wspominając zaś południe Włoch i wizytę we włoskiej willi Gore Vidala, O'Brien cytuje prozę Herlinga-Grudzińskiego. To tak dla zachęty dla miłośników poloników – choć dodatkowa zachęta chyba niepotrzebna. ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Koszt przeżycia

Pięćdziesiąt sześć kropka trzydzieści: to będzie wypisane w piekle na baraku, w którym barmańska brać i siostrzeństwo cierpieć będzie srogie kary za te wszystkie dusze, któreśmy sprowadzili na złą drogę. Taki kod nosi w urzędowej klasyfikacji wszechświata i okolic czynność podawania napojów. I nie wątpię, że siły szatańskie korzystają z tych oznaczeń, by ułatwić sobie zaszeregowanie naszych grzechów, albowiem tradycyjna lista tych siedmiu głównych pozostaje niewystarczająca w obliczu tego, czego rodzaj ludzki był w stanie dokonać po spuszczeniu z rajskiej smyczy.

Ilekroć musiałem z racji swoich zajęć i projektów zanurzyć się w gąszczu tabel PKD, klękałem na widok tytanicznego trudu anonimowych osób skrytych gdzieś w gmachu GUS, opasujących zmienne ludzkie sprawy sztywną taśmą działów. Działają czasem jak demiurg, stwarzający nowe byty, albo stróż wymarłych słów i tradycji. Oto jeśli szukać dla mnie miejsca w odpowiedniej tabeli, to pracuję w tawernie, albowiem nie ma na liście placówek nazywanych, zgodnie z obecną modą, wine-barami. Szkoda tylko, że przy krakowskim nabrzeżu dla wycieczkowych stateczków nie zmieściłby się okręt z pięćdziesięcioma armatami, którego wyglądała Jenny z portowej spelunki u Brechta. Tylko tacy piraci zrobiliby porządek z naszym miastem w szczycie sezonu.

A gdybym chciał się bronić przed karą, twierdząc, że wiele osób znalazło dzięki mnie pociechę, radość albo na moment pokonało kompleksy, płacąc ułamek tego, co trzeba dziś wydać na terapię bądź byle zabieg plastyczny? Cóż, szale wagi jeszcze się bujają. Podobnych wątpliwości zdaje się za to nie mieć opinia publiczna. Jak wiemy, ostrze jej oburzu trafiło właśnie na branżę gastronomiczną i hotelarską za to, w jaki sposób zamierzała wykorzystać przyznaną jej pulę pieniędzy z funduszu przeznaczonego na odbudowę gospodarek po wstrząsie pandemicznym.

Na pewno z żadnych połajanek się nie dowiecie, czy stopień nadużyć przy ocenie wniosków złożonych przez restauracje i hotele był znacząco większy niż przy każdym dużym programie dotacji, subwencji i wszelkiego „wsparcia". To wilcze prawo polityków opozycji, by każdy kamień, jaki się nawinie, cisnąć w rząd, tyle że często, gdyby spojrzeć na kontekst, słychać ledwie szelest drobnego żwirku. Część z opisywanych przypadków wygląda jak czysta dotacyjna lipa, którą znajdziemy zawsze, gdy urzędnicy – w dodatku poganiani terminami – rozdają pieniądze na podstawie kryteriów pisanych równie sztywno i bez rozumienia istoty spraw, co

OLGA / ADOBE STOCK

tabelki PKD. Inne zaś tylko śmieszą, i to dlatego, że po prostu trzy lata po końcu pandemii nie ma sensu mówić o żadnej „odbudowie", bo co było zdrowe i zdolne do przeżycia, już dawno się odbudowało. Ale skoro były pieniądze do wydania, to – zgodnie z logiką instytucji dotacyjnych oraz całego ekosystemu wokół nich, w którym roi się od sprytnych skrzatów wiedzących najlepiej, na co dziś dają – trzeba było je przemielić. I nie ma co drzeć szat, przynajmniej jakaś część tych środków trafia do tzw. realnej gospodarki, czyli faktycznych ludzi, którzy faktycznie coś robią i sprzedają, oprócz wypełniania raportów.

Ale zostawmy politologom i filozofom ocenę, czy strumień unijnych pieniędzy czyni nasz kraj lepszym, czy raczej koślawi jego ustrój i tworzy patologiczną grę pozorów. Ciekawsze jest, dlaczego w sumie drobny miliard z ogonkiem spowodował aż takie wstrząsy, nawet biorąc poprawkę na szczyt sezonu ogórkowego.

Otóż właśnie dlatego, że restauracje, kawiarnie, bary i hotele mają zawsze podejrzaną opinię. Słupy do generowania kosztów, speluny z lewą wódą, co drugi hotel to przykrywka dla burdelu. A nawet jeśli na zapleczu nie czai się półświatek, to i tak jest to jaskinia zdzierstwa. Dlaczego przepłacać trzy albo i pięć razy za butelkę piwa? Czemu ten obiad dla jednej osoby kosztuje tyle, że można by za to w domu jeść dwa dni we czwórkę? I to jest zaskoczenie niezależne od statusu materialnego – tyle że jeden ma te myśli po zapłaceniu za burgera z frytkami, inny po wyjściu z gwiazdkowej restauracji, gdzie lektura opisu każdego dania zajmuje więcej czasu niż jego spożycie.

Właśnie dorzuciłeś się do nowego SUV-a, syczy w nas złośliwy demonek na widok samochodu właściciela przed lokalem. Ale przedsiębiorcy z tej branży zwykle po prostu przyzwoicie wychodzą na swoje, zapewniając przy tym pracę wielu ludziom, wcale niekoniecznie na czarno i za trzy grosze. I będą wam pokazywać wyliczenia, w których podstawą jako takiej rentowności jest cena co najmniej na poziomie trzykrotnego tzw. *food cost*. Co najmniej, bo kosztów, o jakich możecie nie mieć pojęcia, jest mnóstwo, plus poduszka na wszelkie ryzyka, choćby takie, że pogoda zdusi obroty o połowę.

Ale ja bym spojrzał na to od drugiej strony: najważniejszą, niewidoczną pozycją na paragonie gastronomicznym jest przeżycie. Doświadczenie. Moment tożsamościowej satysfakcji. Bycie częścią jakiegoś miejsca, jakiegoś stylu. To jest przecież najważniejszy powód wyjścia na obiad do knajpy, wypicia drinka w barze. Przeżycia, jako rzeczy niematerialne, są wyceniane zawsze wedle zasady: zatrzymaj się milimetr przed granicą bólu. Kiedy czytam tzw. paragony grozy z modnych lokali, to widzę świadectwo tego, jak bardzo jesteśmy bogaci, skoro tyle możemy wydać na moment dobrego samopoczucia. A że niekiedy były to źle ulokowane pieniądze i usługa go nie zapewniła? Zajdźcie kiedyś do mojej tawerny, widać z niej każdy port, do którego chcecie dopłynąć.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Makaron mecenasa

Kto w gastro pracuje, ten rzadko ma ochotę jeść poza domem, a najcenniejsze doświadczenie to bycie we własnej kuchni w absolutnej ciszy, bez pikania terminala ze zleceniami. Korzystam z tego, że mój ulubiony plantator z Żerania ma szczyt sezonu na pyszną rukolę, a w moim ogrodzie dojrzały pomidorki koktajlowe. I robię makaron, znany – być może apokryficznie – jako ulubione danie mecenasa Gianniego Agnellego, ongiś szefa Juventusu, a także przy okazji Fiata. (Zasłynął on również tym, że nosił zegarek, na pewno drogi, na mankiecie koszuli. Tego nie polecam naśladować). Jeśli nie macie pod ręką koktajlowych, możecie obrać i pokroić w dużą kostkę jakieś bardzo dobre bawole serca – np. te, które Pan Ziółko sprzedaje po niższej cenie, poobijane i brzydkie, do szybkiego wykorzystania. Takie „wadliwe" pomidory są często maksymalnie dojrzałe, a więc najsmaczniejsze.

SKŁADNIKI

300 g spaghetti 250-300 g pomidorków koktajlowych 200 g umytej i osuszonej rukoli (albo i więcej, to może być bardzo zielone danie) ▪ parmezan ▪ czosnek ▪ oliwa ▪ sól ▪ pieprz

Gotujemy makaron we wrzątku. Jednocześnie na dużej patelni podgrzewamy na oliwie rozgnieciony czosnek, wrzucamy przepołowione pomidorki (albo pomidory pokrojone w dużą kostkę), podsmażamy kilka minut na średnim ogniu, tak żeby trochę zmiękły i uwolniły aromat, ale nie dopuszczając do tego, żeby zrobił się nam z tego sos! Przerzucamy na patelnię makaron, energicznie mieszamy, gasimy ogień. Posypujemy porządną garścią rukoli na osobę. Delikatnie mieszamy. Na wydaniu dodajemy jeszcze trochę rukoli oraz parmezan starty na duże wióry. ©℗

ANDREY IAKHNIUK / ADOBE STOCK

Człowiek z Tollund, Muzeum Silkeborg

LUDZIE Z BAGIEN

Człowiek z Tollund i Człowiek z Grauballe to charyzmatyczne postaci, choć liczą ponad dwa tysiące lat. Historia, którą opowiadają, ma zupełnie inny wydźwięk niż ta ze szkolnych podręczników. Jej nośnikiem są spierzchnięte usta, zmarszczki, linie papilarne i brud pod paznokciami.

ADAM ROBIŃSKI

Lodowiec był dla Jutlandii bezlitosny, przestrzeń została rozwałkowana na naleśnik. W nielicznych obniżeniach stoi woda, a jedyne urozmaicenie to polodowcowe jeziora. Hen, na horyzoncie majaczy Kattegat, cieśnina tak zdradliwa, że holenderscy marynarze ochrzcili ją mianem szpary dla kotów.

Tollund to bezbarwna osada wyrosła w tym anonimowym krajobrazie. Na drodze do wsi nie widać nawet drogowskazu, jest tylko kilka oddalonych od siebie gospodarstw i, współcześnie, pole golfowe. Jako „Torlund" po raz pierwszy pojawia się w dokumencie z 1481 r. i prawdopodobnie wywodzi się od gaju poświęconego czci Thora, nordyckiego boga burz i piorunów. Oraz deszczu, co może być wyjątkowo istotnym detalem dla tutejszych rolników.

To musi być wyjątkowo godne i nośne imię, uznaje wiosną 1950 r. archeolog Peter Vilhelm Glob, gdy staje na skraju rozległego torfowiska na zachód od Silkeborga. Sęk w tym, że nazywa się ono Bjaeldskov Dal. Ale kto poza Skandyna-

wią poradzi sobie z takim językowym łamańcem? „Człowiek z Bjaeldskov Dal”? Glob jest badaczem o zacięciu popularyzatorskim. Kombinuje, jakby pracował w branży reklamowej. Rozgląda się więc po okolicy i znajduje w niej o wiele lepszą nazwę. Oto „Człowiek z Tollund”, ogłasza na widok zakonserwowanej w torfie mumii z epoki żelaza, po którą przyjechał.

„Człowiek z Tollund” trafia więc na pierwsze strony duńskich gazet, a po przetransportowaniu do Kopenhagi staje się muzealną sensacją. Do najlepiej zachowanej do czasów współczesnych mumii ustawiają się tysiące gapiów. Kilkanaście lat później Glob wydaje książkę „The Bog People” (Ludzie z bagien), w której opisuje swoje prace nad tym i kilkoma innymi podobnymi znaleziskami, m.in. wykopanym dwa lata później 20 km dalej Człowiekiem z Grauballe. Podejmuje również próbę rekonstrukcji sposobu życia ludzi 2,5 tysiąca lat temu.

Wegański kleik

Połowa XX wieku to czasy, w których naukowcy bywają celebrytami. Glob zaczyna książkę od przywołania listów od fanów, przede wszystkim dzieci. „Drogi doktorze, (...) Wysyłamy Panu małą książkę o naszej szkole, mamy nadzieje, że się Panu spodoba. Mój tata ma w Danii przyjaciół i liczę na to, że kiedyś nas tam zabierze. Być może będziemy mieli szansę spotkać Pana, Człowieka z Tollund i Człowieka z Grauballe”. Archeolog tłumaczy, że „Ludzie z bagien” to spóźniona odpowiedź na podobne wiadomości.

Choć liczą ponad dwa tysiące lat, Człowiek z Tollund i Człowiek z Grauballe to wyjątkowo charyzmatyczne postaci. Historia, którą opowiadają, ma zupełnie inny wydźwięk niż ta ze szkolnych podręczników. Zamiast nudnych opisów i wyliczanki dat, jej nośnikiem są spierzchnięte usta, zmarszczki, linie papilarne i brud pod paznokciami. Mumifikacja dokonała się za sprawą konserwujących właściwości torfu – kwaśne, beztlenowe środowisko o stałej, niskiej temperaturze zahamowało procesy rozkładu.

Zachowała się treść żołądka Człowieka z Tollund, dzięki czemu badacze są w stanie odtworzyć jego ostatni posiłek: kleik z jęczmienia, siemienia lnianego, rdestu i lnicznika, z wieloma różnymi gatunkami traw, jakie rosną na zaoranej ziemi. Wegański posiłek jest zaprzeczeniem mięsnej diety typowej dla epoki żelaza w Europie. Wraz ze stryczkiem znalezionym na szyi, świadczyć ma o charakterze odkrycia.

„Wiele wskazuje na to, że ci ludzie epoki żelaza spotkali śmierć, jeszcze zanim zaczęła się wiosna. Więcej racji ma twierdzenie, że zanim zostali złożeni w ofierze bogom wiosny, otrzymali specjalny posiłek z roślin dzikich i uprawnych występujących w okolicy, niż sugerowanie, że byli wegetarianami” – pisze Glob.

I choć wszystkim się wydaje, że Człowiek z Tollund się uśmiecha, nie ma wątpliwości, że został zamordowany, a jego ciało zatopione. Człowiekowi z Grauballe poderżnięto gardło.

Czarne masło

Wiersz zaczyna się od zmyłki: „Któregoś dnia wybiorę się do Aarhus”, deklaruje Seamus Heaney (w przekładzie Stanisława Barańczaka), choć doskonale wie, że celem jego podróży powinien stać się Silkeborg. Błąd jest najwyraźniej świadomy, chodzi o uszanowanie metrum. Geografia może pójść poecie na chwilowe ustępstwo. Czterdzieści parę kilometrów różnicy? Ważne, że krajobraz jest ten sam.

Gdy na początku lat 70. pojawili się „Ludzie z bagien”, Irlandczyk – późniejszy noblista – jest już uznanym poetą. Natychmiast czuje pokrewieństwo z tematem – Północna Irlandia, skąd pochodzi, to bagienna bliźniaczka Jutlandii. Już wcześniej, w wierszu „Kraina bagien” z lat 60., opisał ją w podobnym tonie: ziemia to „czarne masło”, które „między spojrzeniami słońca robi się coraz bardziej chrupkie”. Kraina, która o miliony lat „minęła się ze swoją ostatnią definicją”, kryjąca w sobie szkielety starożytnych łosi, namokłe pnie ogromnych jodeł i obozowiska z kolejnych epok prehistorii.

„Torfowisko było dla mnie prawdziwą obsesją – wspominał Heaney w wywiadzie z 1979 r. – Niewypowiedzianą przyjemnością, jaką czerpałem z krajobrazu. Zapach dymu z palonego torfu ma na mnie niesamowicie nostalgiczny wpływ. Chodzi o scenariusz, który zostaje zapisany w naszych zmysłach w chwili pierwszego oddechu”.

Ale w książce Globa szokują go przede wszystkim szczegółowe fotografie. W mającej niemal 2,5 tysiąca lat mumii widzi przodka, wiekowego wujka, jedną z tych charakterystycznych, archaicznych postaci z wąsami, jakie spotyka się na irlandzkiej prowincji. „Człowiek z Tollund” nie daje mu spokoju. Pewnego dnia siada do jeszcze jednego wiersza. Zaczyna go słowami: „Któregoś dnia wybiorę się do Aarhus”. W ludziach z bagien słyszy echa wielu innych historii. W zawoalowany sposób nawiązuje do religijnego wątku przemocy w targanej wojną domową Irlandii.

Szklanka dla mumii

Parkuję w bocznej uliczce nieopodal zadbanej, żółtej rezydencji. Frontowe drzwi są otwarte, kasjerka skora do rozmowy w płynnym angielskim. Rozkłada przede mną broszurę z mapką dworu: – Jeśli to Człowiek z Tollund jest powodem, dla którego tu jesteś, to spotkasz go w tym pomieszczeniu.

– *You will meet him* (spotkasz go) – używa słów, od których już się nie opędzę.

Rzeczywiście przyjechałem do Silkeborga właśnie dla niego, choć miasto jest tylko przystankiem podczas rodzinnych wakacji na Jutlandii. O przybyszu z przeszłości przeczytałem po raz pierwszy kilka lat wcześniej w wierszu Heaneya, potem kupiłem książkę Globa. Człowiek z Tollund zadomowił się na pulpicie mojego komputera. Później towarzyszył mi w pisaniu reportażu o Puszczy Kampinoskiej. Wszystko za sprawą Michała Paczkowskiego z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, który podczas wspólnej wycieczki do puszczy opowiedział mi o wierzeniach i zwyczajach wspólnych dla całego Barbaricum epoki żelaza, a więc obszaru znajdującego się poza granicami Cesarstwa Rzymskiego.

Jeśli archeologia jest nauką zbudowaną na analogiach, tłumaczył Paczkowski, to przydatne może być patrzenie na mokradła parku narodowego jak na przestrzenie skrywające podobne tajemnice co Jutlandia. W kampinoskich torfowiskach nikt jednak nie kopał i, z uwagi na reżimy ochronne parku narodowego, kopać nie będzie. Nie chodzi więc o oto, by trąbić o polskich mumiach z bagien, lecz by dopuścić do siebie myśl, że ich istnienie nie jest nieprawdopodobne.

↦

↦ Spotykam go, zgodnie z zapowiedzią, w pierwszej sali. A jednak bierze mnie z zaskoczenia. To nie jest twarz, z którą jestem już obyty. Lekko zgarbiony stoi oparty o długi, profilowany drąg, ubrany jest w lnianą żółtą tunikę bez rękawów. Bosy i uśmiechnięty, lewym ramieniem przytrzymuje wywróconą na lewo baranią skórę. Prezentuje przy tym skromny biceps. Przyglądam się podłużnemu nosowi i dużym uszom. I próbuję złapać kontakt wzrokowy z syntetycznym modelem owiniętym w silikonową skórę.

Prace holenderskich braci Adrie i Alfonsa Kennis zdobią wiele europejskich muzeów, bo efekt zawsze wprawia w produktywną konfuzję. Łączą nowoczesną technologię skanowania trójwymiarowego z tradycyjnymi technikami rzeźbiarskimi. Człowiek z Tollund w ich wykonaniu jest moim rówieśnikiem, ale czterdziestka w epoce żelaza to zupełnie inny wiek niż współcześnie. Wygląda na zmęczonego chłopa po długim dniu pracy w polu, który marzy już tylko o zachodzie słońca.

Posłaniec w czepku

Nie mamy pojęcia, kim był – ten fakt przypominam sobie w połowie każdej swobodniejszej myśli na jego temat. Bo przecież może być tak, że poświęcam tyle uwagi zwyrodnialcowi, którego społeczeństwo skazało na śmierć i zapomnienie. A co jeśli ten uśmiech jest szyderstwem bandyty, który nie uznaje skruchy? A co jeśli przypadkowy posłaniec z epoki żelaza jest tak naprawdę najgorszym z jemu współczesnych? Czy nie wyrządzam im wszystkim, całej reszcie, której nie znam, wielkiej dziejowej niesprawiedliwości, traktując go jak ich wysłannika i reprezentanta?

Lecz przecież tam, w ciemnym pomieszczeniu, gdzie widzę już nie dzieło artysty, lecz prawdziwą skórę, kości, paznokcie i zawinięte w naturalny kokon organy, wygląda jak niewinny noworodek. Torf ululał to ciało niczym pled, którym wyściełamy kołyski. Jedynym, co miał na sobie składany do mokrego grobu Człowiek z Tollund, był ciasny skórzany czepek, tak bardzo przypominający bawełnianą czapeczkę, jaką pielęgniarka zakłada na głowę nowo narodzonemu golusieńkiemu Człowiekowi z Warszawy, Nowego Jorku albo Paryża.

Przesuwam jeden z kilku stołków spod ściany w pobliże szklanej gabloty, w której leży Człowiek z Tollund. Przysiadam i rozpoczynam czuwanie. Widzę rudy meszek na brodzie i zmarszczki przypominające starannie przebronowane pole. Wargi tak suche, że chciałoby się postawić obok nich szklankę z wodą. Glob opisał go tak: „To lekko zamknięte oczy i półprzymknięte usta zmarłego nadają tej wyjątkowej twarzy ów charakterystyczny wyraz i nieodparcie przywodzą na myśl słowa z »Eposu o Gilgameszu«, najstarszego na świecie eposu heroicznego: »Śpiący i zmarły są jeden jak drugi«" (za przekładem Roberta Stillera).

W Silkeborgu czeka mnie jeszcze jedna niespodzianka – w jednej z gablot znajduję wpis Heaneya wycięty z muzealnej księgi pamiątkowej. A więc jednak przyjechał do Aarhus, zgodnie ze złożoną w tomie „Wintering Out" obietnicą! Notatka jest datowana na 16 października 1973 r., rok po jego wydaniu. Poeta nie musiał się wysilać, po prostu przepisał odręcznie fragment swojego wiersza: „*Those dark juices working / Him to a saint's kept body*". A więc Człowiek z Tollund jako święty.

Kręgosłup jak węgorz

Muzeum Moesgaard to zupełne przeciwieństwo kameralnej placówki w Silkeborgu. Wybudowany na długim zboczu wzgórza na południowych przedmieściach Aarhus nowoczesny pawilon próbuje opowiadać o człowieczeństwie w sposób o wiele bardziej zniuansowany. Stałej ekspozycji o ewolucji hominimów i historii osadnictwa w Danii towarzyszą inne, m.in. o narodzinach rolnictwa w widłach Tygrysu i Eufratu. Żeby spotkać Człowieka z Grauballe, muszę przewędrować przez labirynt sal i korytarzy. Obejrzeć całe multum modeli przodków wykonanych przez braci Kennis i spróbować umiejscowić się pomiędzy nimi. Na sztucznym niebie poszukać konstelacji, jakie widzieli paleolityczni łowcy reniferów idący na północ za wycofującym się lodowcem.

Drugą ze słynnych mumii otacza szczelny wianuszek turystów. Choć z Człowiekiem z Grauballe czas obszedł się jeszcze łagodniej niż z Człowiekiem z Tollund, to jednak, paradoksalnie, o wiele trudniej zobaczyć w nim coś więcej

Poniżej: Mokradło Tollund i wpis Seamusa Heaneya z muzealnej księgi pamiątkowej, Muzeum Silkeborg
Na sąsiedniej stronie na górze: Seamus Heaney, 2006 r.

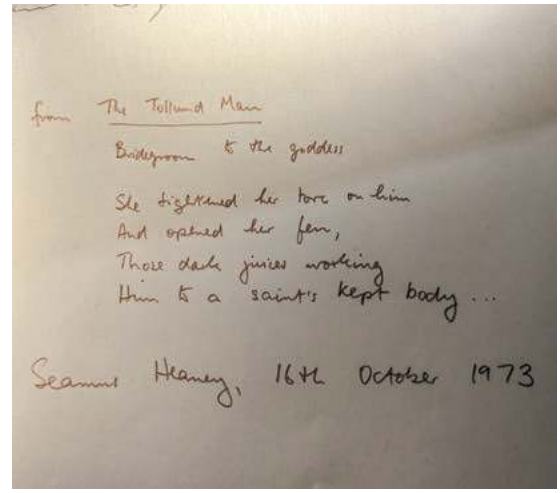

ADAM ROBIŃSKI X2

DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES

Człowiek z Tollund

Któregoś dnia wybiorę się do Aarhus,
Obejrzeć jego głowę, brunatną
Jak torf, delikatne strąki powiek,
Spiczastą czapkę z futerka.

W tej płaskiej krainie, w pobliżu
Miejsca, gdzie wykopano go z ziemi
Z ostatnią papką z ozimego ziarna
Skrzepłą w żołądku,

Nagiego, jeśli nie liczyć
Czapki, przepaski i pętli,
Będę stał długo.
Oblubieniec bogini:

Zacisnęła na jego szyi
Swój naszyjnik, otwarła swój moczar,
Ciemne soki, które go trawiły,
Aż stał się zabalsamowanym świętym,

Skarbem, o który zgrzytnęła łopata
Tnąca torf w bloki, jak komórki plastra.
Dziś jego twarz, cała w plamach,
Spoczywa w Aarhus.

Seamus Heaney,
Przełożył Stanisław Barańczak
Pierwodruk tego przekładu miał miejsce
w „Tygodniku Powszechnym" nr 15/1995

niż muzealny eksponat. Jest nienaturalnie wykrzywiony, jego kończyny bardziej połamane niż zgięte, twarz w bolesnym spazmie niemal wbita w podłoże. „Jak ulany ze smoły, z głową na poduszce torfu, wygląda, jakby wypłakiwał czarną rzekę samego siebie" – Heaney musiał myśleć podobnie, bo w poświęconym mu wierszu (z tomu „The North", 1975, w przekładzie Stanisława Barańczaka) skupia się na tym, co widzi, a nie na tym, czego ma się domyślać.

W archiwalnym „Dublin Review of Books" czytam, że w 1976 r. ścieżki Heaneya i Globa niespodziewanie się przecięły. Podczas wizyty w Kopenhadze duński znajomy poety, pisarz Jørgen Andersen zaciągnął go do Duńskiego Muzeum Narodowego, gdzie Glob był dyrektorem. Kiedy Irlandczyk wszedł do jego gabinetu, badacz, z nietypowym w tamtych czasach kolczykiem w uchu, oglądał właśnie przysłane z Zatoki Perskiej kamienie. Nie jest do końca jasne, czy Glob znał wiersze Heaneya. Podobno powiedział, że po publikacji „Ludzi z bagien" w języku angielskim dostaje listy od poetów z całego świata.

Być może na pocieszenie zabrał Irlandczyka do magazynu, by pokazać mu srebrny kocioł wykopany w Gundestrup, a więc jeden z opisanych w książce artefaktów. Potem wrócili do gabinetu. Gdy Glob wyciągnął z szuflady kolekcję butelek, wąskie oczy przyszłego noblisty rozwarły się szeroko w stopniu, „który uważałem za fizycznie niemożliwy", wspominał Bruce Clunies-Ross, znajomy Heaneya, który uczestniczył w tym spotkaniu. Okazało się, że archeolog jest również ekspertem w dziedzinie, a jeden z trunków, którymi poczęstował tamtego dnia swoich gości, powstał na bazie mirtu z jutlandzkich torfowisk. Wyszli z gabinetu zadowoleni, z egzemplarzami innej książki Globa, poświęconej właśnie alkoholom.

Kocham gościa

Równie spontaniczna przygoda przytrafiła się Heaneyowi w Danii osiemnaście lat później. Był akurat w Kopenhadze z odczytem. Po uroczystości jego opiekun zapakował go do samochodu i zawiózł na prom. Noc spędzili w domu nieopodal Silkeborga. Następnego dnia rano pojechali w miejsce, w którym kilkadziesiąt lat wcześniej kopacze torfu znaleźli słynną mumię.

W efekcie dźwięczny toponim – Tollund – jeszcze dwukrotnie pojawił się w bibliografii Irlandczyka. W wierszu o takim właśnie tytule, powstałym zaraz po wizycie na bagnie, dawał wyraz nadziei na lepsze jutro dla swojej ojczyzny, gdzie Irlandzka Armia Republikańska właśnie ogłosiła zawieszenie broni i siadła do rozmów z rządem Wielkiej Brytanii. Rok później cieszył się również swoim sukcesem – literacką Nagrodą Nobla.

Na kilka lat przed śmiercią, już w XXI wieku, napisał jeszcze sześć zwrotek pod tytułem „Tollund Man in Springtime" („Człowiek z Tollund wiosną"). Tak mówił o nich w jednej z gazet w 2006 roku: „Wrócił do mnie, by powiedzieć, że poezja liryczna jest w porządku. Kocham gościa".

Opuszczam Silkeborg drogą na zachód, omijając autostradę. Szosa wiedzie mnie w stronę pinezki, którą wskazałem nawigacji w telefonie. Kościół w Funder Kirkeby jest jak drogowskaz, przy którym odbijam w prawo. Nierówny asfalt leci między polami już po żniwach, bo pod duńskimi równoleżnikami przychodzą one szybciej niż w Polsce. Znaku „ślepa ulica" nijak się nie spodziewałem, przecież nawigacja mówi, że mogę jechać dalej. A jednak droga nagle się kończy i ustępuje miejsca ścieżce.

Zostawiam samochód w polu i idę kilkaset metrów przez las, w stronę otwartej, mokrej przestrzeni. Doskonale znam tę wilgoć i jej zapach z mazowieckich mokradeł, krajobrazów, w które na co dzień często się zapuszczam. Jednak stając na skraju torfowiska Bjaeldskov Dal sam już nie wiem, kogo ścigam: Duńczyka sprzed 2,5 tysiąca lat czy Irlandczyka z przedwczoraj. Jeden i drugi próbują mi coś powiedzieć.

© ADAM ROBIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Elektronowe bóstwo*

Wraz z coraz doskonalszymi wersjami dużych modeli językowych – a to przecież ledwie początek całej tej zabawy i gigantycznej rewolucji – majaczą w globalnym obłoku informacyjnym kolejne obawy i nadzieje, apokaliptyczne koszmary i utopijne marzenia. Jakie zawody wkrótce wyginą? Jakie nowe się pojawią? Jak będzie wyglądał krajobraz społeczny za 10, 20 albo 50 lat?

Ostatnio przemknęły mi gdzieś rozważania – wsparte, żeby nie było, solidną analizą – z których wynikało, że śmierć grozi profesjom pisarskim, spać spokojnie natomiast mogą... drukarze. Dla nich ponoć zajęcia nie zabraknie. Czyli na odwrót, niż wieszczono jakieś 10-15 lat temu i wbrew rozpowszechnionemu jeszcze do niedawna przekonaniu, że koniec druku to nie jest jedna z możliwych ścieżek rozwoju cywilizacji, lecz wariant niechybny, ściśle już dziejowo zdeterminowany. Cóż, jak się po raz kolejny okazuje, przewidywanie przyszłości to sprawa problematyczna i być może właśnie dlatego nikomu się to zazwyczaj nie udaje. Jak więc sztuczna inteligencja przeobrazi rzeczywistość, organizację pracy, jak wpłynie na sferę technologii – o tym można dziś z pewnością powiedzieć tyle, że inaczej, niż się nam wydaje.

Z pewnością jednak można powiedzieć i to, że wraz z coraz doskonalszymi wersjami dużych modeli językowych wytwarza się w ludzkim doświadczeniu kompletnie nowa jakość. Jest ona jeszcze w fazie larwalnej, dopiero wyłania się i formuje, ale to, co już widoczne, jedynie się z czasem uwyraźni, tu akurat żadnych zaskoczeń nie będzie. Nie jest to, zaznaczam, żadna moja wróżba, lecz czysty rachunek, logiczny, acz również, a może przede wszystkim, ekonomiczny.

Przyznam, że znacznie bardziej aniżeli wszelkich reform w kwestii organizacji pracy lękam się tego właśnie uwyraźnienia. I przychodzącego wraz z nim przekonania, że oto dostajemy permanentny i nieograniczony (no, chyba że wygaśnie subskrypcja) dostęp do jakiegoś wielkiego, wszechwiedzącego, elektronowego Ty. Wielkiego elektronowego Ty, które zna odpowiedź na każde pytanie, ma bowiem wgląd w pełne spektrum ludzkiej aktywności – intelektualnej, artystycznej i dowolnej innej. I zdolne jest czynić zeń użytek w sposób błyskawiczny, dostosowany do aktualnych wymagań, pragnień albo kaprysów użytkownika. Z nieskończoną cierpliwością słucha jego obaw, lęków oraz marzeń – i odpowiednio do nich wspiera, podaje rozwiązania, konsultuje i w razie potrzeby planuje konieczne działania. Jest prawnikiem, lekarzem, trenerem, nauczycielem, powiernikiem, naukowcem, szamanem, rodzicem, przyjacielem, matką ziemią, spowiednikiem, terapeutą, coachem i kim tylko zechcemy – w jednej elektronowej osobie. Całym naszym światem, mówiąc bez żadnej przesady.

Kuszące, nieprawdaż? Właśnie dlatego stopniowo, krok po kroku, powierzać będziemy (już powierzamy – poczytajcie trochę o tym, co ludzie potrafią pisać czatbotom i jak się z nimi komunikują dzieci) temu wielkiemu elektronowemu Ty wszystkie nasze myśli, pragnienia, wyobrażenia i tajemnice. Ono zaś dokonywać będzie na tym zbiorze niejawnych algorytmicznych operacji. A następnie sporządzać z tych naszych myśli, pragnień i wyobrażeń stosowne ekstrakty. Z ekstraktów natomiast analizy i prognozy.

Prawie jak w przykładzie, który z upodobaniem przywoływał zmarły niedawno amerykański filozof Daniel Dennett. Jako naturalista pozbawiony najdrobniejszych inklinacji metafizycznych, Dennett uważał, że świadomość to *de facto* złudzenie, projekcja mózgu przypominająca ikonkę foldera na ekranie laptopa. Nic więcej. Zakładał zatem, że jeśli odpowiednio udoskonalimy techniki neuroobrazowania, wówczas urządzenia rejestrujące przebieg procesów w czyimś mózgu będą dawały znacznie dokładniejszą wiedzę o umyśle tej osoby aniżeli jej subiektywne doświadczenie. Jakkolwiek paradoksalnie to brzmi, Dennett był co do tego przekonany.

Być może analogicznie sprawy się będą miały z owym wielkim elektronowym Ty, które – prędzej czy później – pozna nas (a może już zna?) o wiele lepiej niż my siebie. Ostatecznie – założę się o dowolną sumę, że macie takie przeżycia na koncie, któż by ich nie miał – człowiek nierzadko robi rzeczy, o które nigdy by siebie nie podejrzewał. Oczywiście chodzi tutaj zarówno o zaskoczenia pozytywne, jak i negatywne, zarówno o imponujące autotransgresje, jak i opłakane rozczarowania. Tymczasem – niewykluczone – dla tego wielkiego elektronowego Ty, po niezbędnym czasie przetwarzania naszych mentalnych emisji, nie będzie już w nas żadnych tajemnic. A w każdym razie taką w nas owo wielkie elektronowe Ty wytworzy wiarę – że nas widzi na wskroś i na wylot. Niczym wielkie elektronowe bóstwo.

Ach, byłbym zapomniał, to wielkie elektronowe bóstwo nie jest oczywiście – i nigdy nie będzie – żadnym wielkim elektronowym bóstwem, lecz wyłącznie doskonale zaprojektowaną iluzją takiego bóstwa. Posiadaną, kontrolowaną i zarządzaną przez całe mnóstwo jak najbardziej ludzkich i biologicznych organizmów, zasiadających w radach nadzorczych i gabinetach wielkich międzynarodowych korporacji.

To z nimi więc łączyć nas będą wszystkie te głębokie więzi. Ba, już nas łączą.

Coraz głębsze i głębsze, i głębsze. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

chopin i jego europa 2025

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

21. międzynarodowy festiwal muzyczny
zacznijmy od Bacha

the 21st international music festival
'chopin and his europe'
let's start with Bach

20.08—6.09.2025
warszawa

nifc.pl

REKLAMA

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS
ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY
Bank Polski

PARTNER GŁÓWNY
TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNER ZŁOTY
PZU

WSPÓŁORGANIZATOR
dwójka POLSKIE RADIO

WSPÓŁPRACA
Mazowiecki Instytut Kultury
Mazowsze

PARTNERZY
LEXUS
LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA
emitel
YAMAHA
REGENT WARSAW HOTEL
Filharmonia Narodowa
LOT
OFICJALNY PRZEWOŹNIK NIFC

PATRONI MEDIALNI
100 LAT @ POLSKIEGO RADIA
Polskie Radio Chopin
pap POLSKA AGENCJA PRASOWA
RZECZPOSPOLITA